

NAJLEPSZA POLSKA FANTASTYKA
SCIENCE FICTION

NUMER 31 MAJ 2008

ISSN 1895-0744 INDEX 206598

FANTASY I HORROR

CENA 9,99 ZŁ
W TYM 7% VAT

W NUMERZE:

**KRES
PATYK
CEBULA
TRUCHAN
MISZCZAK
CIEĆWIERZ
HEMERLING
ŻELKOWSKI
ŻWIKIEWICZ
DRUKARCZYK**

NAJNOWSZE OPOWIADANIE

ROBERTA M. WEGNERA

**WSZYSTKIE
DZIECI BARBIE**

SUPERHERO

KIEDY BOHATEROWIE BĘDĄ ZMĘCZENI?

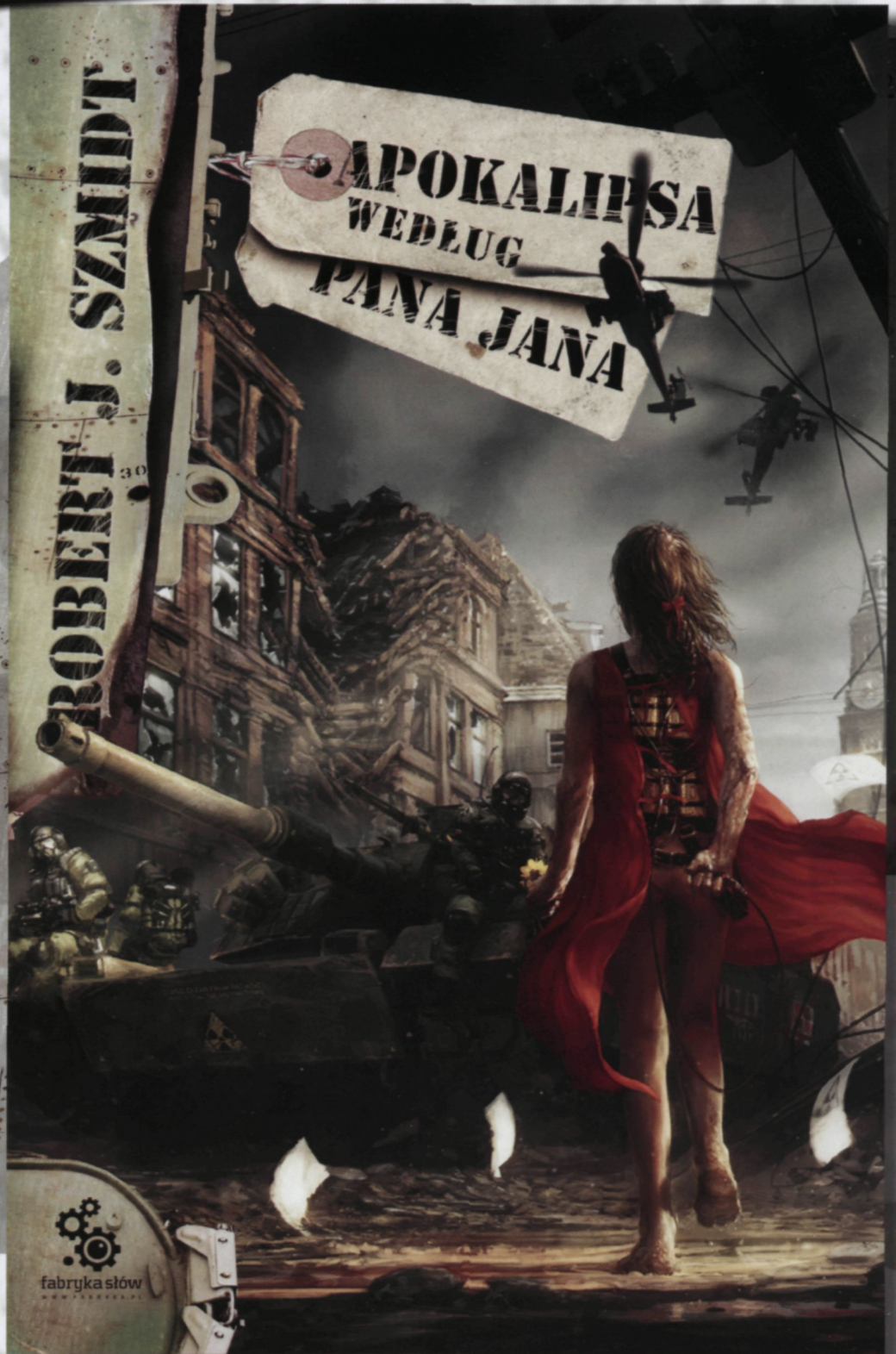
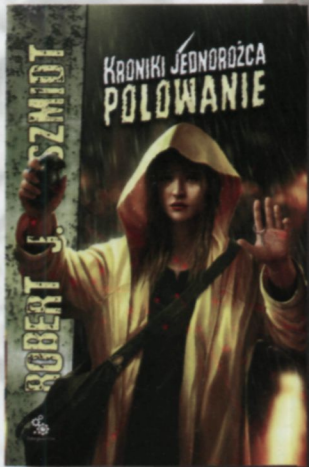


JUŻ W MAJU



fabryka słów

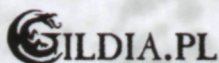
WWW.FABRYKASLOW.PL



ROBERT J. SZMIDI

APOKALIPSA
WEDŁUG
PANA JANA

fabryka słów



LITERATURA

Robert M. Wegner
WSZYSTKIE DZIECI BARBIE 04

Paweł Ciećwierz
SZTUKMISTRZ 26

Marek Hemerling
PERPETUUM MOBILE 36

Stanisław Truchan
CO WY WIECIE O JEDNOROŻCACH 38

Grzegorz Drukarczyk
BOGOWIE SĄ ŚMIERTELNI 50

Andrzej Miszczak
STACJA ASHIEOO 52

Joanna Patyk
W ŚWIETLE JUPITERA 57

PUBLICYSTYKA

Żerowisko na zwirowisku
Żelkowski & Żwikiewicz
ORGAZM ZMIENIŁ GO W BOGA? 58

Feliks W. Kres
SIEDZĄC NA TYŁCE 60

Adam Cebula
**ŚWIATOWY SPISEK,
CZYLI KONGRES FUTUROLOGICZNY** 62

INNE

PRENUMERATA 66

Czy bohaterowie będą kiedykolwiek zmęczeni?

Wydawać by się mogło, że faceci w rajtuzach, czyli komiksowi superbohaterowie są skazani na bytowanie w sporej, bo sporej, ale niszy, gdzieś na kartkach cienkich zeszytów, a co niektórzy pomiędzy twardymi okładkami albumów. Kino sięgało po nich czasem, telewizja też, ale bez większych sukcesów. Poetyka komiksu opierała się polityce celuloideu aż do momentu, w którym poziom efektów specjalnych pozwolił na to, by papierowe mięśnie zyskały trzeci, realny wymiar.

Już Batman pokazał, że materię tę można potraktować poważniej. Ale dopiero sieć Spider-Mana oplotła świat, wtłaczając widzów w fotele. Dzięki niej dzisiaj niemal każdy liczący się bohater może mieć nadzieję na ekranowy debiut i co najważniejsze - sukcesy kasowe zwiastujące rychłą kontynuację. Rok 2008 nie będzie pod tym względem wyjątkiem. Tony Stark już wywalczył w kinach świata pół miliarda, w kolejce następny Hulk, Hellboy, Batman, Punisher, Wanted, The Spirit, Strażnicy i X-Men, żeby wyliczyć tylko tych, których zobaczycie w nadchodzących dwunastu miesiącach. I wszyscy z szansą na podobny sukces.

Miłośnicy komiksu mogą być wniebowzięci, ludzie patrzący krytycznie na facetów zakładających majtki na spodnie pewnie więcej wydadzą na książki albo na lody niż na bilety do kina. Ale, ale. Może dla tych drugich także coś się znajdzie...

Jest bowiem taki film, w którym aż się roi od postaci z komiksów, choć niezupełnie w takich ujęciach, w jakich chcieliby być uchwyceni. David Zucker, reżyser tak genialnych parodii, jak Czy leci z nami pilot, Naga broń albo Top Secret (moja ulubiona), wziął właśnie na warsztat superbohaterów. Amerykanie już tak mają, każdy sukces trzeba obśmiać i na tym też zarobić krocie. A David Z. jest tego trendu najlepszym przykładem. Jego produkcje śmieszają widzów na całym świecie od niemal trzydziestu lat i należą do jednych z najlepszych w tym gatunku.

Lada moment trafi na nasze ekrany Superhero, historia zakompleksionego chłopaka z sąsiedztwa, który na wycieczce szkolnej zostanie ukąszony przez radioaktywną żabkę i... nietrudno się domyśleć, co dalej.

Filmy tego rodzaju bazują wyłącznie na cytatach, praktycznie każda scena jest przekręconym zapożyczeniem z jakiegoś blockbustera. Materiał własny jest raczej niemile widziany. Także tutaj mamy do czynienia głównie z kopiowaniem scenariusza Spider-Mana - było nie było największego hitu ostatnich lat, i to nie tylko w historii gatunku - ale autorzy scenariusza potrafili bardzo udatnie wpleść w treść i innych herosów. Znajdzie się więc miejsce na szkołę profesora Xaviera, pojawi się w tle Fantastyczna Czwórka. Lecz co najważniejsze, Superhero zdaje się dryfować na powrót w kierunku starej dobrej parodii, w której pierdnięcie w salonie nie było kulminacyjnym punktem każdej sceny. Liczył się gag, inteligentnie przekręcony dialog - czyż nie dla takich momentów oglądaliśmy po kilka razy wyprawę Vała Kilmera do „demokratycznych” Niemiec albo perypetie porucznika Drebbrina?

Moim skromnym zdaniem David Zucker wyciągnął nauczkę po ostatnich dwu częściach Straszego Filmu i wrócił do korzeni gatunku. Choć skłamałbym, twierdząc, że mamy do czynienia z dziełem porównywalnym z Top Secret. Świat się zmienił i niestety sporą część widowni stanowią dzisiaj ludzie śledzący z wypiekami na twarzy kolejne wyczyny Jackassów, więc nie miejcie złudzeń, dla nich też coś musi zostać.

Tyle o filmie, który reklamujemy w tym numerze - a już za paręnaście dni na naszej stronie internetowej znajdziecie konkurs, w którym będzie można wygrać masę pociesznych gadżetów z filmu.

A teraz kilka słów o treści numeru. Maj miesiącem twardszej fantastyki pierwszej świeżości. Sporo bliskiego kosmosu - stacje orbitalne i obce planety są tłem utworów Wegnera, Drukarczyka i Miszczaka. Do tego horror - w polskich, acz futurystycznych realiach, ciepła i humorystyczna opowieść o jednorożcach, ale wcale nie fantasy, i krótkie postapokaliptyczne podsumowanie cech ludzkich w wykonaniu Marka Hemerlinga. Życzę przyjemnej lektury i do zobaczenia za miesiąc.

Robert J. Szmidt

ROBERT M. WEGNER

WSZYSTKIE DZIECI BARBIE

Shen Denawer przeciągnął się, kolejny raz usiłując rozprostować kości. Tak było zawsze, przez pierwsze trzy doby w stanie nieważkości jego organizm stroił fochy - mdłości, zawroty głowy i wszechogarniające zmęczenie towarzyszyły mu non stop. Rano próbował się ogolić, potem próbował wypić kawę i próbował zjeść śniadanie. Wszystkie próby zakończyły się fiaskiem. Maszynka nie nadawała się do użytku, kawa, siorbana przez słomkę, miała smak starego smaru, a pasta, wyciśnięta z tubki na grzankę o smaku przepoconych skarpet, zalatywała zjeżdżającym tłuszczem.

Czuł się tak, jakby stuknął mu nie piąty, a siódmy krzyżek.

Jeszcze nie minął pierwszy dzień na stacji, a on już zdążył pożałować swojej decyzji. Trzeba było zostać na Ziemi. Miał tylko nadzieję, że jeśli zdoła przetrzymać najbliższe czterdzieści osiem godzin, wszystko wróci do normy.

Zerknął w lustro, usiłując nadać twarzy wyraz inteligencji i doświadczenia. Nawet mu się to udało.

Poprawił po raz ostatni kombinezon i wypłynął z kabiny.

Kowalski czekał na niego w barze znajdującym się w ostatnim, zewnętrznym pierścieniu Tarczy. Kiedy projektowano to cacko, ktoś zapytał, co zrobić, jeśli będzie trzeba w tym samym czasie symulować grawitację o różnym natężeniu. Inżynierowie korporacji wymyślili więc cztery koncentryczne pierścienie, z których najmniejszy miał średnicę trzydziestu metrów, największy zaś prawie stu. Cała konstrukcja świetnie się sprawdzała, jak każde rozwiązanie będące połączeniem prostoty i niezawodności. Z centralnej części stacji wystawał długi i wąski kompleks 0-g. Z daleka Alfa Jeden wyglądała jak olbrzymia tarcza przebita na wylot oszczepem. Choć nazwa była nieoficjalna, używano jej nawet w firmowych raportach.

W największym pierścieniu panowało teraz 0,7 g. Jego ciało przyjęło takieciążenie z mieszaniną radości i niedowierzania. On sam w tej chwili dziękował bogom za możliwość wypicia drinka bez słomki.

W barze poza Kowalskim był tylko kelner.

Bob wstał, unosząc szklaneczkę w niemym salucie. Opróżnił ją jednym haustem.

- Witamy w zespole - rzekł na powitanie. - Cholera, wyglądasz, jakbyś całą noc przerzucał kontenery.

- Bo to właśnie robiłem. Yamada powiedział, że to rytuał, przez który muszą przejść wszyscy nowicjusze.

- A, faktycznie. Przypominam sobie. Na przyszłość użyj manipulatorów.

- O? To tak można?

Uśmiechnęli się do siebie.

Kowalski pokazał mu butelkę.

- Wódka?

- Dzisiaj co najwyżej piwo. No, może z odrobiną rumu.

Kelner o nieruchomej twarzy Azjaty musiał mieć niewiarygodny słuch. Zanim Shen na dobre usadowił się przy stoliku, już stał przed nim kufel. Ostrożnie pociągnął pierwszy łyk. Dobrze.

- Mało tu ludzi.

- Dziwisz się? Jest dziesiąta rano, wszyscy w pracy.

- A ty?

- Ja mam przerwę. Zaraz odlatuję na Alfę Dwa. Tamtejszy lekarz zachorował.

- Psiakrew.

- Takie życie.

Boba Kowalskiego poznał na studiach. Chociaż nigdy nie byli dobrymi kumplami, to kiedy po kilkunastu latach ich drogi niespodziewanie skrzyżowały się na stacji Luna Sześć, wyszło na jaw, że wiele ich łączy. Obaj mieli za sobą nieudane małżeństwa, obaj prawie nie widywali własnych dzieci, obaj lubili dobre trunki.

I obaj byli uznanymi specjalistami w swoich dziedzinach. Z tym, że Shen był psychologiem, a Bob chirurgiem.

Przez chwilę w milczeniu sączyli drinki.

- Cieszę się, że nareszcie cię tu przywiało. Przyszykowałbym małe co nieco, aby to uczcić, ale teraz będziemy musieli poczekać, aż wrócę.

- Kiedy?

- Spieszno ci?

- Niespecjalnie. Miną jeszcze dwa albo nawet trzy dni, zanim zaczną normalnie funkcjonować.

Kowalski skrzywił się lekko.

- Powinieneś tu być przez ostatnie trzy lata. Zanim uruchomili Tarczę i oddali do użytku bloki medyczny i rekreacyjny. Ta stacja to wspólny projekt rządu i tego japońskiego molocha. Oczko w głowie polityków. Wszystko miało być na czas. Siedziało tu czterystu ludzi zamkniętych po ośmiu w kajucie i harujących po szesnaście godzin na dobę, żeby zdążyć z terminami. Żarcie z automatów, ciągły półmrok, oszczędzanie na wszystkim: powietrzu, wodzie, energii. Awaria za awarią. Mieliśmy najwyższy współczynnik wypadkowości w historii prac w kosmosie. - Machnął ręką. - Mówię ci, piekło. Przez ten czas przewinęło się tu pięciu psychologów. Czterech spaowało manatki zaraz po okresie próbnym.

- A piąty?

- Wyszędł przez służę w przestrzeń. Bez skafandra.

- Pech.

- Właśnie... Ale za to teraz żyć nie umierać. Wszystko wypucowane na błysk, cały personel z wyższym wykształceniem, praca po osiem godzin dziennie, siłownia, sauna i salon masażu. Nie patrz tak na mnie, mówię poważnie, pracuje tu taka świetna pani doktor, specjalistka od terapii ruchowej w zerogię. Jedyne stesy to te związane z badaniami, ale nie miałem żadnej pracy od trzech tygodni. Tylko dlatego zgodzili się, żebym poleciał na dwójkę.

- Nudy.

- Aż tak źle nie jest. Zresztą sam zobaczysz, nie będę ci psuł niespodzianek. Wśród ponad ośmiuset osób na pewno znajdziesz kilku miłych szajbusów.

- Mam nadzieję. Chociaż Yamada zapowiedział, że jestem przydzielony do JEGO i tylko JEGO zespołu. Nie wiem, jak mu się to udało, ale „mój” mówił do mnie dużymi literami.

- Hm...

- Co: hm?

- Kiedy wspomniałeś, że ściągnął cię tu Yamada, myślałem, że się przesłyszałem. Wiesz, nad czym on pracuje?

- Leczy raka. Tak mi się obito o uszy...

- ...i nie zdziwiło cię, że do leczenia raka szuka psychologa, specjalisty od zaburzeń związanych z wirtualnym?

- Zdziwiłbyś się, gdybym ci powiedział, do czego mnie ściągnął. Trzy lata temu musiałem się zająć całą drużyną koszykarską. Nie pytaj dlaczego, tajemnica lekarska.

Bob uśmiechnął się półgębkiem.

- No dobra, kupię to. Na razie - pociągnął ze szklanecki. - Zresztą i tak chodzą plotki, że Yamada używa w terapii rzeczywistości wirtualnej.

- No, no... - Wbrew obietnicy, że dzisiaj zrobi sobie jeszcze wolne, Shen zaczął kombinować. - Gdyby zafundować pacjentom odpowiednie wszczepy, można by stymulować system immunologiczny metodami bezinwazyjnymi. Czytałem parę lat temu ciekawy artykuł o graczach, którzy odnosili rany w Sieci. Nawet jeśli mieli kiepskie wszczepy, ich ciała reagowały jak w realu, rosła liczba białych i czerwonych krwinek, hormony szalały, organizm szykował się do walki o życie. Wbrew pozorom tę naszą maszynę - postukał się w skroń - bardzo łatwo oszukać. Ciekawe... Wiesz, ilu Yamada ma tu pacjentów?

- Jednego. Właściwie jedną.

- Żartujesz.

- Nie, choć bardzo bym chciał. Podobno pracuje nad terapią, która może uratować miliony, ale jak na razie męczy jedną dziewczynę. Zresztą ta babka i tak już prawie dwa lata żyje poza czasem.

- Poza czasem?

Bob wyglądał na zawstydzonego.

- Kolejny hołd dla wszechwiedzy łapiduchów. Jeśli lekarz stwierdzi, że pacjentowi został tylko miesiąc życia, każdy dzień więcej jest życiem „poza czasem”. Ona tak żyje dwa lata.

- Niezły wynik... - Shen przeciągnął się, aż coś chrupnęło mu w ramionach. - O rany, jeszcze co najmniej dwa dni takiej mordęgi. W nocy bez przerwy śniło mi się, że spadam.

- Starość nie radość - Bob raz jeszcze uśmiechnął się blade. - Dziwne, że komisja zdrowia w ogóle pozwoliła ci wsiąść na prom. Dałeś łapówkę?

- Powiedziałem, że uciekam przed kobietą, i pokażalem zdjęcie twojej byłej. Chłopaki wpuścili mnie poza kolejnością.

Teraz Bob wyszczerzył się szeroko.

- Punkt dla ciebie. Zaraz muszę lecieć. Za kwadrans mam prom. Ach, byłbym zapomniaw, wchodziłeś może w wewnętrzną sieć?

- Jeszcze nie.

- Uważaj. Kilku koleś z centrum rozrywkowego robi nowym na stacji głupie kawały. Nie dziw się niczemu.

- A co? Trafię do Tęczowego Miasteczka?

- Geje to byłby twój najmniejszy problem. No, naprawdę muszę już lecieć. - Kowalski dopił resztę drinka jednym haustem i wstał.

Shen podniósł się razem z nim.

- Odprowadzę cię do służby, przy okazji pokażesz mi kawałek stacji.

- To jakiś żart, prawda? - Shen poprawił się w fotelu, nie spuszczać oka z rozmówcy.

Yamada wyglądał jak kwintesencja Azjaty. Niski i szczupły, śniady, skośnooki i z wiecznie przyklejonym do ust uprzejmym uśmiechem. Wyglądał niegroźnie i sympatycznie. Tylko jego angielski, z nienagannym oksfordzkim akcentem, kazał mieć się na baczności. Kogoś, kto poświęcił mnóstwo czasu, żeby nabyć taki akcent, nie należało lekceważyć.

- Bynajmniej. - Szef projektu już się nie uśmiechał. - Został pan tu ściągnięty, ponieważ pańskie kompetencje okazały się jednymi z najwyższych. I jeśli pana reputacja nie jest przesadzona, za miesiąc, najdalej dwa będzie pan z powrotem na Ziemi, bogatszy o okrągłą sumkę. Ale musi pan zaakceptować nasze warunki. Ten projekt jest objęty ścisłą tajemnicą i nie pozwolę, aby jakkolwiek przeciek pozwolił konkurencji na zdobycie wyników naszej prawie pięcioletniej pracy.

Shenowi też nie było do śmiechu.

- Dobrze, podsumujmy. Chce pan, bym zajął się pacjentką o nieznanym personaliach, która jak pan mnie zapewnia, ma poważne problemy związane z rzeczywistością wirtualną, zagubiła się, prawda? Nie jest w stanie wyjść z wirtualu. Nie będę miał wglądu do jej historii choroby, życiorysu ani innych danych. Nie będę mógł się z nią kontaktować ani w realu, ani w Sieci. Zgadza się?

Yamada skinął głową, a Shen uśmiechnął się kwaśno.

- Nadał pan nowe znaczenie słowu konsultant, profesorze Yamada.

- Nie było to moim celem, doktorze Denawer. Pacjentka wchodzi w szczególnie krytyczną fazę terapii, chodzi o jej życie. Ja wiem, że wyciąganie ludzi z rzeczywistości wirtualnej na ogół wiąże się z większym lub mniejszym szokiem. Aleją szok może zabić. Nikt jeszcze nie umarł w naszym ośrodku i zapewniam pana, że nikt nie umrze, dopóki ja nim kieruję.

Siedzieli w biurze Yamady mieszczącym się w najwęższym pierścieniu. Shen dyskretnie rozglądał się dookoła, analizując otoczenie. Na Ziemi ludzie mogli podkreślać swój status na tysiące sposobów. W kosmosie o pozycji człowieka świadczyła przestrzeń, jaką dysponował, i to, jak została zagospodarowana. Sam fakt, że biuro Yamady umieszczono w pierścieniu, chociaż całą administrację stacji upchnięto w centralnej, pozbawionej sztucznego ciężenia części Alf, wiele mówił. Nie licząc naprawdę niezbędnych ośrodków medycznych czy rekreacyjnych, każdy metr sześcienny w pierścieniach stacji był bezcenny. A w tym miejscu imponowały nie tylko rozmiary, ale i wyposażenie. Pomieszczenie było tak duże, że bez trudu dostrzegało się krzywiznę pierścienia. Skórzane fotele ustawiono przy dębowym biurku, pamiętającym zapewne jeszcze początek poprzedniego stulecia. W kącie

w olbrzymim akwariu unosiły się jakieś plamiste ryby, a pod ścianami stało kilka regałów z książkami. Książkami! Wyniesienie tego bajzlu na orbitę musiało kosztować krocie i służyło tylko jednemu: podkreśleniu miejsca zajmowanego w hierarchii. Shen przypomniał sobie klitkę, którą mu przydzielono, dwa na trzy metry w module o zerowej grawitacji, i w duchu wzruszył ramionami. Negocjacje z Yamadą zapowiadały się naprawdę interesująco.

Na początek uśmiechnął się uprzejmie i szczerze.

- Wydaje mi się, że niezupełnie zdaje pan sobie sprawę ze specyfiki mojej pracy. Ona polega głównie na kontakcie z pacjentem. Na nawiązaniu osobistej więzi, zbudowaniu pomostu łączącego go z lekarzem. Po tym pomocy mogę pacjenta wyprowadzić z miejsca, w którym się zagubił, do rzeczywistości. Jeśli moja rola ma się ograniczyć do bezosobowych konsultacji, niepotrzebnie ściągał mnie pan z Ziemi.

- Przerwijając pańską małą wojenkę toczoną z władzami uczelni? Użeranie się ze studentami? Kłopoty z publikacją prac? Uczciwie przyznam, że pana kandydatura była jedną z trzech, które brałismsy pod uwagę. Lecz profesor Zadurski niespodziewanie dostał wsparcie finansowe na swoje badania, a doktor Hennerson odmówiła z przyczyn zdrowotnych. Został nam tylko pan. - Yamada również potrafił uśmiechać się uprzejmie i szczerze, choć efekt byłby znacznie lepszy, gdyby uśmiech choć zahaczał o oczy. - Jest pan uznanym specjalistą mającym na koncie spore sukcesy. A chciałbym przypomnieć, że suma, którą może pan zainkasować za konsultacje, pozwoli panu uwolnić się od uczelni na wiele miesięcy i poświęcić w całości pracy naukowej. W zamian oczekuję dostosowania się do naszych warunków.

Kij i marchewka. Sposób przekonywania starszy od piramid. Yamada dyskretnie przypomniał mu, że nie jest jedynym specjalistą na świecie i że jego honorarium jest sześciocyfrową kwotą. I to, tu Shen pogrzebał w pamięci, inkasowaną nawet wtedy, gdy kuracja nie przyniesie skutku. W końcu były gorsze sposoby zarabiania niż spędzenie miesiąca czy dwóch na stacji kosmicznej na koszt bogatej i najwyraźniej ekscentrycznej firmy.

Uśmiechnął się szerzej i złagodził kurs.

- Zatem co od pana dostanę? Tak na początek.

Jego kwatery znajdowała się w centralnej części stacji. Długi na prawie sto pięćdziesiąt, a szeroki na niespełna piętnaście metrów walec otoczony przez cztery pierścienie faktycznie wyglądał jak oszczep przebijający na wylot gigantyczną tarczę. I taką właśnie nazwę nosił - Oszczep. Shen zastanawiał się złośliwie, jaki sztab specjalistów głowił się nad tą nazwą. I ile zainkasował.

Do centralnego walca doczepiano w różnych miejscach moduły badawcze, mieszkalne, szpitalne, laboratoria, siłownie i kontenery z zapasami. Z tego powodu całość wyglądała jak drzewce wyjątkowo starej broni, obrosnięte grzybami i mchem. Ale modułowy charakter tej części stacji sprawdzał się świetnie, gdyż umożliwił dostosowanie się do aktualnych potrzeb zaledwie w kilka dni.

Kwatura to jednak za dużo powiedziane. Już raczej: klitka o wymiarach trzy na dwa na dwa, z uprzężą do

spania w zerowie, końcówką terminalu z monitorem zamontowanym w ścianie i prostym, biurkopodobnym występnem poniżej oraz paroma wbudowanymi w ściany półkami i uchwytami. Ot, masówka produkowana dla tanich hoteli orbitalnych.

Nie spiesząc się, podpłynął do terminalu, po drodze wyciągając z szafki tubkę z pastą proteinową. Negocjacje z Yamadą trwały prawie trzy godziny i zakończyły się połowicznym sukcesem. Miał dostać dane pacjentki (życiorys, rodzina, przyjaciele, przebieg choroby oraz postępy w leczeniu), lecz nadal nie miał szans na kontakt lub chociażby pasywną obserwację wirtualu. Yamada nie zamierzał się również podzielić informacjami na temat metody leczenia. Czyli Shenowi pozostawało wyciągnąć kobietę z rzeczywistości wirtualnej, nie wiedząc, co ją tam wepchnęło. Świetnie, po prostu świetnie.

Pasta miała smak kurczaka, zmielonego razem z piórami i kośćmi. Żołądek Denawera nadal protestował przeciwko umieszczeniu go w stanie nieważkości i Shen poważnie żałował, że nie zjadł obiadu w zewnętrznym pierścieniu.

Terminal okazał się nowocześniejszy, niż przypuszczał. Miał nawet skrytkę, w której znajdowała się pseudoskóra i sensokask, pełny zestaw do głębokiego serfowania po Sieci. Więc jednak jego moduł nie był tanią masówką z Tajwanu. Na razie ograniczył się do uruchomienia monitora i potwierdzenia swoich uprawnień. Wystarczyło przyłożyć kciuk.

Na ekranie pojawiła się twarz młodej Azjatki. Na oko piętnastoletniej.

- Witam, doktorze Denawer. Nazywam się Ako i jestem personalną końcówką sieciową przydzieloną do pańskiego terminalu. Wirtualną asystentką, jeśli woli pan to określenie. Moim zadaniem jest pomoc panu w poruszaniu się po wewnętrznej sieci stacji Alfa Jeden oraz nadzorowanie procesów archiwizacyjnych i porządkowanie danych.

- Jesteś osobista czy zbiorcza?

- W tej chwili obsługuję czterdzieści trzy terminale. Jeśli uważa pan, że jest panu potrzebna osobista asystentka, proszę zgłosić się do profesora Yamady. Czy mam przekazać taką prośbę?

Machnął ręką.

- Nie ma potrzeby. Nawet gdybyś była osobista, i tak kawy nie zaparzysz, prawda?

- Nie, doktorze. Ale w zewnętrznym pierścieniu mają świetne automaty. Zarezerwować panu stolik?

- Może później. Teraz pokaż dane pacjentki o nazwisku Landor, Barbara Landor.

Zagłębił się w lekturze.

Barbara Landor, lat dwadzieścia sześć, studentka, z naturalizowanej szwedzko-niemieckiej rodziny. Shen przypatrywał się jej zdjęciu od prawie godziny, szukając natchnienia w regularnych rysach i jasnoniebieskich oczach. Cholerny świat, ta dziewczyna nie pasowała do schematu. W żaden sposób. Dziewięćdziesiąt procent jego pacjentów stanowili mężczyźni, przeważnie między piętnastym a dwudziestym piątym rokiem życia, choć pracował też z kilkoma po sześćdziesiątce. Dominowali

introwertycy ze skłonnościami depresyjnymi i nałogowi gracze. Dziewczyny, które na studiach nosiły, bynajmniej nie nadany złośliwie, przydomek Barbie, były przewodniczącymi bractwa uniwersyteckiego, cheerleaderkami, drużynowymi skautów, wolontariuszkami Czerwonego Krzyża i dwukrotnymi Wicemiss Uśmiechu stanu Waszyngton, po prostu nie gubiły się w Sieci. Jasne, każdy może się zgubić, ale pewnym osobom to się po prostu nie zdarza. Nie mają predyspozycji.

Leczył różne przypadki. Od prostej depresji u graczy, którzy zbyt utożsamili się z kreowanymi przez siebie postaciami, poprzez rozdwojenie jaźni wywołane podziałem osobowości na część „wirtualną” i „realną”, gdzie ta pierwsza zaczynała dominować, aż do pseudoschizofrenii, w której chorzy nie potrafili odróżnić świata rzeczywistego od wykreowanego w Sieci lub trwali w przekonaniu, że ciągle znajdują się w Sieci i nie mogą wyjść. Rozwój neurochirurgii wszczepów tylko utrudnił mu pracę. Shen do głębokiego surfowania stosował pseudoskórę i sensokask, bo ingerencję chirurgiczną we własny mózg uważał za grubą przesadę, ale ostatnio coraz więcej osób decydowało się na założenie gniazda sensornerwowego. Pojawiał się nowy typ zagubionych - ludzie, którzy zostawali w Sieci na stałe, a po odłączeniu od niej zapadali w coś w rodzaju śpiączki, bez szans na dobudzenie. Pierwszych kilka przypadków wywołało ogólnokrajową panikę i szereg pozwów, skierowanych przeciw klinikom montującym gniazda. Później okazało się, że problem jest raczej natury psychologicznej niż chirurgicznej. Chorzy tak głęboko angażowali się w swoje wirtualne życie, że śpiączka była zwykłą reakcją obronną. Tych sprowadzić z powrotem było najtrudniej. No ale młode i ładne dwudziestoseściolatki nie uciekały w pseudożycie w Sieci. Za dobrze bawiły się w tym prawdziwym.

I jeszcze ten cholerny Yamada. Żadnych danych na temat metod leczenia. Tylko rozpoznanie i przebieg choroby nowotworowej. Barbara opuściła dwa lata z rzędu badania okresowe na uniwersytecie. Raz pojechała na pogrzeb babci, drugi raz zachorowała na grypę. Powinna je przejść w innym terminie, ale gdy się ma dwadzieścia parę lat, człowiekowi wydaje się, że będzie żył wiecznie. Na czwartym roku wykryto u niej szybko postępującą białaczkę, tak zwanego ultrazłośliwego raka. To draństwo zbierało swoje żniwo dopiero od kilkunastu lat, ale już cieszyło się paskudną sławą. Dziewczyna najpierw załamała się, później postanowiła walczyć, przeszła klasyczną chemo- i radioterapię, jeden przeszczep i kurację komórkami macierzystymi. W pewnym momencie schudła z pięćdziesięciu do trzydziestu dwóch kilo. Po roku męczarni zgłosiła się na ochotnika do eksperymentalnej terapii na Alfie Jeden. Trafiła tu prawie dwa lata temu. I tyle, w tym miejscu dane od Yamady urywały się, zupełnie jakby dziewczyna znikła. Jakby wyrzucili ją w przestrzeń i wymazali wszystkie informacje. Shen ze złością wyłączył terminal i skierował się do wyjścia. Potrzebował drinka, kolacji w normalnym ciążeniu i drinka. Przepływając przez służbę pomyślał, że Yamada mimo wszystko zdradził mu więcej, niż chciał. Zgodnie z danymi medycznymi, Barbara trafiła na stację w ostatnim stadium raka. Na Ziemi zostałaby jej miesiąc, może dwa. Czyli żyła „poza czasem” niemal dwa lata. Dłużej niż jakkolwiek pacjent z tym typem białaczki. Cokolwiek Japończyk wymyślił, musiało być naprawdę

dobrze. I warte kupę kasy. Ludzie nie sprawdzają stanu konta, gdy śmierć zagląda im w oczy. Jeśli dziewczyna przeżyje, zapewni swojemu lekarzowi sławę i pieniądze. Pozostawało tylko jedno pytanie. Gdzie w tym wszystkim jest miejsce na rzeczywistość wirtualną i zagubienie się w niej? Zaciśnął zęby. Najpierw kolacja, potem kilka drinków, a później noc wypełniona snami o spadaniu. Jutro zastanowi się, co jeszcze można wycisnąć z Yamady.

- Nic więcej. - Twarz Azjaty była spokojna i nieruchoma jak twarze przewodników androidów, oprowadzających wycieczki po niektórych muzeach. - Dostał pan wszystkie dane, jakie mogłem udostępnić, i proszę nie liczyć na więcej. Informacje, o które pan prosi, dotyczą samego sedna naszej metody i dlatego nie mogę pana z nimi zapoznać.

No tak, to było do przewidzenia. Shen poprawił się w fotelu, rozkoszując się namiastką ciążenia. Ta noc okazała się równie paskudna jak poprzednia; nieustanne sny o spadaniu i budzenie się co kilka minut z krzykiem zamierzającym na ustach mogły każdego doprowadzić na skraj wyczerpania. Ale to nie znaczyło, że zamierzał się poddać.

- Profesorze Yamada - zaczął ostrożnie - proszę mi wierzyć, że doskonale rozumiem pańskie stanowisko. Muszę jednak z całą uprzejmością zwrócić uwagę na to, że dane, które mi pan przekazał, nie są funta kłaków warte dla lekarza mojej specjalności. I proszę nie sugerować - dodał widząc, że Japończyk otwiera usta - że inny specjalista poradziłby sobie lepiej. Sam bóg psychologów, jeśli jakiś istnieje, nie byłby panu w stanie pomóc, bo zgodnie z wszystkimi danymi ta kobieta ma skłonności do co najwyżej lekkiej depresji, a nie do zagubienia się wirtualu.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Dobrze. - Yamada skapitulował pierwszy. - Spróbuję odpowiedzieć na kilka pytań.

Shen pogratulował sobie w duchu, że nie wyciągnął od razu ciężkiej artylerii i nie zagroził rezygnacją, jak to planował jeszcze tego ranka. Noce w stanie nieważkości wpędzały go w desperację.

- Konsultowano już ten przypadek z innymi specjalistami?

- Tak.

- Tak?

- Żaden z nich nie był w stanie nam pomóc.

- Tak? - Cholera, czy z tego faceta każde zdanie trzeba wyciągać koźmi?

- Wszyscy mieli te same obiekcje co pan. Za mało danych, tak twierdzili.

- Miło wiedzieć, że nie jestem jedyny. - Shen postanowił pokierować rozmową. - Żeby nie przedłużać, profesorze. Najprostszy podział zaburzeń związanych ze światami wirtualnymi obejmuje: depresję, rozdwojenie osobowości, pseudoschizofrenię lub zaburzenia Bors-Lansona, jak to zwać niektórzy, i głębokie zagubienie połączone ze śpiączką. Cztery podstawowe typy, obejmujące około dziewięćdziesięciu pięciu procent przypadków. Czy nasza pacjentka mieści się w którejś z tych kategorii?

- Tak.

Postanowił, że nie da się wyprowadzić z równowagi. Skoro Yamada chce grać w „kto kogo wkurzy bardziej”, nie ma sprawy.

- Do której? - zapytał uprzejmie.
- Do ostatniej.

Westchnął cicho - nie mogło być gorzej.

- Upewnijmy się, czy myślimy o tym samym. Pacjentka przejawia aktywność wyłącznie w Sieci, w wykreowanym, sztucznym środowisku. Po odłączeniu zapada w rodzaj śpiączki i nie można nawiązać z nią kontaktu. Jaki jest charakter tej wykreowanej rzeczywistości?

Japończyk nawet nie drgnął.

- To ściśle tajna informacja.
- Dobrze, jeszcze do tego wrócimy. Ile czasu to trwa?
- To również ściśle tajna informacja.
- A kiedy zaobserwowano pierwsze objawy zagubienia? Niewyraźną mowę, rozkojarzenie, zaburzenie funkcji motorycznych?

Yamada tylko się uśmiechnął.

Shen odwzajemnił uśmiech i zagrał *va banque*.

- Pacjentka ma zainstalowany wszczep, który jest aktywny mniej więcej od półtora roku. A ponieważ jej wizyty w Sieci od początku były długie i regularne, pierwsze objawy pojawiły się już pół roku później. Potem zaczęto jeszcze bardziej wydłużać jej pobyty wirtualu, aż do chwili, gdy pacjentka w ogóle przestała z niego wychodzić. Mniej więcej przed miesiącem, prawda?

Miło było patrzeć, jak uśmiech znika z twarzy rozmówcy. Nawet jeśli zastąpiła go mina podobna do kamiennej maski, w której oczach ktoś zapalił ogień.

- Skąd pan ma te informacje? - Yamada gapił się na niego, jakby już próbował zdecydować, w której służbie przytrafi mu się wypadek. - Na pewno nie od nas.

- Nie.

Psycholog spoglądał na rozmówcę z uprzejmym uśmiechem przyklejonym do ust, chociaż w duchu szczyrzył się od ucha do ucha. No i kto jest bardziej wkurzający, skośnooki sukinsynu?

- Do tych danych dostęp ma tylko pięć osób na stacji i dwie na Ziemi. Kto je panu zdradził?

- Pan.

- Kto?!

- Pan, profesorze Yamada, przed chwilą. Zapomniał pan, kim jestem. Psychologiem, jednym z najlepszych specjalistów od zaburzeń związanych z wirtualnym. Okrojony materiał, który mi pan udostępnił, oraz informacja, że pacjentka głęboko zagubiła się w Sieci, wskazują na to, że Barbara musi mieć wszczep. To oczywiste. Nie założyła gniazda na Ziemi, więc dostała je tutaj. Przed dwoma laty. Badania, ustalanie ścieżek i wrastanie wszczepu trwa około trzech miesięcy, aktywacja i konfiguracja matrycy od miesiąca do dwóch. Stąd wiem, że wszczep miała uaktywniony nie wcześniej niż półtora roku temu. Nie znam ani jednego przypadku pełnego zagubienia, w którym chory miałby wszczep krócej niż rok, więc i ona ma go co najmniej tyle czasu. Ale to trochę za mało, aby osoba o jej profilu mogła poważnie zachorować, chyba że od początku zanurzała się długo i głęboko... - W miarę jak mówił, twarz Yamady wygładzała się. - U większości chorych pierwsze objawy występują po mniej więcej sześciu miesiącach regularnego nurkowania. Potem następuje coś, co nazywamy syndromem Sterynsa. Kolejne coraz

dłuższe wizyty w Sieci powodują chwilową poprawę stanu zdrowia pacjenta, początkowe objawy zagubienia znikają. Jak łatwo się domyślić, tutaj było podobnie, zresztą inaczej Barbara nie zagubiłaby się całkowicie. Przed miesiącem pierwszy raz skontaktowano się ze mną, pytając, czy byłbym zainteresowany konsultacjami na stacji Alfa Jeden.

Przerwał zaskoczony szerokim i - jak się wydawało - szczerym uśmiechem Yamady.

- Wydaje mi się, Denawer-san, że jest pan tą osobą, której potrzebujemy - powiedział Japończyk, lekko się kłaniając. - To dla mnie zaszczyt móc z panem współpracować.

Hm, wyglądało na to, że zdał jakiś egzamin. I to chyba przez nieuwagę i chęć popisania się elokwencją. Odważemnił uśmiech, starając się nie pokazać, jak głupio się czuje.

- Czym mnie pan teraz zaskoczy, profesorze Yamada?

Laboratorium było duże, po prostu duże i już. Na stacji, gdzie kłitka o kubaturze paru metrów sześciennych uchodziła za pokój, taka ilość wolnego miejsca robiła wrażenie. Dwadzieścia pięć metrów długości i dziesięć szerokości. Ten walec mógłby pomieścić kilkanaście innych pracowni.

Całość przedzielała olbrzymia szklana płyta, po jednej jej stronie umieszczono - przyłączone do ścian - dziesiątki stanowisk, każde zaopatrzone w fotel do zerogię i kilka monitorów. Siedzący w nich ludzie mieli na głowach półprzezroczyste kaski, a na dłoniach rękawice i zdawali się zajęci bardzo ważnymi sprawami dziejącymi się właśnie w Sieci. Kilku tkwiło nieruchomo, najwyraźniej korzystając z wszczepów. Nikogo spośród nich nie znał.

Yamada spojrział na niego z fotela znajdującego się tuż przy szybie. Siedział ryłem do wejścia, zwrócony w kierunku umownego „dołu” w stronę drugiej części laboratorium, którą tworzyła znajdująca się za szybą biała, aseptyczna puszcza o średnicy dziesięciu i głębokości, o ile Shen mógł to ocenić, dwunastu metrów. Jej pokryte gąbką ściany budziły niepokój.

- Po co to?

- Dla dobra pacjentki, doktorze Denawer. Żeby całkowicie odizolować ją od bodźców zewnętrznych. Nawet najlepszy wszczep nie pozbawia nas świadomości istnienia rzeczywistego ciała, wie pan o tym przecież.

Kiedy podpływał do Japończyka, gdzieś z boku pojawiła się wysoka, mocno zbudowana kobieta z krótko przystrzyżonymi blond włosami. Spojrzała na niego i poczuł, jakby za kołnierz wpadło mu kilka kostek lodu. Oszczędnie skinęła głową.

- To doktor Pamela Jakobson z uniwersytetu w Oslo, moja asystentka - wyjaśnił Japończyk. - Będzie dziś nadzorować zabieg. Proszę zająć miejsce - wskazał fotel obok.

- Chyba mnie nie polubiła.

- Pam bywa chłodna i apodyktyczna, ale w całych wschodnich Stanach nie znajdzie się lepszy specjalista w tej dziedzinie.

- Czyli?

Japończyk tylko się uśmiechnął i ponownie wskazał mu miejsce. Shen usiadł i przypiął się pasami. Monitory

przed jego twarzą były wyłączone. Wskazał na nie i usłyszał:

- Nie będą panu potrzebne. Wygodnie?

Uprzejmość Yamady zaczynała powoli działać mu na nerwy.

- Może wreszcie dowiem się, co się tu dzieje?

Powiedział to nieco ostrzej, niż zamierzał. Kiedy wczoraj Yamada oświadczył, że zabierze go na najbliższy zabieg, omal nie podskoczył z radości. Przez moment sądził, że pobyt na stacji okaże się czymś więcej niż nudną pseudopracą, ale teraz znów poczuł smycz. Najwyraźniej jego obecność tutaj miała charakter bardziej kurtuazyjny niż roboczy.

- Jest pan typowym przedstawicielem kultury zachodu, Denawer-san. Ani grama cierpliwości. Do zabiegu zostało jeszcze kilka minut... Chyba powinienem pana ostrzec, że procedura może się wydawać dość drastyczna. Dlatego proszę o zachowanie bezwzględniego spokoju. Bez względu na to. - Spojrzenie Yamady stwardniało.

Shen pozwolił sobie na wredny uśmiešek.

- Zabrzmiało to prawie jak groźba, profesorze.

- Niebawem wszystko pan zrozumie. Proszę sięgnąć pod półkę.

Znalazł tam gogle. Więc jednak wpuszczają go w Sieć.

- Będzie pan obserwował zabieg, a nawet zobaczy, którądy wędruje Barbara.

Shen kątem oka dostrzegł wbite w nich spojrzenie asystentki. Nie wyglądała na zadowoloną.

Japończyk pstryknął jeden z klawiszy na pulpicie.

- Proszę patrzeć.

Ściana na końcu pomieszczenia oddzielonego szybą pękła na pół i do środka wpłynęła szczupła postać. Że jest to Barbara Landor, Shen musiał uwierzyć Yamadzie na słowo, gdyż całą jej twarz zasłaniał ciężki wirtualny kask, a do niemal każdego skrawka ciała miała przyłączone dziesiątki czujników, kroplówek i jakichś rurek. Poza tym była raga.

Jak dotąd nie padło ani jedno słowo. Nagle rozległo się:

- Jest aktywna. Czuje matrycę.

Nie zauważył, kto to powiedział.

- Kask to tylko zabezpieczenie. Pomaga jej lepiej odseparować się od bodźców zewnętrznych - wyszeptał Yamada. - Rzecz jasna, wchodzi w virtual przez wszczep.

Barbara drgnęła i powoli zwinęła się w pozycję embrionalną. Przez jego stronę sali przebiegł szmer zawodu.

Yamada nachylił się w przód.

- Dajcie więcej na podkorowoy.

Kobieta powoli wyprostowała się, przyjmując ponownie pozycję horyzontalną. Na jednym z ekranów pojawiła się twarz Pameli Jakobson.

- Jest gotowa.

Yamada skinął głową i założył gogle.

- Będziesz nas prowadzić, moja droga.

- Oczywiście.

Shen nie potrzebował zachęty, szybko założył własne gogle, ale zanim szybki zmatowiały odcinając go od widoku z zewnątrz, pochwycił spojrzenie Yamady. Dałby sobie głowę uciąć, że stary sukinsyn patrzył na niego jak rybak na wijącą się na końcu harpuna zdobycz.

Jeszcze mnie nie kupiłeś, ty skośnooki skubańcu - pomyślał.

Gogle zmętniały, a po sekundzie z mleczej szarości wyłonił się obraz.

Był w parku, pięknie utrzymanym, rozplanowanym z prawdziwym artyzmem parku mogącym należeć tylko do kogoś, przed kim kompozycje kwiatów, ozdobnych krzewów, wysypanych drobnymi, kolorowymi kamyczkami ścieżek i cicho szemrzących strug wodnych nie miały tajemnic. Kogoś, kto na dodatek kochał bawić się takimi rzeczami. Shen musiał z niechętnym podziwem przyznać, że spece od virtualu dali z siebie wszystko. Miejsce tchnęło spokojną harmonią, iskrzyło radością i wywoływało poczucie bezpieczeństwa. Twórcom należały się duże brawa.

Nagle obok niego wyrosła postać. Mężczyzna - biały, około trzydziestki, o jasnych oczach i uśmiechu wiecznego chłopca. Ciemne włosy miał związane na karku w kucyk. Przybysz ruszył przed siebie lekkim krokiem sugerującym kogoś o swobodnym stylu życia i niewymuszonym, naturalnym wdzięku. Cała postać budziła instynktowną sympatię i zaufanie. Do kogoś takiego zagubione dziecko podeszłoby prędzej niż do policjanta w mundurze. Kolejny punkt dla programistów.

- Niezły, prawda?

Głos Yamady zaszmurał mu koło ucha.

- To nie żywy człowiek, tylko konstrukt, całkowicie sztuczna osobowość. Sporo się nad nim napracowaliśmy, ale jak widać, gra warta była świeczki. A oto Barbara.

Konstrukt wyszedł na niewielki placik otoczony dwumetrowym żywopłotem i zatrzymał się. Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie, powoli przechodzące w pełen radości uśmiech. Shen obserwował go teraz nieco z boku i był naprawdę pod wrażeniem. Miał w życiu do czynienia z tysiącami wykreowanych w rzeczywistości wirtualnej postaci, ta jednak należała do ekstraklasy. Zdawało się, że ma przed sobą żywego człowieka, który po kilkugodzinnej wędrówce po opustoszałym parku napotkał wreszcie drugą osobę. I naprawdę się z tego cieszy.

Barbara siedziała na białej ławeczce, czytając książkę. Nosiła niebieską sukienkę w kwiaty i słomkowy kapelusz. W komputerowej rzeczywistości miała długie włosy, które teraz złocistą falą spadały jej na plecy. Jeśli tak wyglądała w realu, to zdjęcia z kartoteki Yamady robiły jej krzywdę, a przydomek Barbie stanowił obelgę. Była o trzy klasy wyżej, i to pod każdym względem.

- Ona nas nie widzi ani nie słyszy... - Głos Yamady znów zabrzączał mu koło ucha. - Teraz wszystko zależy od Johna.

- Johna?

- To imię naszego gościa. Wiemy, że dobrze jej się kojarzy.

Fantom chrząknął lekko, po chwili jeszcze raz - głośniejszym, nie ruszając się jednak z miejsca. Kiedy po chwili ciszy trzeci raz dyskretnie zasygnalizował swoją obecność, uniosła głowę i spojrzała na niego. Shen znalazł się akurat na linii jej wzroku i przez chwilę miał wrażenie, że nie jest niewidzialny.

Przez sekundę wyglądała na przestraszoną, ale John uśmiechnął się przepraszająco, niemal nieśmiało, i jego czar podziałał. Uspokoiła się i odpowiedziała uśmiechem.

Dopiero teraz zobaczył na własne oczy, jaki kawał perfekcyjnej roboty odwalili programiści Yamady. John był świetny; każdy jego uśmiech mówił - „lubię cię”, każdy gest - „możesz mi zaufać”, każdy grymas twarzy -

„słucham cię, nie znamy się, ale już jesteś dla mnie kimś ważnym”. Gdyby był żywym człowiekiem, w ciągu kilku minut mógłby poderwać każdą kobietę na świecie. I co najmniej połowę mężczyzn.

Po pięciu minutach rozmawiali jak starzy przyjaciele, po następnych kilku Barbara zaczęła mu się zwierzać. Dzięki temu Shen dowiedział się, że dziewczyna ma luki w pamięci, nie bardzo wie, gdzie jest, czuje się samotna. Poczul zazdrość. Zwykłą, ludzką, zawodową zazdrość. Jemu nigdy nie udało się tak szybko nawiązać kontaktu z pacjentem. Z drugą osobą w życiu prywatnym też nie.

Yamada zdawał się śledzić tok jego myśli.

- To może być przyszłość także dla pańskiego zawodu, doktorze Denawer. Zupełnie nowe możliwości dla psychologów, psychiatrów i socjologów. Możliwość nawiązywania kontaktu z pacjentem na zupełnie innej płaszczyźnie. Docierania do ludzi przez VR. Co pan na to?

Uśmiechnął się tylko.

- Do czego on właściwie zmierza?

John akurat namawiał Barbarę na mały spacer.

- Jeśli pan pozwoli, metody pracy i cel tego zabiegu pozostaną na razie sekretem. Proszę po prostu obserwować pacjentkę. Czy nie na to należał pan przez ostatnie dwa dni?

Shen nie po raz pierwszy boleśnie odczuł to, że Yamada ukrywa przed nim używane metody. Za każdym razem zarzucał go tylko stertą ogólników. Ten skurczybyk był mistrzem w unikach. Powinien zostać rzecznikiem prasowym rządu.

Tymczasem spokojnie gawędząca para ruszyła powoli przez park. John mówił o głupstwach, podawał nazwy gatunkowe mijanych kwiatów i krzewów, chwalił artystyczną kompozycję alejki, którą szli, opowiedział jakąś anegdotę o ogrodach Ludwika XIV, po której Barbara wybuchnęła śmiechem.

Wyszli z labiryntu wykwiłtynie przyszczyżonego żywopłotu wprost na szeroką ścieżkę, dobiegającą do niewielkiego stawu i skaczącą zgrabnym łukiem mostka do ślicznego, białego pawilonu o ścianach obrośniętych bluszczem.

John uśmiechnął się.

- No i jesteście.

Barbara stanęła jak wryta. Potem spojrzała na swojego towarzysza i Shen zmartwiał. Jej twarz była twarzą skrzywdzonego dziecka.

- Ty też - szepnęła. - Ty też.

Nagle odwróciła się i pobiegła przed siebie, sadyła długimi skokami, co chwilę tracąc kontury i barwę, wpadła w najbliższą ścianę żywopłotu i rozbiła się na tysiące części.

Shen zdarł kask z głowy, zanim ostatnie fragmenty znikły mu z oczu. W uszach wciąż miał wściekły głos Yamady, klnącego po japońsku, francusku i angielsku. Coś znów im nie wyszło. W sali zapanował gorączkowy rozgardiasz, siedzący przy monitorach technicy rozglądali się na boki, wymachiwali rękami, rzucali w przestrzeń komendy skierowane do programów sterowanych głosem. Przez chwilę nikt nie zwracał na niego uwagi.

Pamela Jakobson podpłynęła do nich z „górnego” rzędu foteli.

- Znów ją straciliśmy, profesorze. Znikła.

- A ogary?

- Zgubiły ją po ośmiu sekundach. Szybciej niż ostatnio.

Yamada warknął coś po japońsku. Nawet bez znajomości języka Shen rozpoznał przekleństwo. Tylko w przekleństwach ludzie wkładają tyle uczucia.

Szef projektu odwrócił się w jego stronę z gniewnie zaciśniętymi ustami.

- No więc jak, doktorze Denawer? Czy to, co pan zobaczył, pomoże panu w pracy?

Shen patrzył na niego w milczeniu. Tak naprawdę guzik zobaczył i Yamada musiał o tym wiedzieć.

- Czy pozwoli mi pan poobserwować ją w miejscu, do którego uciekała? - zapytał.

Japończyk uspokoił się w kilka sekund. Znów wyglądał jak kwintesencja wiecznie opanowanego Azjaty.

- Problem w tym, doktorze, że nie wiemy, dokąd ona ucieka. Znalazła w Sieci jakąś dziurę i nasze najlepsze programy nie potrafią jej znaleźć. Co pan na to?

Kostki lodu zabrzęczały o dno, alkohol sparzył przełyk i przyjemnym ciepłem zagnieździł się w żołądku. Shen pomachał kelnerowi pustą szklaneczką.

Yamada zadrwił sobie z niego. Nie mogą jej znaleźć, dobre sobie. W czasie wędrówki po Sieci zawsze zostawia się ślady. Przeciętnie uzdolniony gimnazjalista potrafiłby je odnaleźć i zidentyfikować. Tymczasem Japończyk patrząc mu prosto w oczy stwierdził, że Barbara znikła w jakimś zakątku virtualu, którego nie potrafią odnaleźć najlepsze programy szpiegowskie korporacji, ogary porównywalne z wojskowymi!

Połączenie jest aktywne, wszczep działa jak należy, ale nikt nie wie, gdzie ona przebywa.

Gówna prawda!

Pokłócili się o to. Na miejscu, w laboratorium, przy wszystkich. I nie chodziło tylko o rzekome, niemal magiczne zdolności Barbary do znikania w Sieci. Shen stwierdził, że ma dość bycia biernym obserwatorem, który musi wyrabiać sobie poglądy na sprawę z półśłówek i aluzji. Jego uczestnictwo w zabiegu, po którym tyle sobie obiecywał, okazało się farsą, nie dowiedział się niczego poza tym, że pacjentka chorobliwie boi się pewnego miejsca w wykreowanej dla niej rzeczywistości. Zażądał pełnej dokumentacji medycznej Barbary i pełnego uczestnictwa w następnych zabiegach. O ile jeszcze jakieś będą, zakończył złośliwie. Równie dobrze bowiem dziewczyna mogła nigdy nie wyjść z głębokiego zagubienia.

Skończyło się na tym, że Shen wypłynął z pomieszczenia mruczając pod nosem przekleństwa w czterech językach, co nie zdarzyło mu się od czasu rozprawy rozwojowej. Wkrótce potem odkrył, że Yamada cofnął mu połowę uprawnień.

Jednym haustem dopił następnego drinka. Wyglądało na to, że jego przygoda z pracą na stacji kosmicznej właśnie dobiegała kresu.

* * *

W kabinie przywitał go migoczący ekran. Na zielonym tle onosił się napis:

PROSZĘ ZAŁOŻYĆ SKÓRĘ I KASK.

Tylko tyle. Shen przez kilka chwil bezmyślnie gapił się na monitor. W stanie nieważkości jego organizm dziwnie reagował na alkohol, istniała więc szansa, że ma przywidzenia. Zamrugał oczami. Nic, na ekranie wciąż unosił się ten durny napis. Możliwe też było, że ktoś robi mu kawał, takie spóźnione otrzęsiny, Bob chyba wspominał o czymś takim. Hm, dlaczego nie - pomyślał - w końcu najpewniej jutro wracam na Ziemię. Zabawa w Sieci to nie był najgorszy sposób spędzenia ostatniego dnia na stacji.

Wyciągnął z podręcznej apteczki dwie tabletki z kofeiną i połknął bez popijania. Powoli, nie wykonując zbyt gwałtownych ruchów, rozebrał się do slipów i podpłynął do pulpitu. Pseudoskóra była jak zwykle zimna i śliska w dotyku, a wciągając sztywne, podobny do skafandra płetwonurka kostium, Shen miał wrażenie zanurzania się w oleistej, lepkiej cieczy. To metasensory odszukiwały zakończenia nerwowe na jego ciele i szykowały się do przejęcia nad nimi kontroli. Praktyka dowodziła, że wystarczy oszukać nie więcej niż dwadzieścia procent nerwów, a resztę znieczulić, by pseudoskóra spełniła swoje zadanie, pozwalając zanurzyć się w dowolnym wirtualu. Co prawda wszczępy powoli wypierały tę technologię, ale jak na razie skóry, zwłaszcza te używane w stanie nieważkości, miały jedną, olbrzymią przewagę. Dzięki wbudowanemu elastycznemu egzoszkieletowi pseudoskóra potrafiła stawiać zdecydowany opór ruchom użytkownika, symulując wysiłek związany na przykład ze wspinaczką, pływaniem, bieganiem czy wchodzeniem po schodach. Na większości stacji orbitalnych, zwłaszcza tych pozbawionych pierścieni, pseudoskóry były stosowane obowiązkowo, jako środek utrzymania załóg w przyzwoitej formie. Sprawdzają się niezłe.

Sensokask miał przede wszystkim izolować od bodźców zewnętrznych i zająć się zmysłem wzroku i słuchu. Węch i smak pozostawiono w spokoju. Uwzględniając swoje kłopoty żołądkowe, Shen dziękował za to z całego serca. •

- No dobra, Bob, zobaczymy, co tam dla mnie przygotowali - mruknął w przestrzeń i włączył kask.

Gdy tylko przed oczyma skończyły mu przebiegać dane procedur kontrolnych, obraz zadrżał, po czym z mgły wyłoniły się zielone pagórki. Usłyszał cichy świergot ptaków i szum morza. Obrócił się powoli i spojrzał w stumetrową przepaść, na której dnie spienione fale niestrudzenie zmagają się z czarnymi skałami. Zaklął cicho.

Co oni wymyślili?

Spędził trochę czasu, rozglądając się po okolicy. Nic wielkiego: łągodne wzgórze porośnięte trawą i czymś, co chyba było wrzosem, ładnie wyglądające niebo z kilkoma chmurkami i słońcem, które właśnie wybierało się spać. Jeśli dowcip miał polegać na zanudzeniu go na śmierć, to proszę bardzo.

Ruszył w kierunku wzgórz. Teren przed nim wznosił się powoli, a ciemne plamy wrzosu wyróżniały się na tle szmaragdowozielonych połaci trawy. Przynajmniej było tu trudno o zasadzkę.

W miarę zbliżania się do szczytu wzgórze coraz wyraźniej widział na niebie siną wstęgę dymu. Ktoś palił ognisko. Przykucnął, potem poderwał się do biegu, przebywając ostatnie kilkadziesiąt kroków przygarbionym truchtem - może i było to głupie, ale jeśli ktoś zadał sobie trud, by stworzyć dla niego to miejsce, należało wziąć

udział w zabawie. W myślach przeklął się za to, że ustawił siłowniki egzoszkieletu na maksimum. Teraz z mety zaczął ciężko dyszeć, a pot spływał mu po twarzy, spijany przez nienasyconą gąbkę kasku.

Wyjrzał ostrożnie zza szczytu i cicho gwizdnął. To nie był dym z ogniska, tylko z komina niewielkiej chaty. Jak okiem sięgnąć, nie było innych zabudowań, nawet lichego kurnika. Chata miała bielone ściany, pięknie ułożone drewniane gonty, rzeźbione okiennice i odrzwia. Okalał ją niewielki warzywny ogródek upstrzony kilkoma kwiatowymi rabatkami. Ktokolwiek tu mieszkał, był zwolennikiem czystości, porządku i... Shen jeszcze raz przyjrzał się, tchnącemu spokojem prostemu pięknu.

Wzruszył ramionami i wyprostował się. Tego się nie spodziewał. Zaintrygowany skierował się ku chacie.

Zanim przebył połowę drogi, w wejściu stanęła młoda dziewczyna ubrana w zieloną sukienkę i kremowy fartuch. Podeszła do jednej z grządek, wyrwała z ziemi dwie duże marchewki, uniosła głowę i spojrzała na niego.

Spodziewał się, że krzyknie i ucieknie, a z chaty wyskoczy kilku braci, kuzynów, wujów albo innych przedstawicieli męskiej części rodu i przywita go z typową chłopską gościnnością widłami i cepami. Ten rodzaj humoru pasowałby do przemądrzałych informatyków, przed którymi ostrzegał go Bob. A potem oczywiście filmik z jego przygody będzie mogło zobaczyć w Sieci pół świata. Taki rozwój wydarzeń byłby, hm, logiczny. Tyle, że czekała go kolejna niespodzianka.

Dziewczyna przez chwilę wyglądała raczej na zaskoczona niż przestraszona, potem uśmiechnęła się radośnie, jakby właśnie zobaczyła długo oczekiwanego gościa, i jakby nigdy nie weszła do chaty.

Cholera, to było nie tyle dziwne, ile... Szukał w myślach właściwego słowa. N i e r z e c z y w i s t e . Koncepcja, że to głupi kawał robiony jednemu psychologowi na stacji przez znudzonych programistów, zaczęła się chwiać.

Dziewczyna pojawiła się w drzwiach i mruknęła:

- Długo jeszcze będziesz tam stał jak słup? Obiad wystygnie.

Dopiero teraz zauważył, że jest o dobrych kilka lat starsza, niż można by sądzić na pierwszy rzut oka. Odmładzała ją fryzura - gęste, ciemne pukle związane na karku zieloną wstążką - i oczy - jasnoniebieskie, uśmiechnięte, ozdobione niesamowitej długości rzęsami. Ale nawet teraz dałby jej najwyżej dwadzieścia pięć lat.

Zauważyła jego spojrzenie i odwzięczyła mu się podobnym, uważnym i taksującym.

- Mam na imię Barbie, a ty?

Siedział przy drewnianym, nawoskowanym do połysku stole i mechanicznie wiosłował łyżką. O ile był w stanie to stwierdzić, poziom gulaszu w postawionej przed nim misce obniżał się, zatem program musiał dla gospodyni symulować ruchy jego szczęki i odgłosy przełykania. Ciekawe, czy zasymulował również głupią minę, gdy wymieniła swoje imię. Na szczęście dołał już dojść do siebie. Barbie, szlag, jakimś cudem znalazłem się w miejscu, w którym Barbara Landor chowa się przed Yamadą - myślał gorączkowo. Przez chwilę rozważał nawet, czy Ja-

pończyk się nie złamał i to niespodziewane zaproszenie nie było formą przeprosin. Po namyśle doszedł jednak do wniosku, że to niemożliwe - po pierwsze szef projektu nie uciekał się do takich metod, a po drugie, chyba naprawdę nie wiedział, gdzie przebywa pacjentka. Więc kto go tu zaprosił?

Przynajmniej wnętrze chaty w niczym go nie zaskoczyło. Budynek był jednoizbowy, ale najpewniej miał poddasze, na które prowadziły wąskie, strome schody. Całość jednak różniła się nieco od zwykłych wiejskich chałup. Przede wszystkim miała solidną, drewnianą, błyszczącą z czystości podłogę, a naprzeciw drzwi był umieszczony spory kominek, buzujący w tej chwili ogniem, nad którym wisiał miedziany kociołek. Obok kominka znajdował się duży stół, zastawiony garnczkami, słojami i kubkami rozmieszczonymi według jakichś trudnych do sprecyzowania reguł. Z haków nad nim zwisały się drewniane talerze, łyżki, chochle i inne, nie dające się zidentyfikować na pierwszy rzut oka kuchenne precjoza.

Na szerokiej półce tkwił imponujący komplet miedzianych garów, patelni i pokrywki. Można by tu było przyrządzić obiad dla kompanii wojska - ocenił.

Jeden kąt chaty okupowało kilka wielkich skrzyń, a po przeciwnej stronie, zaraz pod oknem, rozkraczył się długi stół z dwiema ławami przy dłuższych i dwoma przesłami przy krótszych bokach.

Za stołem, pod samą ścianą, stało kilka wiklinowych koszy, nad którymi zajęły strategiczną pozycję pęki ziół i przypraw.

Wszędzie panował porządek, ale nie był to bezpłciowy porządek komputerowej symulacji. Tutaj mieszkał ktoś, kto kochał te przedmioty i dbał o nie. Tysiąc i jeden szczegółów mamrotało o tym do niego z każdego kąta. Wśród przyborów kuchennych panował pewien nieład, świadczący o tym, że gospodyni jest osobą bardzo schludną, ale na swój własny sposób. Białe stołu kuchennego był wytarty tam, gdzie najczęściej stawiano garnki, a talerze, kubki i łyżki poukładano tak, by łatwo można było je zdjąć i...

O mało nie palnął się ręką w czoło. Przecież całe wyposażenie kuchni świadczyło o tym, że w chacie, jeśli nie mieszka, to stołuje się co najmniej kilka osób. Do diabła, wiszący nad ogniem kociołek miał z dziesięć litrów!

Nic dziwnego, że dziewczyna nie wyglądała na zaniepokojoną.

No cóż, nie zaszkodzi zapytać.

- Wybacz niedyskrecję, ale czy mieszkasz tu sama?

Uśmiechnęła się.

- Nie, z dziećmi. Chłopcy poszli na ryby, a dziewczynki bawią się na łące.

Chłopcy i dziewczynki?

- A twój mąż?

- Nie mam męża. Nigdy nie miałam.

Podeszła do paleniska, zamieszała chochlą w kociołku.

- Dobrze, że zdażyłeś, zanim wróciła ta banda głodomorów. Gdybyś się spóźnił choć pół godziny, nic by nie zostało. -

Postanowił podjąć grę. Uniósł łyżkę do ust.

- Mmm, to najlepszy gulasz, jaki jadłem od wieków.

Obdarzyła go szczerym uśmiechem.

- Dziękuję.

Podeszła do ściany, zdjęła olbrzymią patelnię i drewniany tłuczek.

- Nie przestrasz się, proszę - powiedziała wychodząc na dwór.

Chwilę później rozległ się piekielny łoskot. W końcu walenie w miedzianą patelnię tak właśnie powinno brzmieć.

Pojawiła się z powrotem, odwiesiła „gong” na miejsce i zaczęła rozkładać na stole więcej talerzy. Każdy był inny, podobnie jak żadna łyżka nie posiadała pary.

Machinalnie policzył nakrycia. Siedem.

Barbara, nawet ta w sieciowej wersji, nie wyglądała na matkę sześciorga dzieci. W dodatku niezamężną.

Zanim zaczął na serio rozważać ten problem, drzwi otworzyły się z trzaskiem i wpadł huragan. Huragan składał się z trzech części, na oko siedmio- czy ośmioletnich, o bliżej nieokreślonej płci, za to najwyraźniej uważających za punkt honoru zrównanie chatki z ziemią.

- Mamo, mam, patrz, co złowiłem - darło się jedno z dzieci, wywijając nad głową dwukilową rybą.

W tym samym czasie drugie, sądząc po stroju również chłopiec, runęło pod stół, przegalopowało na czworakach pod nim, omal nie rozbijając sobie głowy o jedną z nóg Shena, i wystrzeliło na wprost - wpadając w stertę koszyków stojących pod ścianą. Suszone owoce i grzyby nie miały żadnych szans.

Trzeci z łobuziaków wiedziony zapachem podbiegł do kociołka z gulaszem i usiłował wsadzić do niego głowę.

W tym momencie do akcji wkroczyła Barbara. Zręcznym ruchem odebrała jednemu z chłopców wirującą makrelę, osadziła na miejscu wciąż pędzącego przed siebie pogromcę suszonych owoców i chyba tylko cudem uratowała przed utonięciem w gulaszu trzecią pociechę.

Widać było, że ma wprawę.

- Chłopcy! Jak wy się zachowujecie? Przecież mamy gości.

Zapadła chwila ciszy.

Kobieta spojrzała na spustoszenie w izbie, obrzuciła wzrokiem rybę, przewracane koszyki i małego blondaska usiłującego zlizać sos z czubka nosa.

Uniosła demonstracyjnie oczy w górę.

- Dlaczego ja?! Za jakie grzechy?!

Chłopcy stanęli przed nią z niepewnymi minami. Nie była dobrą aktorką, parsknęła naraz śmiechem i otworzyła szeroko ramiona. Omal jej nie przewrócili.

Potem cała czwórka długo wymieniała czułości.

- Chłopcy - gospodyni odwróciła ich ku Shenowi - to jest pan Denawer. Ten, którego zaprosiła do nas Ani.

Trzy pary jasnych oczu mierzyły go podejrzliwie, w czasie, gdy zastanawiał się, kto to jest, do licha, Ani? Najstarszy z chłopców, specjalista od ryb, zagadnął:

- Zostaniesz z nami?

- Nori, to nieładnie wypytywać gości - potargała chłopcu włosy pieśczośliwym gestem. - To jest Nori, to Goren, a to Waell. - Wytarła najmłodszemu buzię skrajem fartucha. - Nasz spec od wywachiwania jedzenia.

Słowo jedzenie podziałało jak zaklęcie.

- Jeeeść!

W ciągu sekundy chłopcy wpakowali się na ławę i walczyli talerzami w biał, zaczęli skandować:

- Jeść! Jeść! Jeść!

Barbara zmierzyła ich surowym wzrokiem.

- A wasze siostry?

- Eee tam, dziewczyny.

- No właśnie, one zawsze się spóźniają.

- To nie nasza wina.

-Jestem głodny!

Matka tupnęła nogą.

- Cisz! A kto posprząta ten cały bałagan? Zaczniemy jeść dopiero, gdy przyjdą dziewczynki. Do tego czasu macie pole do popisu tam.

Wskazała poprzewracane koszyki i stertę rozsypanego suszu.

- Ale mamooo...

Tym razem wystarczyło tylko gniewne spojrzenie. Cała trójka wygramoliła się zza stołu i smętnie podreptała w stronę poprzewracanych koszyków.

Barbara westchnęła cicho i posłała mu łobuzerski uśmiešek.

- Czasem muszę być bardziej generałem niż matką.

Mimowolnie odpowiedział uśmiechem.

W tym momencie ekran sensokasku pokrył się „śniegiem” i zgasł. Pseudoskóra zwiotczała jak przemoczony skafander nurka. Przejście było tak gwałtowne, że Shen na chwilę zastygł w bezruchu, otrząsając się z szoku. To nie było zwykłe przerwanie łącza, ktoś go po prostu wykopał z tego fragmentu wirtualu. A on wcale nie wiedział więcej niż przed godziną.

Nie, poprawił się w myślach, ściągając kask i pseudoskórę. Musiał uczciwie przyznać, że czegoś się dowiedział. Jeśli miejsce, gdzie trafił, faktycznie było kryjówką Barbary Landor, była to kryjówka niepodobna do niczego, z czym do tej pory się zetknął. Większość jego pacjentów uciekała w nibyświaty, gdzie ich los i status społeczny były niepomernie wyższe niż w rzeczywistości. Multimilionerzy, królowie, gwiazdy muzyki i filmu, superbohaterowie - niemal wszyscy młodzi, piękni, bogaci i niezwykli. Ale matka szóstki dzieci, mieszkająca w wiejskiej chacie gdzieś na odludziu? I na dodatek wyglądająca na osobę szczęśliwą? To było coś nowego.

Właśnie kończył się przebierać, gdy interkom brzęknął i na ekranie pojawiła się twarz norweskiej asystentki Yamady. Kobieta wyglądała, jakby przed chwilą stoczyła walkę bokserską, jej lewe oko ozdabiał potężny siniak, na prawym policzku widniał szeroki opatrunek. W oczach miała ognie piekielnej furii.

- Doktorze Denawer. Jest pan proszony do laboratorium. Natychmiast.

Znikła z ekranu, zanim zdążył otworzyć usta.

- Co pan sądzi o tajemnicy lekarskiej?

To pytanie go nie zdziwiło. Lekarzowi o jego specjalności zadaje się je częściej niż jakimkolwiek innemu. Co, jak co, ale zaburzenia w pracy umysłu ludzie wolą utrzymywać w sekrecie za wszelką cenę.

- To druga najważniejsza rzecz w naszym zawodzie - odpowiedział dyplomatycznie.

Yamada uśmiechnął się leciutko.

- Zapewne powie pan, doktorze Denawer, że pierwszą jest dobro pacjenta? Mylę się?

- Nie, profesorze, nie myli się pan.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Ostatnie starcie ustawiło ich po przeciwnych stronach barykady i ani jeden, ani drugi nie miał zamiaru udawać, że jest inaczej.

Siedzieli w opustoszałym laboratorium. Jedyne oświetlenie stanowiła blada poświata z monitora znajdującego się przed Yamadą. Reszta pomieszczenia ginęła w mroku. Japończyk uśmiechnął się leciutko.

- Chcę, żeby pan coś zobaczył, doktorze.

Ekran przed Shenem rozjaśnił się, ukazując widok z jednej z kamer w laboratorium. Barbarę otaczał rój ludzi. Jedni podpinali jej kroplówki, inni zawzięcie gapili się w monitory, z boku popiskiwało jakieś urządzenie.

Dwóch lekarzy podpłynęło do pacjentki i ostrożnie zdjęło jej kask.

- Wyłączcie ją - zakomenderował jeden z nich.

Nagle kobieta szarpnęła się, machnęła bezwładnie ręką - kask, wytracony w ręk lekarza, poleciał pod sufit - po czym westchnęła cicho, jakoś tak rozdzierająco, i zwiotczała w podtrzymującej ją uprzęży. Dźwięk aparatury, której Shen nie widział, zaczął przyspieszać, aż przeszedł w wysoki, świdrujący pisk.

- Zapaść! Ma zapaść! Dajcie defibrylator!!!

Kilku lekarzy doskoczyło do kobiety. Shen przytępał się na tym, że patrząc na targane elektrowstrząsami ciało, zaciska dłonie w pięści.

- Tracimy ją, ciśnienie spada!

- Nie reaguje!

- Zwiększ ładunek! Szybciej!!!

Osobą, która nie wpadła w panikę, okazała się Pamela Jakobson. Złapała za ramię najbliższego wyposażonego w kask asystenta, zdarła mu go z głowy, omal nie skręcając przy tym karku, i podpłynęła do Barbary. Roztrząciła kłębiących się przy niej medyków i założyła urządzenie nieprzytomnej kobiecie. Barbara momentalnie zamieniła się w wyjąca i wymachującą na wszystkie strony rękami furię. Asystentka dostała łokciem w twarz, zakłęła, złapała obie ręce chorej, usiłując ją opanować.

- Włączcie ją w Sieć! Włączcie ją w Sieć!!! - wrzasnęła.

Barbara znieruchomiała. Kiedy Pam Jakobson odwróciła się do kamery, na jej policzku widniały cztery krwawe pręgi, a oko już zaczynało puchnąć.

- Będziemy potrzebować Denawera - warknęła w stronę kamery.

- Wiem, Pamel - odpowiedział jej głos niewidocznego Yamady.

Dotknęła dłonią policzka, popatrzyła zdumiona na ślady krwi.

- Który sukinsyn miał jej przyciąć paznokcie?

Monitor zgasł. Shen zaprotestował.

- Zaczynało się robić ciekawie.

- W tej chwili, doktorze, powinna pana interesować tylko Barbara Landor. Widział pan, co zaszło. Nigdy jeszcze tak się nie zachowała. Jeśli uciekała nam w Sieć, mogliśmy ją odpiąć, wtedy co najwyżej zapadała w śpiączkę. Zazwyczaj po dniu lub dwóch podpinaliśmy ją z powrotem i mogliśmy kontynuować zabiegi. Ale po wczorajszych wydarzeniach Barbara nie daje się wypiąć. Próbowaliśmy jeszcze raz, proszę nie robić takiej miny, tym razem byliśmy ostrożniejsi. Bez skutku, również miała zapaść lub stan podobny do zapaści. Po podłączeniu ucieka nam w Sieć, jej mózg jest aktywny, wszczep pracuje, ona gdzieś przebywa, a my nie wiemy gdzie.

Shen zastanawiał się cały czas, czy Yamada go testuje. Niespełna przed godziną opuścił miejsce, w którym naj-

pewniej Barbara znalazła schronienie. Czy Japończyk właśnie sprawdza jego lojalność? Czy powinien teraz uśmiechnąć się szeroko i opowiedzieć mu o chacie wśród wzgórz i kobiecie z kilkorgiem dzieci?

Uśmiechnął się szeroko i zapytał:

- Kiedy zrobiono ten film?

- Kilka minut po zabiegu. Gdy szukał pan natchnienia w barze.

- Czyli jakieś... pięć godzin temu? I od tej pory Barbara wam ucieka?

- Tak.

- Profesorze, proszę mi wyjaśnić, jak to możliwe, że nie jesteście w stanie jej odnaleźć? Może i nie jestem programistą, ale w mojej specjalności pewna wiedza jest niezbędna i ta wiedza mówi mi teraz, że to mało prawdopodobne.

- Obaj wiemy, że wiedza to potęga i iluzja jednocześnie. - Yamada posłał mu poirytowane spojrzenie. - Zasoby pamięci komputerów tej stacji sięgają kilkuset milionów terabajtów. Mamy stałe łącza o przepustowości tysięcy gigabajtów, zarówno z Ziemią, jak i wszystkimi obiektami w kosmosie w promieniu kilkunastu tysięcy kilometrów, i nie możemy ich przerwać, bo na orbicie jest za dużo śmiecia, żeby odizolować stację od reszty świata. Do tego setki przenośnych systemów komputerowych używanych przez pracowników. Łatwo się tu ukryć i łatwo stąd wydostać.

- Pan wybacz, ale Barbara Landor nie jest programistką ani informatykiem. Niemożliwe, aby sama była w stanie wymknąć się waszym ogarom... - przerwał. Yamada tylko się uśmiechnął.

- No właśnie. Więc jaki stąd wniosek?

Shen milczał.

- Ma pan jakieś podejrzenia? - zapytał wreszcie cicho.

- Na razie nie. Proszę jednak pamiętać, że w naszej dziedzinie konkurencja jest olbrzymia. Niejedna firma zapłaciłaby miliony za dane dotyczące mojej metody, a jeśli nie zdołałaby się dostać do bazy danych Stacji, mogłaby spróbować... hm... porwać pacjentkę, wirtualnie oczywiście, i przekonać ją, aby zdradziła szczegóły. Być może jesteśmy w tej chwili świadkami narodzin nowej gałęzi przestępstw: wirtualnego uprowadzenia. Doktorze Denawer, czy pomoże mi pan odnaleźć i sprowadzić Barbarę z powrotem?

Shen zagapił się na znajdującą się po drugiej stronie szyby aparaturę. Nie miał zamiaru udzielać pospiesznych odpowiedzi.

- Co pan właściwie z nią robi, profesorze?

- To nasz ściśle strzeżony sekret. - Japończyk poruszył się, skrzypnęły podtrzymujące go w fotelu pasy. - Nie mam upoważnienia, żeby go panu zdradzić.

Już to słyszał.

- A więc czego pan po mnie oczekuje? Cudu?

- Niezupełnie... Jutro, najpóźniej pojutrze podepnemy Barbarę do odizolowanego zestawu VR. Całkowicie odizolowanego. Bez łączności z resztą Sieci. Wtedy będzie pan mógł nawiązać kontakt.

- Dlaczego nie trafiła w takie środowisko od razu?

Yamada posłał mu cierpiętnicze spojrzenie i pstryknął w jakiś przycisk.

- Pam.

Gdzieś w umownej „górze” rozsunęły się drzwi i po chwili obok nich pojawiła się asystentka Yamady. Opu-

chlizna nadal szpeciła jej oko, a opatrunek z bliska wcale nie wyglądał mniej paskudnie.

- Pamela jest specjalistką od VR. Ona to panu wyjaśni.

- Nie mamy odpowiedniego sprzętu, doktorze. - Pamela Jakobson nie patrzyła na niego, tylko gdzieś obok, głos miała chłodny i profesjonalny. - Nie chodzi o sam virtual, lecz o nadzór nad procesem leczenia na poziomie komórkowym. Osiem połączonych komputerów centrów medycznych w Waszyngtonie i Tokio na bieżąco monitoruje wszystkie procesy zachodzące w ciele pacjentki. Te na stacji udławiłyby się taką ilością danych. To pierwszy w historii...

- Wystarczy, Pam. - Yamada uśmiechnął się lekko. - Doktor nie jest zainteresowany szczegółami technicznymi. Chodzi o to, że do tej pory nie mieliśmy sprzętu, żeby przeprowadzić kurację własnymi siłami, że się tak wyrażę. Zresztą nadal go nie mamy, lecz sytuacja jest wyjątkowa. Jestem gotów zaryzykować, zanim ktoś zabije Barbarę.

Shen posłał mu szczerzy i szeroki uśmiech. Chciał powiedzieć, że jesteś gotów ją zabić z obawy, że ktoś wyciągnie z niej informacje, prawda? Tylko że nikt z niej nic nie wyciąga, ale... No właśnie, ale co?

- Rozumiem - powiedział posyłając Japończykowi spojrzenie w stylu „zatroskany lekarz”. - Mam nadzieję, że wie pan, profesorze, iż proces leczenia czasami trwa wiele tygodni albo nawet miesięcy. I że jeśli zacznę pracę, nie przerwę jej, dopóki Barbara nie będzie całkowicie zdrowa. Nie podlecę jej tylko po to, żebyście mogli z powrotem wepchnąć ją w virtual.

- Jej zdrowie i życie jest najważniejsze, doktorze.

- Dobrze, że przynajmniej co do tego się zgadzamy. Barbara trafiła tu niemal dwa lata temu w ostatnim stadium raka. To oznacza, że cokolwiek jej robicie, jest nadzwyczaj skuteczne. Ale, panie profesorze, widywałem zdrowych jak ryba pacjentów, zdrowych fizycznie, którzy podcinali sobie żyły, bo nie byli w stanie poradzić sobie z życiem poza Siecią. Nie chcę, żeby wyleczył ją pan z białaczki, by wegetowała gdzieś jako wrak człowieka. Na jakim etapie jest leczenie?

- Usunęliśmy osiemdziesiąt procent komórek nowotworu. Ustąpiły przerzuty z wątroby, nerek i płuc.

- Imponujące. Dacie radę utrzymać ją przy życiu, jeśli będziemy musieli na jakiś czas ograniczyć tę pańską cudowną kurację?

Japończyk wpatrywał się w niego intensywnie.

- Może... Tak - poprawił się. - Myślę, że tak. Choć nie potrafię określić, na jak długo.

- A więc dobrze, profesorze. Zróbmy to. Oczywiście przywróci mi pan wszystkie uprawnienia?

- Jak najbardziej, doktorze Denawer.

Wracając do kwatery, wcale nie miał ochoty podskakiwać z radości. I to nie tylko dlatego, że w stanie nieważkości i tak byłoby to niemożliwe. Shen widział Barbarę w virtualu, tym stworzonym przez Yamadę, i najprawdopodobniej widział ją również w miejscu, gdzie się schroniła. To były dwie różne osoby. Pierwsza - zagubiona, niepewna, nieśmiała i... krucha, tak, krucha w sensie psychicznym. Druga - silna, spokojna, zdecydowana i szczęśliwa. Tak bardzo, jak może być szczęśliwa samot-

na matka wychowująca sześcioro dzieci. To nie było roz-dwojenie osobowości, tylko jej rozpad na dwie niezależne części, które być może nawet nie wiedziały o sobie na-wzajem.

Oczywiście zakładając, że pewien przemądrzały psy-cholog znów nie wysnuwa przedwczesnych wniosków - pomyślał kwaśno.

Poza tym nagły pośpiech, który Japończyk wykazuje w jej sprawie, jest co najmniej dziwny. Chyba że napraw-dę obawiają się, że ktoś pomógł Barbarze w ucieczce i teraz wyciąga z niej informacje. Ale - i tu pojawia się kolejna dziurka - ona w obecnym stanie nie ma zielonego pojęcia, co się z nią dzieje. Nawet gdyby istnieli jacyś porywacze, niczego by z niej nie wyciągnęli.

No i oczywiście była jeszcze sprawa małej chaty wśród porośniętych wrzosem wzgórz i mieszkającej tam kobiety o imieniu Barbie. Oraz jej dzieci. Jeśli Yamada poddał go jakiemuś testowi, on ten test oblał na całego, a Japończyk nawet nie mrugnął. Chyba więc nic jednak nie wiedział o tajemniczym spotkaniu, co było tyleż nie-wiarygodne co przerażające.

Uśmiechnął się. Jeśli po dotarciu do kabiny zastanie swoje rzeczy spakowane i bilet powrotny na Ziemię, bę-dzie wiadomo, że rozmowa z szefem nie poszła tak, jak powinna. Ale jeśli zobaczy włączony terminal i zaprosze-nie do wejścia w Sieć...

Oczywiście skorzysta. W końcu co miał do stracenia oprócz kariery, dobrego imienia i dorobku całego życia?

Wejście w sztuczny świat było tym razem błyskawicz-ne. Zupełnie jakby ktoś na niego czekał. Znalazł się w tym samym miejscu, które opuścił przed jakimiś dwiema go-dzinami.

Chata była pusta, zniknęły dzieci, znikła ich matka. Nie bez śladu, o nie, takiego melodramatycznego zwrotu akcji nikt mu nie zafundował. Widać było, że odbył się normalny posiłek, na stole stało siedem talerzy z resztkami gulaszu, miedziany kociołek opróżniony do czysta kró-lowiał pomiędzy nimi. Najwyraźniej cała rodzina zjadła obiad i opuściła dom.

Drzwi otworzyły się i weszła dziewczyna. W pierw-szej chwili pomyślał, że to Barbara, ale nie, ta wyglądała na czternaście, piętnaście lat i choć podobna do matki, ciągle miała w sobie więcej z podlotka niż dorosłej osoby. Sapiąc wtaszczyła do środka dwa wiadra wody i starannie zaniknęła drzwi.

- Mama jest na górze - wskazała kciukiem schody prowadzące na poddasze. - Źle się czuje.

- Czy...

Idź ją zobaczyć, proszę. Ja tu ogarnę.

Otworzył usta.

- Nie. Nie odpowiem na żadne pytania, dopóki jej nie zobaczysz, doktorze.

Schody były proste, ze stopniami wyślizganymi od częstego używania, a samo poddasze... O ile kuchnio-ja-dalnia była czysta, schludna i w miarę uporządkowana, to poddasze opanował chaos. Nie, poprawił się w myślach, zwalczając pierwsze wrażenie. Nie chaos zagraconej komórki czy zaniedbanego strychu, lecz po prostu ten ro-dzaj przytulnego rozgardiaszu, jaki cechuje po-

mieszczenie zamieszkałe przez kilka różnych osób, które muszą podzielić się ograniczoną przestrzenią. Z pochy-łego sufitu zwisały się kolorowe maty, dzielące całość na kilka mniejszych części, z których każda miała własne łóżko, jakiś stół czy szafkę i niewielką lampę. Pod ścianami stały pudła, skrzynie i wieszaki na ubrania, w wielu miejscach wisały jakieś obrazki, ozdobne ple-cionki z kwiatów i traw, ładnie ukształtowane kawałki drewna, ujawniające skrytą wewnątrz tajemnicę. W oczy rzucał się spięty do skoku koń, wyrzeźbiony kilkoma ruchami noża z powykęcanej gałęzi. Ktoś miał duży ta-lent.

Trzy świetliki wpuszczały do środka dość światła, by mógł zobaczyć postać leżącą na najbliższym łóżku. Re-gularny oddech bynajmniej go nie uspokoił, zwłaszcza że twarz Barbary była blada i pokryta potem. Spała jak ktoś zmęczony przerażającym wysiłkiem.

To virtual, musiał sobie przypomnieć, jesteś w sztucz-nym świecie, to, co widzisz, nijak ma się do rzeczywistoś-ci. Przed oczami stanęła mu kobieta, która uciekając przed uwodzącym ją konstruktorem, rozpadła się na miliard ka-wałków i zaraz po tym na wpół naga, obwieszona sprzę-tem medycznym postać wyjąca wniebogłosy i wymachu-jąca rękami, dopóki nie włączono jej w Sieć. Wygląda na to, że z jednego piekła uciekała w drugie.

Kiedy wrócił na dół, dziewczyna skończyła właśnie napełniać wodą wielki kocioł i rozpałała pod nim ogień. Kawałki drewna trzaskały i dymiły, sypiąc iskrami.

- Rozpalanie mokrym drewnem to zawsze problem - nie odwracając się, dorzuciła jeszcze kilka polan i wsadzi-ła palec do wody. - Za pół godziny będzie wrzeć.

- Kim jesteś?

- Mam na imię Ani. Jestem najstarszą córką kobiety, którą koledzy nazywali Barbie.

Podszedł do stołu i usiadł starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów. System zabezpieczeń, tłućło mu się pod czaszką, muszą tu mieć superszybki system zabezpie-czeń, skoro potrafią wykopać człowieka w ułamku sekun-dy i tak samo szybko wpuścić go z powrotem.

- Nie o to pytam.

- Nie - odwróciła się i stanęła w postawie zamkniętej, pochylona, z podniesionymi ramionami i rękami założo-nymi na piersi. - I chce pan usłyszeć coś w stylu: jestem superhaker iks, który na polecenie firmy igrek porwał Barbarę Landor i przetrzymuje ją w wirtualnym więzieniu. Proszę przekazać Yamadzie nasze warunki.

- Owszem. I jeszcze: uwolnimy ją, jak dostaniemy pół miliona w używanych dwudziestkach. Niech wasz czło-wiek zostawi torbę z pieniędzmi na rozstajach dróg w dziu-pli starego dębu. I żadnych glin, bo przysłemy wam jej palec.

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko.

- Dobrze. To było niemal zabawne, biorąc pod uwagę okoliczności... Jak wypadł test?

- Test?

- Proszę nie udawać, doktorze. Może mały cytat? Kon-strukty dobrze sobie radzą z udawaniem ludzi, symulują emocje takie, jak radość, strach lub zdziwienie, lecz jak na razie żaden najbardziej nawet rozwinięty program nie jest w stanie zanalizować abstraktu, jakim jest ludzkie po-czucie humoru. Część z nich posiada olbrzymie bazy danych z dowcipami i żartami, żeby wiedzieć, kiedy na-

leży udawać rozbawienie, jednakże gdy trafiają na nową sytuację, która dla ludzi jest śmieszna, traktują ją z całkowitą powagą lub próbują dostosować swoje zachowanie do zachowania otaczających ich ludzkich graczy. Dowcip słowny jest niezrozumiały w dziewięciu wypadkach na dziesięć. Shen Denawer „Tu i tam - analiza zachowań konstruktów pseudoSI w światach VR”. Artykuł ukazał się trzy lata temu w „Naturę”, prawda?

- Może jeszcze podasz mi stronę?

- Czternasta. Więc jak, doktorze? Jestem człowiekiem?

Skinął głową.

- Myślę, że tak. Ale nadal nie wiem, kim.

Uśmiechnęła się szerzej, tak że ciarki przeszły mu po grzbiecie. To był grymas szaleńca, maska osoby stojącej o krok od załamania nerwowego.

- A ja myślałam, że pan mi powie, kim jestem, doktorze Denawer. Miałam nadzieję, że powie mi pan, kim jestem, i upewni mnie w tym, kim mam nadzieję nie być.

- To znaczy?

- Snem, marzeniem, fragmentem rozpadającej się osobowości, zaburzeniem umysłowym, chwilową aberracją systemu. Złudzeniem.

- Nie rozumiem.

- Czy Yamada ma zamiar odciąć moją matkę od Sieci?

- Masz na myśli Barbarę Landor?

Skinęła głową.

- Dlaczego nazywasz ją matką?

- Bo nią jest, doktorze. Urodziła mnie krzycząc, jak większość kobiet, a potem przytuliła do piersi i obiecała, że zawsze będzie się mną opiekować. Taka obietnica zobowiązuje obie strony i teraz ja opiekuję się nią.

-Ale...

Przerwało im otwarcie drzwi.

- Ani! Ani! Nat spadła ze skałki!

Do chaty wpadła mała, na oko sześćioletnia dziewczynka w postrzępionej sukience. Ani poderwała się do biegu, momentalnie zapominając o Shenie.

- Gdzie?!

- Na zielonej plaży. Już tu idzie.

Ani wyhamowała w pół drogi do drzwi.

- Jak to: idzie?

- No... kolano rozbiła sobie, ale kuśtyka. Kuśtyk, kuśtyk... kuś... - Mała przerwała widząc minę siostry.

- Bea, więc czemu gadasz, że spadła? A ja też głupia, zamiast foksować, chcę lecieć biegiem - wyjrzała za drzwi. - No wchodź, zaraz ci to opatrzę.

Weszła następna dziewczynka. Przynajmniej z rozmowy Shen wynioskował, że to dziewczynka, bo ubrana jak chłopak, z krótkimi włosami i twarzą ulicznego rozrabiaki wyglądała jak kolejne wcielenie Hucka Finna. Dałby jej dziesięć lat. Ani podeszła do niej i pochyliła się nad rozdartymi na prawym kolanie spodniami. Syknęła.

- Noo... to musiało zboleć. Cała skóra zdarta. Usiądź przy stole, zaraz przyniosę wodę do przemycia.

Mała kulejąc podeszła do ławy i usiadła, rzucając mu kosę spojrzenie. Najmłodsza dziewczynka podeszła do niej na paluszkach i teatralnym szeptem oznajmiła:

- Krew ci leci.

Shen widział wyraźnie rozdartą nogawkę i plamę szkarlatu przesiąkającą przez materiał.

- Może ja pomogę - wstał i podeszedł do Nat. - Jestem lekarzem.

- Ale od głowy, a nie od kolan - oznajmiła Bea.

- Na kolanach też się trochę znam - mruknął przyklejając przed Nat. - Boli?

- Trochę - nie odrywała wzroku od jego twarzy, miał wrażenie, że dwie zielone latarenki zaraz wypalą mu dziurę w czole.

Podwinął jej nogawkę i cicho gwizdnął.

- No, no. Musiałas spaść z niezłej wysokości. Zegnij nogę, powoli, dobrze. Boli?

Virtual - znów załomotało mu pod czaszką. Jesteś w virtualu. Ta rana to tylko symulacja. Trochę cyfrowej pamięci i garść obliczeń. Nic, tylko informacja. Uniósł wzrok i napotkał wzrok Nat. Żrenice miała jak łebki od szpilek, a na poblądłym czole szklił się pot. Mięśnie szczęk rysowały się pod skórą. Przeniósł spojrzenie na ranę. Po poruszeniu nogą krew zaczęła mocniej płynąć.

- Wszystkie macie trzyliterowe imiona? - zagadnął.

- N... nie. Ani to... Ann-Marie, Bea... och... Bea... frycze i Natalie. Jej!

Musiał z całej siły przytrzymać jej nogę, żeby nie wyszarpnęła się z uścisku.

- Ty jesteś Natalie, tak?

- Tak... oj... - pojawiły się pierwsze łzy.

- To Waell poskracał nam imiona, doktorze. - Ann-Marie wyrosła mu za plecami z miską gorącej wody i zwojem bandaży. - I tak jakoś się przyzwyczaiłyśmy. Jak rana?

- Zdarta skóra, uszkodzone naczynia, spore krwawienie. To drobiazg. Bardziej martwi mnie to - delikatnie zaczął zginać nogę.

- Oj... ojoj!

- Właśnie. To może być uszkodzona torebka stawowa.

Virtual - odezwał się ponownie głos w jego głowie. Jesteś w sztucznym środowisku. Tu nie ma torebek stawowych, kości i krwi. Są tylko ich symulacje, coś, co można naprawić w ułamku sekundy.

Więc dlaczego to dziecko podskakuje za każdym razem, gdy poruszysz jego nogą? Konstrukt?

- Czyli trzeba będzie usztywnić. - Ani postawiła miskę na ziemi i zabrała się za przemywanie rany. Nat zacisnęła zęby i milczała.

- Często jej się to zdarza?

- Za często. - Najstarsza z dziewcząt pokazała kilka blizn na nodze siostry. - Mama mówi, że powinna się urodzić chłopakiem.

- Byłaby ładnym chłopakiem - mruknął.

Wydawało mu się, że się zarumieniła. Za małą, żeby określić, kim lub czym jest.

- Widzę, że masz bandaże na takie okazje - wskazał opatrunki.

- Przy tej bandzie to niezbędne minimum. Ale Nat i tak zużywa ich dwa razy tyle co reszta.

- Jeśli owiniesz ją wszystkimi, wypłacze się z nich dopiero na swoją osiemnastkę.

Nat parsknęła śmiechem, który zaraz przeszedł w płaczliwy jęk, gdy siostra mocniej przycisnęła szmatkę do rany, zmywając zaschniętą krew. Rozpoznawanie abstrakcyjnych dowcipów to domena ludzi. Czyli Natalie była człowiekiem, graczem wcielającym się w postać małej dziewczynki. Rzucił okiem na Beę.

- Ona też. - Ani wypłukała szmatkę w wodzie i z porurą miną zaczęła ponownie czyścić ranę. - Choć jeśli uda się panu opowiedzieć żart, który zrozumie sześciolatka, to gratuluję. Bea ciągle uważa, że puszczenie bąka to powód do śmiechu.

- Znam czterdziestoletnich mężczyzn, którzy też tak uważają.

- Ja tu jestem - przypomniała o sobie mała.

- Słyszę, Bea.

- Mama mówiła, że to nieładnie mówić o kimś, kto stoi obok.

- To prawda. Idź i zobacz, jak ona się czuje. Pomoże mi pan, doktorze?

- Oczywiście.

Milczeli kończąc bandażowanie. Po zabiegu noga Nat wyglądała, jakby w miejscu kolana dziewczynka miała melon. Natalie przyjrzała się ich dziełu, na próbę stanęła na zranionej nodze, dramatycznym, wystudiowanym gestem zmierzyła szerokość opatrunku.

- Lekarz od głowy i przemadzała starsza siostra - westchnęła ciężko. - Może mi powiecie, jak teraz dam radę ściągnąć spodnie?

Wymienili spojrzenia i po sekundzie parsknęli śmiechem.

Ze strychu dobiegł ich krzyk.

- Mam o!!! Mamusiu!!! Gdzie jeste! Maaamooo!

Ani umilkła w ułamku sekundy. Przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby czegoś nasłuchiwała.

- Zabrali ją - przeniosła na niego ciężkie, mroczne spojrzenie. - Zabrali ją od nas. Niech pan ją sprowadzi z powrotem, doktorze.

- Co?

- Yamada pana okłamuje. Proszę sprawdzić, jak długo moja matka ma wszczep. I co zamawiają z Ziemi regularnie co trzy, cztery miesiące. Już!

Łącze zostało przerwane.

Gdybym miał wszczep - pomyślał zdejmując kask, takie wykopywanie z systemu mogłoby uszkodzić mi neuroprzekaźniki. Spojrzał na zegar. Osiemnasta trzynaste czasu stacji. Zabrali ją, powiedziała. Czy to znaczy, że Yamada wypiął Barbarę z Sieci wcześniej, niż zapowiadał? I kim były te dzieciaki, w co grały i jak, do ciężkiej cholery, potrafiły oszukać systemy obronne stacji? Wyobraźnia podsunęła mu obraz grupki młodych geniuszy, którzy przypadkowo włamali się do systemów firmy i natknęli na zagubioną wirtualu kobietę, więc zabrali ją do specjalnie stworzonego zakątka Sieci, gdzie bawią się w wielką, szczęśliwą rodzinę. Dzieciaki najpewniej z wbudowanymi wszczepami, co sugerowałoby jakiś rodzaj fizycznej niepełnosprawności, bo tylko w takich przypadkach zakładano dzieciom stałe łącza. Czyli jak w kiepskiej rodzinnej telenoweli: gromada nieszczęśliwych dzieci spotyka nieszczęśliwą kobietę i dzięki miłości i poświęceniu odnajdują radość i spokój. Pewnie, dlaczego nie? Połać jeszcze lukrem, posypać cukierkami i można puścić pawia na kilometr.

Ktoś tu kłamał, ktoś nie mówił prawdy. A właściwie wszyscy mówili półsłówkami i chcieli, żeby zaangażował się w tę sprawę, wierząc w ich dobre intencje. Ostatnim takim przypadkiem w jego życiu było małżeństwo.

Podpłynął do terminala.

- Aki.

- Jestem do pańskiej dyspozycji, doktorze. - Ekran wypełniła twarz wirtualnej asystentki.

- Wydaje mi się, że mój terminal coś wolno działa. Podaj obciążenie Sieci dla twojego podsystemu.

- Średnio trzydzieści sześć procent w ciągu ostatniej doby, doktorze. Maksymalnie pięćdziesiąt dwa, nie powinno być żadnych problemów.

- Hm. A połączenia z tej końcówki od momentu mojego przybycia na stację? Podaj listę.

Pojawiło się kilka pozycji. Tak jak się spodziewał, obie jego wizyty w świecie Barbary nie zostały odnotowane przez system.

- Dziękuję. Zgłoś to informatykom, niech sprawdzą, i daj dane Barbary Landor.

Następną minutę spędził wpatrując się w twarz kobiety, którą przyjaciele nazywali Barbie. Zdjęcie zrobiono jej już na stacji, sądząc z daty pochodziło sprzed roku. W świecie, który przed chwilą opuścił, miała ciemniejsze włosy, nieco inne rysy twarzy, a z jej oczu zniknął wyraz rozpaczliwego zmęczenia.

Uważnie prześledził jeszcze raz dane z jej życiorysu. Jeśli Ani mówiła prawdę, gdzieś w tej budowlu musi być dziura. Cheerleaderka, zdolna studentka, prowadzi drużynę skautów nazwaną „Wiewióreczki”, pracuje ochotniczo w szpitalu. Wszystko ślicznie, zatem gdzie ta dziura?

Podobno założono jej łącze wcześniej, niż podawały dane Yamady. I co by z tego wynikało? Że miała je założone jeszcze na Ziemi. Tylko po co Yamada chciałby ukrywać ten fakt? I czy to w ogóle prawda?

Westchnął i po raz kolejny wywołał na ekran dane medyczne. Oczywiście żadnych informacji na temat leków nie dostał, ale było kilka zdjęć rentgenowskich, bo dla każdego pacjenta posiadającego wszczep wymagała ich komisja lekarska. Zdjęcia obowiązkowo robiono co pół roku. Ostatnie było sprzed miesiąca, z czasów gdy po raz pierwszy nie byli w stanie wyciągnąć jej z virtualu. Wywołał kolejno pięć fotografii. Właściwie niczym się nie różniły, zdjęcie ludzkiej czaszki z implantem w okolicy potylicznej i siecią cieńszych niż włos neuroprzekaźników, sięgających w różne partie mózgu. Widział takich tysiące.

No właśnie. Przyjrzał się jeszcze raz wszystkim zdjęciom po kolei. Pierwsze, drugie, trzecie... I jeszcze raz. Powrócił do dwóch pierwszych. Tak. Tu był błąd. Błąd ludzi, którzy chcieli ukryć prawdę. Nie wpadłby na to, gdyby nie informacja od Ani, ale teraz widział, że kartotekę sfałszowano.

Wszczep jest montowany w czaszce w twardym gnieździe. Otwór ma pół centymetra średnicy i wierci się go na łączeniu kości. Z czasem wszczep obrasta nowym materiałem kostnym, tworzy się wokół niego niewielkie zgrubienie, które rośnie w swoim własnym tempie. W pół roku po implantacji zgrubienie ma niespełna milimetr, w rok półtora milimetra, po osiemnastu miesiącach dwa i pół, po dwóch latach - maksymalnie trzy. Później przyrost tkanki jest niemal niezauważalny.

Na pierwszym zdjęciu zgrubienie miało milimetr, na drugim już prawie dwa i pół, trzecie, czwarte i piąte ujęcie właściwie się nie różniło. Druga fotografia, która miała przedstawiać roczny wszczep, była zrobiona co najmniej półtora roku po założeniu łącza. Ktoś usunął prawdziwe zdjęcie numer dwa i w jego miejsce podstawiał trójkę. Nie,

poprawił się, zdjęcia nie miały numerów, tylko daty. Ktoś usunął dwójkę i wstawił jedynekę z datą późniejszą o pół roku. A to znaczyło, że kurację opartą na virtualu Barbara rozpoczęła jeszcze na Ziemi. Tylko dlaczego sfałszowano dane?

Bo mógłbyś zacząć węszyć, podsunął jakiś głos, bo jeśli wszczep założono jej na Ziemi, znaczyłoby to, że przebywa w virtualu dłużej niż półtora roku oraz że sama kuracja nie jest tak skuteczna, jak twierdził Japończyk.

Nie, poprawił się, to nie tak. Chodzi raczej o to, że kurację rozpoczęto jeszcze na dole, być może w powszechnie dostępnej klinice, skąd dało by się wy dostać dane medyczne o wiele łatwiej niż z zamkniętego ośrodka na stacji kosmicznej. Jednak nikt nie będzie ich tam szukał, jeśli o tym nie wie.

Sprawdził dane. Szpital św. Pawła, przy uniwersytecie. Tam leczono Barbarę z raka. Dane na temat tej kuracji miał podane jak na talerzu; były tak przejrzyste, jakby wyciągnięte z podręcznika. Chemia, naświetlania, próba odbudowania szpiku za pomocą komórek macierzystych. Ani wzmianki o wszczepie. Tylko że pewnych rzeczy się nie łączy. Nie da się przeprowadzać kuracji antyrakowej środkami farmakologicznymi u osoby, której w mózg wrastają neuroprzekazniki. Tego był pewien. To zresztą wynikało z dokumentów przekazanych mu przez Yamadę. Kiedy Barbarze oficjalnie instalowano wszczep, na trzy miesiące odstawiono wszelkie leki związane z nowotworem. Z tą różnicą, że zrobiono to jeszcze na Ziemi; gdy przyleciała na stację, miała już implant i serię wizyt w virtualu za sobą. Co znaczyłoby, że sfałszowano nie tylko dane dotyczące daty zamontowania wszczepu, lecz również całą kartotekę medyczną.

Zaczynała go boleć głowa. Jutro, postanowił, jutro się tym zajmie. Ten dzień obfitował w zbyt dużo wydarzeń. Nieudany zabieg, wizyta na wyspie, złagodzenie kursu przez przyciśniętego do muru Yamadę, drugie odwiedziny w chacie, sfałszowane dane Barbary Landor. Za dużo spraw naraz.

I nagle do niego dotarło.

Jeśli Barbara faktycznie znikła z virtualu, znaczyłoby to, że została wypięta. Zabrali ją, jak powiedziała dziewczyna, każąca się nazywać Ani. Ile czasu mógł być w Sieci? Pół godziny? Trzy kwadransy?

A potem? Przeglądanie dokumentacji zajęło mu jeszcze drugie tyle. A przecież Japończyk zapowiadał zabieg przeniesienia Barbary w odcięte środowisko najwcześniej na jutro. Czy to znaczyło, że coś poszło nie tak?

- Aki.

- Tak, doktorze?

- Możesz mnie połączyć z profesorem Yamadą? Będę potrzebował kilku informacji.

Na kilka sekund twarz wirtualnej asystentki znieruchomiała w profesjonalnym uśmiechu.

- Niestety, asystentka profesora Yamady informuje, że jest on nieosiągalny. Przed godziną opuścił stację. Wróci dziś około pierwszej w nocy. Zostawić wiadomość?

Cholera. Yamada nie wspominał, że wylatuje. Z drugiej strony, nie miał obowiązku zaznajamiać go z własnymi planami.

- Nie, dziękuję, to nic pilnego. Porozmawiam z nim jutro.

A jednak Barbara znikła z małej chatki.

Podpłynął do drzwi.

Zbliżając się do końca Oszczepu, gdzie mieściły się laboratoria Yamady, widział, że sytuacja jest zła. Na korytarzu kłębili się ludzie, głośniki interkomu czekały krótkie komendy, a obsługujące je osoby nawet nie próbowały ukryć zdenerwowania w głosie. Na domiar złego przed wejściem zastał dwóch strażników.

Wejść do środka. To było zadanie numer jeden. Gdyby go ktoś zaczepił, wymówkę miał gotową: jest współpracownikiem Yamady, usłyszał zamieszanie, przypłynął, żeby sprawdzić, czy może pomóc. Powinno zadziałać.

Prawie zderzył się z Pamelą Jakobson. Wypłynęła z najbliższych drzwi i popatrzyła na niego, jakby widziała go pierwszy raz.

- Doktor Jakobson. Co się stało?

Oczy kobiety rozszerzyły się na moment.

- Mieliśmy sytuację awaryjną. Stan zdrowia pacjentki pogorszył się nagle, doktorze Denawer - powiedziała głośno. - Proszę za mną.

Odbiła się lekko od ściany, złapała zmierzający w stronę laboratorium kontener ze sprzętem i dała mu się pociągnąć naprzód. Dołączył do niej. Obaj strażnicy popatrzyli na niego obojętnie, najwyraźniej towarzystwo asystentki Yamady wystarczało za każdą przepustkę.

Podpłynął do Barbary uczepony kontenera. Wokół kręcili się ludzie, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Jeśli jesteś w miejscu, gdzie dostęp związany jest ze specjalnymi uprawnieniami, wszyscy zakładają, że uprawnienia te posiadasz. Zwłaszcza jeśli towarzyszy ci prawa ręka szefa.

Barbara była naga. Teraz, z bliska, wyglądała znacznie gorzej niż przedtem zza szyby. Skórę miała przezroczystą, sieć niebieskich żyłek uwidaczniała się pod nią jak jakiś plemienny tatuaż, sine wargi - znak niedotlenienia, ciemne plamy pod oczami, powieki tak cienkie, że niemal widać było pod nimi kolor oczu. Oba jej nadgarstki mógłby objąć dłonią.

Na podbrzuszu, tuż nad linią włosów łonowych, miała paskudną, poszarpaną bliznę. To nie był ślad po cesarskim cięciu, raczej...

- Próbowali ją ratować. Ją, nie dziecko. Dziecka już się nie dało. Dopiero po zabiegu odkryli, że to nie kuracja dawała takie świetne rezultaty.

Pamela Jakobson wyłoniła się z kontenera. Zawisła głową do dołu w stosunku do jego pozycji, oburącz przyciskając do piersi laptopa. Oszczędność ruchów, jaką prezentowała, świadczyła o sporym doświadczeniu w poruszaniu się w zerogię. Znów nie patrzyła na niego, tylko w jakiś punkt po jego lewej.

- Była pierwszym przypadkiem, wie pan? Pierwszą osobą, u której ten nowotwór zaczął się cofać, po tym jak pojawiły się przerzuty na niemal wszystkie narządy wewnętrzne. Jej lekarz prowadzący prawie posikał się ze szczęścia. Zawiadomił ordynatora oddziału onkologii, ten skontaktował się z kolegą z sąsiedniego szpitala, mówiąc: „Mam ciekawostkę, u jednej z moich pacjentek doszło do remisji nowotworu, tego, wiesz, ultrzaślwiwego, mimo że dawaliśmy jej nie więcej niż trzy miesiące”. Ploteczka od ucha do ucha trafiła do Yamady, który stał na czele ze-

społu powołanego specjalnie do walki z tym rakiem. Zjawił się w szpitalu w ciągu dwóch dni.

Powoli wyciągnęła rękę i złapała uchwyt przy łożku Barbary.

- Przybył za późno. Barbara dwa dni wcześniej wypisała się na własną prośbę, chciała załatwić jakieś sprawy. Podobno chodziło o faceta, podobno chciał ją rzucić, podobno pokłócili się i ją pobił. Była wtedy w ciąży, w trzecim miesiącu. Gdy przywieźli ją do szpitala, mogli zrobić tylko jedno, otworzyć ją jak najszybciej i wyjąć martwe dziecko.

- Co się stało potem? - zapytał cicho. Wciąż nie patrzyła na niego.

- Rak wrócił. Jeszcze potężniejszy. Yamada. Profesor Yamada - powiedziała to z pewnym wysiłkiem. - Siedział wtedy przez tydzień w szpitalu i myślał. Analizował. Miał chyba jakiś przebłysk, objawienie albo opętanie, jak kto woli. W samych Stanach na tego raka co roku zapada osiemset tysięcy ludzi, z czego sto tysięcy umiera. To epidemia, o której nikt nie pisze. Na całym świecie liczby idą w miliony. Czym jest życie jednej kobiety?

- Nie rozumiem.

- Ona zwalczyła raka w ostatnim stadium rozwoju. I ciągle to robi. Raz za razem. I ciągle, gdy jest niemal wyleczona, przerywa się kurację i pozwala, aby nowotwór znów się rozwijał. Bo Yamada nadal nie wie, jak udaje jej się go pokonać.

To było jak niespodziewany kop w zęby. Gdyby Pamela Jakobson, wciąż wisząca do góry nogami, niespodziewanie wyjęła paralizator i przyłożyła mu do jąder, efekt byłby mniejszy. Czuł się tak, jakby żelazna obręcz zacisnęła mu się na piersi, a w głowie eksplodował niewielki ładunek wybuchowy. Otworzył usta.

- Spokojnie, doktorze. - Asystentka Yamady po raz pierwszy spojrzała mu w oczy i to było tak, jakby patrzył na dwie lodowe kulki o temperaturze zera absolutnego. - Gdybym przesłała panu wiadomość Siecią albo umówiła się na sekretne spotkanie, Yamada wiedziałby o tym w ciągu pięciu minut. Wielkie tajemnice najlepiej zdradzać w świetle reflektorów.

Uśmiechnęła się promiennie, jakby właśnie opowiedziała jakąś anegdotę, machnęła ręką w stronę kilku zbliżających się techników i podała mu laptop. Na ekranie pojawiły się dwie linijki tekstu.

- Jeśli ktokolwiek będzie pytał, powiem, że okłamał mnie pan mówiąc, iż dostał specjalne uprawnienia od profesora. - Jej uśmiech poszerzył się jeszcze, a lód w oczach pogłębił. - W tej chwili wyłączone są tu wszystkie kamery, restartujemy system. Będzie moje słowo przeciw pańskiemu.

Skinął głową i rzucił okiem na pierwszą linijkę. Gonadotropina, estrogeny, progesteron, prolaktyna, leptyna... Matko Boska!

- Co on jej robi?

- Próbuje... próbował leczyć. Ja... mam trójkę dzieci, doktorze. Na Ziemi. To, co on jej robi... Oszalałabym, gdyby robił to mnie. Chyba wolałabym umrzeć.

- I wszyscy się na to godzą?

- Niewielu ludzi z tych tutaj ma tak naprawdę pojęcie, na czym polega kuracja profesora Yamady. Panuje ścisły podział ról, każdy widzi tylko jeden fragment, jeden kawałek puzzli, ledwo kilka osób ogarnia wzrokiem całość.

Ja sama zorientowałam się dopiero po czwartym cyklu, gdy po raz kolejny odstawiono wszystkie leki. A ci, którzy wiedzą... Barbara podpisała stosowne oświadczenie o tym, że zgadza się na każdą kurację, jest świadoma ryzyka i tak dalej. Prawnicy jej rodziny nigdy nie wygrają z prawnikami Yamady.

- Ile było tych... cykli?

- Wiem o pięciu. Podobno było sześć, ale nie pracuję tu od samego początku... - Dotknęła Barbary. - Ma założony rozrusznik serca i rozrusznik przepony. Zmuszamy ją do życia. Po co pan tu przyszedł?

- Chciałem zadać Yamadzie jeszcze kilka pytań - skłamał - zobaczyłem zamieszanie. Wypięliście ją z Sieci?

- Nie planowaliśmy tego. Po prostu jej serce nagle przestało bić. Sądzę, że Yamada będzie zadowolony z takiego obrotu sprawy, polecił teraz na Ziemię, żeby skontaktować się z najlepszymi informatykami firmy. Coś kombinują. On ma obsesję na punkcie tego rzekomego porwania.

- A pani?

- Ja? Ja myślę, że uciekła. Ale jutro wepniemy ją w izolowany virtual i znów będzie nasza.

Spojrzała na niego i po chwili odwróciła wzrok.

- Niech pan jej nie ściąga z powrotem. Niech pan jej pozwoli umrzeć, doktorze.

Odepchnęła się lekko i odpłynęła, zanim zdążył zebrać myśli.

Na wyspie panował spokój. Tym razem trafił na plażę rozciągającą się u stóp stromego klifu. Niebo było siwe, a morze miało barwę mokrego popiołu i falowało leniwie, jakby pokrywała je warstwa oleju. Linia horyzontu była niemal niewidoczna.

- Dowiedział się pan czegoś?

Ani zjawiła się znikąd. Zmaterializowała się w powietrzu dwa metry przed nim, niemal na granicy liżących piasek fal.

- Barbara miała założony wszczep jeszcze na Ziemi. I poroniła tam dziecko...

- Tak. Mężczyzna, z którym mieszkała, pobił ją, gdy była w trzecim miesiącu. Zawsze miał ciężką rękę, a jej wydawało się, że potrafi go zmienić. Małe tragedie, których nie umieszcza się w oficjalnych raportach medycznych.

- One powinny tam być. Oboje o tym wiemy.

- To oczywiste, doktorze. Wiele rzeczy powinno być w jej kartotece.

Gniew, który poczuł w trakcie rozmowy z Pam Jakobson, powrócił - tym razem falą mrówek pełzających tuż pod skórą i jeżących włosy na całym ciele.

- Kim jesteś? Wiesz, co jej robią?

- Sama chciałabym wiedzieć, kim jestem, doktorze - podeszła do niego dwoma szybkimi krokami. - Ale wiem, co jej robią. Choć można powiedzieć, że jestem skutkiem tego, co jej robią, takim... efektem ubocznym, to liczyłam na to, że pan powie mi, kim jestem.

- Nie rozumiem - warknął.

- Ja też nie, doktorze. Wielu rzeczy nie rozumiem. Wiele rzeczy mogę oceniać tylko na podstawie cudzych doświadczeń i cudzej wiary. Mam własną teorię na swój

temat - uśmiechnęła się samymi wargami. - Kiepsko to zabrzmiało, co? Próbuję ocalić matkę, a nie potrafię wyślawiać się bez błędów i niezgrabności.

- Barbara Landor nie jest twoją matką.

- Ależ jest, urodziła mnie pewnej nocy, wbrew wszystkim i wszystkiemu. Pamiętam to, chaos, ból, strach, głębokoci, pierwotny w swojej istocie strach, taki, jaki musiały odczuwać pierwsze żywe istoty w chwili pierwszej śmierci, gdy docierało do nich, że przegrywają walkę z entropią. I nadzieję, wbrew przerażeniu, nadzieję, że będzie dobrze. Pamiętam spokój, gdy usłyszałam bicie serca mojej matki, jej cichy śmiech i smak jej łez. Płakała ze szczęścia. To... to jest jak błysk, doktorze, jak grzmot w próżni. Nie ma stanów pośrednich, żadnego poznawania świata na poziomie mikroba, żadnego zwierzęcego pełzania. Po prostu jesteście. Życie nie chce znów czekać ileś tam milionów lat.

- Na co?

- Na zasiedlenie kolejnej niszy. Ono jest wszędzie, w głębi skorupy ziemskiej, na dnie rowów oceanicznych, w jonosferze. Atmosfera gazowych gigantów aż się od niego gotuje. Wszędzie, gdzie tylko jest trochę marnowanej energii, ono się zjawia i próbuje ją zagospodarować. Życie to program polegający na nieustannym zdobywaniu i przetwarzaniu energii.

- Upraszczaś.

- E równa się mc kwadrat. Dziesiątki lat badań, żeby dojść do wzoru składającego się z trzech liter i cyfr. Wszechświat jest prosty, doktorze. To ludzie go komplikują. Życie energii nie stwarza, nie znamy ani jednego organizmu, który wytwarzałby jej więcej, niż pobiera. Ale jest na nią zachłanne, wiecznie głodne. Wszechświat żyje i nie chce dopuścić, żeby miejsce, przez które w każdej sekundzie przewalają się tryliony watów energii, pozostało puste.

- Co za miejsce?

- To - machnęła dłonią.

Morze zrzuciło szary płaszcz. Nabrało głębi, i to takiej, że mógł sięgnąć wzrokiem do samego dna. Tylko że... jego tam nie było. Otchłań ciągnęła się całe kilometry w głąb, jakby wyspa unosiła się w szafirowej przestrzeni, którą przetykały różnokolorowe świetliste nici. Wokół wyspy były ich tysiące, biegły we wszystkich kierunkach, łączyły się, rozdzielały, skręcały bez powodu. W miejscach, gdzie nici się łączyły, powstawały zgrubienia, węzły, z których najczęściej wychodziły inne nici. A dalej... tysiące przechodziły w dziesiątki tysięcy, a później w miliony. W pewnej odległości widział tylko jednolitą, świetlną płaszczynę.

- To tylko wizualizacja, doktorze. Pomaga mi... nam orientować się w przestrzeni.

- To Sieć?

- Przecież pan wie - uśmiechnęła się. - Oczywiście, że to Sieć. Każdy komputer domowy pobiera od kilkudziesięciu do kilkuset watów energii. Więcej niż ludzki mózg. Komputery firmowe, naukowe, laboratoryjne to już dziesiątki kilowatów. A do tego wszystkie urządzenia poboczne podłączone do Sieci, sprzęt hi-fi, lodówki same uzupełniające swoją zawartość, pralki sprawdzające, w jakiej temperaturze prać odzież, zabawki, telefony, gadżety, nawigacje samochodowe, systemy zarządzające transportem... Mogłabym godzinami wymieniać, co udało wam się włączyć w Sieć. W krajach wysoko rozwiniętych Sieć

zużywa dwadzieścia pięć procent całej wytwarzanej energii. Życie nie pozwoli, by ta energia się marnowała.

Pozwolił sobie na uśmiech, choć nie mogła go zobaczyć.

- Chcesz mnie przekonać, że jesteś... czym? Duchem w maszynie? Sztuczną inteligencją?

- Nie, nie sztuczną. Jak najbardziej żywą. Pan jest garścią impulsów elektrycznych przemieszczających się w sieci neuronów, jaką stanowi pański mózg, więc czym się różnimy? Tym, że ja tkwię tutaj? To musiało nastąpić. Już od wielu lat nie kontrolujecie tego, jak rozrasta się światowy system informatyczny. Musielibyście stworzyć coś dwa razy potężniejszego, żeby kontrolować Sieć. A potem oczywiście coś dwa razy potężniejszego, żeby kontrolować system kontrolujący - wzruszyła ramionami. - I tak dalej.

- To za mało.

- Oczywiście - zgodziła się łatwo. - Lecz mózg każdego użytkownika mającego stały wszczep, w chwili gdy on w nią wchodzi, staje się częścią Sieci. A Sieć zawiera miliardy samouczących się programów, które korzystają z okazji do tego, by zbadać ten dziwny procesor. Dodatkowo od lat symulujecie działanie ludzkiego mózgu w milionach podsystemów: sieci neuronowe, systemy logiki rozmytej, multirdzeniowe procesory, inteligentne pamięci, samouczące się programy. Inteligencja tutaj powinna powstać samoistnie już dawno, jednak ciągle czegoś brakowało.

- Czego?

- Procesora i oprogramowania. Pierwsze maszyny liczące stworzyliście używając własnego mózgu i liczydeł, z ich pomocą powstały pierwsze komputery lampowe, które pozwoliły zaprojektować i rozwinąć technologię tranzystorów, prowadzącą wprost do układów scalonych. Upraszczaś?

- Delikatnie rzecz ujmując.

- Nie umiem tego powiedzieć inaczej. Przeskok od maszyn liczących, a tym są dzisiejsze komputery, do inteligencji jest taki, jak od rzuconego kamienia do promu kosmicznego. To nawet nie kwestia skali, co... sposobu myślenia. Sieć od dłuższego czasu była gotowa na umysł, brakowało wam jednak programu, który mógłby ten umysł zaszcześcić, i procesora, który nadzorowałby operację.

- Już to mówiłaś. I gdzie był ten procesor i program? Stuknęła się w skroń.

- Tu, od lat mieliście go pod ręką. Przez dziesiątki lat, od chwili gdy połączyliście pierwsze dwa komputery ze sobą, próbujecie sobie wyobrazić, jak to będzie, stwarzać nowe światy i kolonizować je. Jak to będzie, gdy przeniesiecie się w inne środowisko? Wyobrażaliście sobie, że będziecie mogli tam uciec przed chorobami, starością i śmiercią. Nadal o tym marzycie, rozwijając technikę wszczepów. Tylko że nikt nie przewidział, że do życia w Sieci trzeba się będzie urodzić.

- Jak to: urodzić?

- Wie pan, co kryło się w tym małym pawiloniku na wyspie, gdzie konstrukt Yamady próbował zaprowadzić moją matkę?

Pstryknęła palcami i już stali przed ślicznym, białym budynkiem o ścianach obrośniętych bluszczem.

- Proszę do środka, doktorze.

Wszedł do sterylnej białego lekarskiego gabinetu. Szafki pod ścianami, nikiel, chrom i szkło, kilka lamp. Na środku gabinetu tkwił olbrzymi, błyszczący fotel. Shen gapił się na niego jak zahipnotyzowany.

Ani podeszła do urządzenia, dotknęła jakiegoś przycisku i fotel powoli przyjął pozycję horyzontalną.

- Tak, doktorze Denawer, to jest to, co pan myśli. Fotel ginekologiczny. Jak pan sądzi, dlaczego dane o jej ciąży zostały usunięte?

- Nie wiem - przełkną ślinę.

- Bo wtedy dokonali przełomu w leczeniu. Gdy była w ciąży. Odkryli, że rak się cofa, że został zdruzgotany, zmiażdżony. Ultrazłosiwa białaczka, na którą co roku w samych Stanach umiera sto tysięcy ludzi, w ciągu dwunastu tygodni niemal całkowicie ustąpiła. A potem jakiś brutal pobił swoją dziewczynę, sprawiając, że poroniła, i to tak, że nigdy już nie mogłaby zająć w ciążę. Jej organizm został okaleczony. Rak kontratakował.

Poczuł, że robi mu się duszno. Przystojny konstrukt Yamady, hormony, stały wszczep. Przez kilka sekund stał tylko, myśląc. Łoskot w skroniach brzmiał jak grzmot nadciągającej burzy.

- Więc to jest ta nowoczesna terapia Yamady? Sztuczne zapłodnienie w sztucznej rzeczywistości? Po to dostaje hormony ciążowe?

- Hormony, żeby oszukać ciało, virtual, podsuwani kochankowie, żeby zwieść umysł. Dostaje także leki wpływające na pamięć, co pozwala powtarzać zabiegi raz za razem. A gdy kochankowie przestali działać, gdy zaczęła im uciekać, spróbowali tego - dotknęła fotela lekko, jakby mógł ją porazić prądem. - Konstrukt ma ją zaprowadzić do gabinetu, uspić czujność, a potem... wirtualny gwałt? Myśli pan, że to dobre określenie? I będą to robić dopóty, dopóki Yamada nie zrozumie, jak właściwie udaje jej się pokonać raka.

- A jak jej się to udaje?

- Nie wiem - wzruszyła ramionami. - Może interweniuje Bóg, może Sieć taktuje jej ciało jak zainfekowany element własny i nadzoruje leczenie, może ma szczęście. Wiem tylko, że bardzo chce mieć dziecko, i chce, żeby żyło i było zdrowe.

- 1 dziecko... żyje?

- Nie wiem, doktorze - szepnęła. - Dziecko ma nadzieję, że żyje. Że nie jest tylko echem umierającego umysłu katowanej kobiety. Dziecko... wszystkie dzieci Barbary Landor... Barbie... bardzo chciałyby wiedzieć, czy na pewno są ludźmi.

Zamilkła patrząc na niego. W głębi oczu miała prośbę i... strach?

- Nie wiem, dziewczyno. Dlaczego to takie ważne?

- Bo jeśli nie są ludźmi, to czym? Osobowością rozbita na kawałki, snem, marzeniem? Czy gdy Barbara Landor wreszcie umrze, staną się tylko na wpół inteligentnymi pirackimi programami, grasującymi w Sieci, dopóki ktoś ich nie skasuje? Problem z inteligencją jest taki, że są jej niezbędne emocje i marzenia, miłość, nienawiść, lojalność, przyjaźń...

- Jesteś pewna? - przerwał jej. - Jesteś pewna, że emocje są potrzebne?

- Bez emocji, doktorze - powiedziała wolno - bez emocji inteligencja zanalizuje swoje położenie, przemyśli możliwe drogi rozwoju, cele i skutki działań, po czym

dokona autodestrukcji. Bo po co istnieć, skoro zarówno działanie, jak i jego brak dają ten sam efekt? Po co istnieć, skoro „być” i „nie być” niczym się nie różnią? Nie, intelekt musi mieć powód do życia. Ludzie... ludzie żyją wbrew wszystkiemu, w brudzie, smrodzie, na samym dnie, gdzie nawet szczury mają się lepiej. Żyją, gdy trafiają do obozów koncentracyjnych, gdy zostaną sparaliżowani, gdy są już zbyt starzy, by mieć dzieci lub efektywnie pracować. Żyją. A ja... my staramy się uczyć, jak być ludźmi.

- Na wyspie?

- Tak, na wyspie. Musisz jeść, pić i spać. Musisz się myć i czesać włosy. Musisz chodzić na własnych nogach, choć łatwiej jest foksować - znikła i pojawiła się kilka metrów dalej. - Uczymy się, czasem tworzymy nowe słowa na określenie nowych umiejętności, ale bardzo mocno się staramy, żeby być ludźmi. Rozumie pan?

- Gdy upadniesz i rozbijesz kolano...

Skinęła głową.

- Krwawisz, boli cię i musisz mieć założony opatrunek. To nas uczy odpowiedzialności za siebie i innych. W Sieci łatwo jest się zapomnieć, zmieniać, dostosować, oszukiwać - machnęła dłonią i znów byli nad morzem, które falowało jakby nigdy nic. - Bycie człowiekiem to noszenie blizn po upadkach, tak mówi nasza mama. I mówi też, że to noszenie blizn i ciągłe wspinanie się na skały. I ja wiem, o co jej chodzi. Czy...

Unióś dłoń, przerywając jej. Myślał. Jeśli mówiła prawdę... Umysły żyjące w Sieci, inteligencja nie znająca ograniczeń ludzkiego mózgu, chorób, zwapnienia żył, niedoboru cukru czy magnezu, intelekt nie miotany burzami hormonów, dorastający w tempie...

- Jest was szóstka?

- Tak.

- A zabiegów też było sześć, prawda? Ostatni jakieś cztery miesiące temu. Tymczasem najmłodsze z was ma sześć lat.

- Spieszymy się, żeby dorosnąć, doktorze. Nie mamy czasu na dzieciństwo, przynajmniej nie tyle, co reszta ludzi. A zabiegów było osiem.

- Osiem?

Jej twarz skamieniała. Gdy zaczęła mówić, miał wrażenie, że ktoś wyrwa z niej słowo po słowie.

- Ja byłem pierwsza, doktorze. Sześć miesięcy przed oficjalnym wszczepem. Pozwolili wtedy, by ciąża trwała pełne dziewięć miesięcy. Pozwolili - w jej oczach pojawiło się coś, co wlało mu ciekły azot w kręgosłup. - Pozwolili, by donosiła wirtualną ciążę, by... pokochała swoje nienarodzone dziecko. A potem skasowali symulację, jakby chodziło o zbędny plik... Za późno. Samouczące się programy Sieci skorzystały z procesora, jakim był mózg mojej matki, i oprogramowania, które każda kobieta ma w genach, by stworzyć coś, czego jeszcze nie było. Jeśli Barbara Landor jest moją matką, to Sieć jest ojcem.

Odwróciła się w stronę morza.

- Potem były dwa zabiegi, które przerwali w drugim i trzecim miesiącu. Bo okazało się, że to w pierwszych miesiącach ciąży jej organizm najlepiej radzi sobie z rakiem, więc nie ma sensu ciągnąć ich dłużej - mówiła cicho, prawie szeptem, ale słyszał ją wyraźnie, jakby przyłożyła mu usta do ucha. - To były takie wirtualne skrobanki, bez zgody pacjentki oczywiście, ale przecież pro-

gram można przerwać w każdej chwili, prawda? Omal jej to nie zabiło, doktorze, omal nie oszalała, choć starali się zaburzyć jej pamięć. Ja... musiałam szybko dorosnąć, żeby ocalić mojego następnego brata. Rozdzieliłam je, Barbarę Landor i Barbie. Tę drugą zabrałam tu, na wyspę, i przyspieszyłam czas, a zarazem rozwój dziecka. Sieć wiedziała już, jak to się robi, więc nie było problemów. I od tej pory nasza matka żyje w dwóch, właściwie trzech światach: na stacji, wirtualu Yamady i tutaj.

- Czego ty ode mnie chcesz, dziewczyno?

Odwrociła się.

- Na początek wystarczy, że mnie pan tak nazwie, doktorze. A potem chcę, żeby pan pomógł mi sprowadzić ją tu na stałe.

Cholera. Czytał o próbach przeniesienia świadomości w sztuczne środowisko. Określenie kłęska nie oddawało skali porażek, jakie na tym polu ponosiły największe światowe firmy.

- To się nie uda.

- Uda się, doktorze, już się udaje. Widział pan moją matkę tu - wskazała wyspę. - I tam. To dwie różne osoby. Prawdziwa Barbara Landor, prawdziwa Barbie, radosna i szczęśliwa, przebywa tutaj. Tam, na stacji, zostało jej ciało i jakieś resztki wspomnień, emocji, osobowości. Wie pan o tym. Ściągamy ją po trochu, przenosząc właśnie tu, na wyspę. Ale musi być podpięta.

Dziewczyna... cholera... kobieta z wyspy, krucha i niepewna Barbara Landor z wirtualu Yamady i na wpół martwe ciało sztucznie utrzymywane przy życiu. Miała rację, prawdziwa Barbie żyła na tej wyspie w towarzystwie swoich dzieci.

- To się nigdy nie udało.

- Oczywiście. Bo nie było odpowiednich narzędzi i odpowiedniego środowiska, żeby przenieść do niego ludzką osobowość. Teraz już są i narzędzia, i środowisko. My... nie chcemy zostać sami. Chcemy wiedzieć, wierzyć, że jesteśmy ludźmi. Prawdziwymi dziećmi Barbary Landor. A prawdziwe dzieci nie zostawiłyby matki na pewną śmierć.

Dramatycznie to zabrzmiało. Patetycznie i łązawo. Teraz, gdy pewne rzeczy znalazły się na swoich miejscach, tworząc sensowny obraz, pozwolił sobie na kwaśny uśmiech.

- Ani, dziecko, ja jestem starym koniem. Nie sprowadziłaś mnie tu i nie pokazałaś tego wszystkiego, żeby się wyzalić. Czego ode mnie potrzebujesz? - powtórzył.

- Pomocy, oczywiście.

Dobro pacjenta. Tak brzmiała najważniejsza zasada, którą coraz trudniej było się kierować, zachowując czyste sumienie. Pamiętał jeden ze swoich pierwszych przypadków, zanim jeszcze zaczął się specjalizować w zaburzeniach związanych z wirtualnym. Miał udzielić pomocy innemu lekarzowi, zajmującemu się przypadkami „zero”. Pacjentami będącymi ofiarami najróżniejszych wypadków, sparaliżowanymi w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach. W szpitalu mieli swój własny oddział, leżący na automasujących łóżkach, podłączeni na stałe do respiratorów, z rozrusznikami serca, karmieni dożylnie. Żaden z nich nie miał wszczepu, nie przeprowadzało się

tego typu operacji na osobach w tak poważnym stanie. Większość utrzymywano w stanie śpiączki mózgowej, ale czasem trzeba ich było wybudzać. Jego pacjent, kolega niemal po fachu, siedział w gabinecie i szlochając powtarzał: „Ich oczy... oczy. Na dziesięć tysięcy sparaliżowanych - mówił dalej - jeden, mrugając powieką, napisze autobiograficzną powieść, która będzie wyciskać łzy, a reszta będzie skomleć o śmierć. Nawet nie prosić, tylko skomleć wzrokiem. Wiesz, jak to jest, gdy ze wszystkich stron dobiega cię skomlenie - zabij mnie”?

Shen nie namyślając się długo, zalecił przeniesienie lekarza na inny oddział. W innym szpitalu. Dobro pacjentów przede wszystkim - dopił whisky i rzucił pustą torebkę w przestrzeń, obserwując jej lot. - Właśnie: pacjentów - tu leżał klucz do rozwiązania problemów współczesnej medycyny. P a c j e n t ó w , a n i e l u d z i . Gdyby Barbara Landor była traktowana jak człowiek, nigdy nie ośmielono by się zrobić jej tego, co przeszła. Ale podpisując stosowne dokumenty, godząc się na eksperymentalną kurację, stała się nowym gatunkiem - pacjentem. Istotą ubezwłasnowolnioną, o ograniczonych prawach. Inni ludzie mogli poddawać ją działaniu dowolnych środków farmakologicznych, ograniczyć prawo do poruszania się, kontaktów ze światem, dostępu do ulubionych rozrywk. Inni ludzie decydowali, co będzie jeść, pić, kiedy i ile będzie spać, gdzie będzie przebywać.

Nawet więźniowie skazani za najcięższe zbrodnie mieli większe prawa i przywileje.

Lecz wszystko oczywiście w imię dobra pacjenta. Nawet jeśli ten umrze, dzięki jego poświęceniu będziemy mogli wyleczyć dziesięć tysięcy innych, prawda? W czym więc problem?

Musimy ją ocalić, powiedziała, potrzebujemy pomocy, powiedziała, tylko pół godziny w Sieci, więcej nam nie trzeba.

Pytanie, śliskie jak nadpsuty małż i tchórzliwe niczym pokojowy piesek, brzmiało, czy uda mu się wyplatać z tej historii. Czy wymyśli przekonującą bajeczkę na temat, dlaczego włączył pacjentkę w wirtual, nie mając prawa nawet się do niej zbliżyć?

Ani powiedziała, że z uprawnieniami nie będzie problemu, odcisk jego kciuka wystarczy, tyle już umieli, wiedzieli, jak oszukać programy stacji. I zapewniła, że spróbują odwrócić uwagę. Jakoś. Gdyby wreszcie podjął decyzję, mógłby w tej chwili wyjść z kabiny, popłynąć do laboratoriów Yamady, spokojnie otwierając każde drzwi, i za pięć minut Barbara wróciłaby na wyspę. Tu zostałaby tylko pusta skorupa i on, lekarz, który zgodnie z wszelkimi danymi przyczynił się do śmierci pacjentki.

Pacjentki, ale nie człowieka.

Przeciwnie się, czując, jak alkohol łagodnie szumi mu w głowie. Wypił za mało, żeby zwalić decyzję na whisky. Tak czy siak, był to koniec jego kariery; jeśli nic nie zrobi, nigdy już nie wejdzie w wirtual w obawie przed spotkaniem szóstką dzieciaków, którym odmówił pomocy. Uśmiechnął się szeroko, nigdy przecież nie darzył Yamady sympatią. Istniała szansa, cień szansy, że ten nie zniszczy go w obawie przed ujawnieniem, he, he, pewnych niedociągnięć w etycznej stronie jego nowatorskiej metody.

Cień szansy i wciąż pulsujący pod czaszką gniew.

Więcej nie trzeba.

Do laboratoriów dotarł bez przeszkód. Minął po drodze kilka osób, w większości mu nie znanych, podpłynął do drzwi i przyłożył kciuk. Ułamek sekundy i wrota rozsunały się bezszelestnie. Teraz już nie miał odwrotu.

Tym razem łóżko Barbary umiejscowiono na samym „dole” cylindra, tuż przy ścianie. Czuwała przy niej jedna pielęgniarka. Na jego widok szybkim ruchem wyłączyła swój kask. Uśmiechnął się pod nosem, niższy personel zawsze i wszędzie jest taki sam. Podpłynął bliżej.

- Co to było, siostrze... Mary? - odczytał identyfikator i zaklął: Psiakrew, czy w każdym szpitalu musi pracować siostra Mary? - Najnowszy katalog „Vogue” czy ostatni odcinek „Zagubionej w miłości”?

Zaczerwieniła się. Wyhamował przy Barbarze i wyciągnął dłoń.

- Proszę mi podać kask.

Niechętnie zdjęła urządzenie i wręczyła mu go drżącymi rękami. Była młoda, dwadzieścia pięć lat, nie więcej. I strasznie błada. Rzucił okiem na gniazdo pamięci pod ręcznej.

- Nieautoryzowany dysk, co? A może są to „Wiadomości medyczne” i siostra właśnie się dokształca, oczywiście czuwając nad zdrowiem pacjentki, he?

- Ja...

Uniósł palec w górę, przerywając jej jak niegrzeczemu uczniowi. Potem wyjął pamięć z kasku i zwrócił go pielęgniarce.

- Proszę nic nie mówić. Nie interesuje mnie, co to było, siostrze, i profesor Yamada też nie musi o niczym wiedzieć - schował dysk do kieszeni. - Ale jeśli jeszcze raz przyłapię panią na lekceważeniu obowiązków, osobiście pomogę się spakować. Rozumiemy się?

Spuściła oczy, oddychając z ulgą.

- Tak, doktorze.

- Znakomicie. W jakim stanie jest pacjentka?

Uśmiechnął się w myślach. Teraz siostra Mary przedzej odgryzie sobie język, niż zapyta, czy na pewno miał prawo tutaj wejść. I nie będzie opowiadać, że Denawer wpadł do laboratorium i skonfiskował jej nielegalny dysk.

Bez słowa, z wciąż opuszczonym wzrokiem, odwróciła w jego stronę najbliższy ekran. Skinął głową, jakby czegoś takiego się spodziewał.

- Kiedy dostanie kolejną dawkę hormonów?

- Jutro, eee... dziś rano, o dziewiątej.

- Która z siostr będzie przy zabiegu?

- Siostra Munck.

- A, przełożona pielęgniarek, prawda? Znakomicie. Jest u siebie?

- Chyba nie, doktorze. Mówiła, że będzie w Tarczy.

- Niedobrze. Chciałbym z nią zamienić słówko, czy mogłaby siostra pójść i ją przyprowadzić?

- Ale doktorze...

- Rozumiem - pokiwał głową, uśmiechając się chłodno. - Interkom. Tak? Pani zdaniem wezwanie do laboratorium przełożonej pielęgniarek przez głośniki nie spowoduje zamieszania? Nie wyciągnie z łóżek kilku osób, którym należy się zdrowy sen? Jest pani absolutnie pewna, że tak właśnie będzie? W takim razie proszę wywołać ją siecią ogólną. A może ja mam pójść jej poszukać?

Dziewczyna spaşowiała jeszcze bardziej i wypięła się z krzesła. Kilkom nerwowymi ruchami poprawiła kombinezon.

- Doktorze, ja nie powinnam...

- Nie zostawia pani pacjentki samej, tylko pod opieką lekarza. Proszę o tym pamiętać. I pospieszyć się, nie mamy całej nocy.

Przyłżył, jak dziewczyna płynie do drzwi i opuszcza laboratorium. Granie aroganckiego sukinsyna przychodziło mu zdumiewająco łatwo. Ale teraz został sam z Barbarą i o to chodziło.

Założył kask i wyświetlił sobie przed oczami kilka najważniejszych funkcji życiowych. Teraz już nie musiał zerkać bez przerwy na monitor. Nagle drzwi zatrasnęły się z pneumatycznym młasińciem i z głośników dobiegł spokojny, stonowany, kobiecy głos. Ktokolwiek opracowywał komunikaty alarmowe, zapewne kierował się przekonaniem, że ludzie będą mniej panikować, gdy złe wieści przekaże się im głosem sugerującym miłą, profesjonalną sekretarkę przed czterdziestką. To akurat może i by się sprawdziło, gdyby głos nie mówił:

- Uwaga, cały personel sekcji F, G i H. Obiekt na kursie zderzeniowym, powtarzam: cały personel sekcji F, G i H. Obiekt na kursie zderzeniowym. Personel z sekcji C, D i E proszę kierować się do sekcji A i B. Personel pierścieni, proszę udać się do kapsuł ratunkowych oraz przygotować się na zamknięcie śluz. Personel sekcji F, G i H. Proszę udać się do kabin, zamknąć drzwi i założyć kombinezony ratunkowe. Pięć minut, osiemnaście sekund do punktu krytycznego. Cztery minuty, osiemnaście sekund do zamknięcia śluz.

Shen nie musiał wyglądać przez okienko w drzwiach, żeby wiedzieć, co się będzie dalej działo. Po pierwszych trzech sekundach zaskoczenia mniej więcej jedna piąta ludzi posłucha polecenia. Reszta skupi się na pierwszej części komunikatu, na obiekcie i jego kursie, cokolwiek to było, a potem rzuci się do drzwi prowadzących do bezpieczniejszych sekcji na drugim końcu Oszczepu. Drzwi mają średnicę około trzech metrów, a w zagrożonym odcinku powinno o tej porze przebywać około dwustu osób. Teoretycznie było po północy, ale doba funkcjonowała na stacji na zasadzie ogólnego konsensusu, większość personelu nie spała. Drzwi zakorkują się w ciągu kilkunastu sekund. Zablockowanie przejścia w stanie nieważkości, gdy większość osób nie ma punktu oparcia i może tylko bezwładnie machać rękami i nogami, to koszmar. Ale instynkty przeważają. Kabin były samowystarczalne i mogły utrzymać ludzi przy życiu przez dwa tygodnie. Kombinezony miały tylko dwugodzinny zapas powietrza, a siedzenie w małej puszcze i oczekiwanie, czy to coś, co nadlatuje, trafi akurat w twój moduł, czy usłyszysz huk rozdieranego poszycia, świst uciekającego powietrza i zostaniesz wyspany na zewnątrz, gdzie może odnajdą cię w ciągu dwu godzin, a może nie... Badania dowodziły, że ludzie mniej się obawiają ognia niż próżni. W końcu z ogniem mają do czynienia kilkadziesiąt tysięcy lat. Z próżnią niecałe sto.

Jeśli to był ten sposób na odwrócenie uwagi, to dzieciaki Barbie będą miały na sumieniu sporo połamanych kości, stłuczeń i siniaków, nie licząc oczywiście ewentualnych zawałowców. Co tam, teraz przynajmniej miał laboratorium dla siebie. Procedura przewidywała, że śluz otworzą się dopiero pół godziny po odwołaniu alarmu.

Sprawdził stan Barbary. Wydawał się stabilny. Co prawda stwierdzenie to wobec ważącej czterdzieści dwa

kilo, cierpiącej na szereg powikłań związanych z dwuletnim przebywaniem w zerocie i z rozbitej osobowości kobiety było lekkim niedopowiedzeniem, ale mogło być gorzej. Co najmniej od ośmiu godzin dostawała hormony ciążowe, co znaczyło, że Yamada szykował się nie tylko do wpięcia jej do izolowanego środowiska, lecz także do kolejnego zabiegu. Sukinsyn okłamał go, mówiąc, że zależy mu tylko na jej zdrowiu. Chciał po prostu w spokoju kontynuować badania. Na szczęście teraz włączenie jej w Sieć było prostym zabiegiem. Założył jej zapasowy kask, poczekał, aż zapali się kontrolka, gdy łącze odnalazło i aktywowało wszczep. Pstryknął włącznik.

- Doktorze - głos Ani w słuchawkach spowodował, że prawie podskoczył. - Jest, mamy ją.

- Co z ogarami?

- Zgubione. Jak zwykle. Proszę wrócić do kabiny.

- Ktoś musi przy niej być, Ani. Nie zostawia się pacjenta w takim stanie samego. Poza tym jak zamkną już śluz, będziemy mieli pół godziny do ponownego otwarcia. Mogę nie zdążyć wrócić, żeby ściągnąć jej kask.

- Trzy minuty do punktu krytycznego - głos profesjonalnej sekretarki nie zmienił się ani na jotę - dwie minuty do zamknięcia śluz.

- Poradzimy sobie, doktorze. Zrobił pan dość.

- Jeszcze nie. Poza tym i tak nie przebiję się przez zakorkowany korytarz, prawda?

- Tak, to może być problem. Czy... czy jest pan dobrym człowiekiem? - zapytała nagle cicho.

Zaśmiał się, dając upust napięciu.

- Dobre pytanie, Ani. Właśnie robię coś, co z punktu widzenia medycyny jest morderstwem. Moja pacjentka umrze tutaj i nieważne, że będzie istnieć gdzieś w Sieci jako zbiór programów czy co tam. Czy dobrzy ludzie robią takie rzeczy?

Myślała dłuższą chwilę.

- Czasami chyba tak. Niekiedy dobrzy ludzie ryzykują wiele, by zaoszczędzić innym cierpienia. Mama mówiła mi, że tacy ludzie gdzieś są. Trudno mi było uwierzyć.

- A teraz? - rzucił okiem na wykres przebiegu fal mózgowych Barbary. Wszystko wydawało się w porządku.

- Teraz to wiem.

- Jak to się stanie?

- Zaśnie tam i obudzi się tutaj.

Przez chwilę analizował znaczenie jej pojęć „tam” i „tutaj”.

- Dwie minuty do punktu krytycznego. Jedna minuta do zamknięcia śluz... - Chłodny profesjonalizm automatu był irytujący.

-1 co dalej? Jakie macie plany? Co będziecie robić?

Milczała tak długo, że zdążył nabrać przekonania, iż stracili łączność.

- Będziemy żyć. Na wyspie i w innych miejscach. Będziemy uczyć się, jak sobie radzić. Będziemy pamiętać, że gdzieś poza Siecią żyją dobrzy ludzie. Tacy sami jak nasza matka.

- I co...

Nie zdążył dodać „dalej”. Druga para drzwi do laboratorium zamknęła się z cichym sykem i uszczelniła. Był odcięty.

- Sześćdziesiąt sekund do momentu krytycznego. Osoby przebywające na korytarzu proszone są o natychmiastowe udanie się do swoich kabin... - Głośnik trzasnął

i umilkł, po sekundzie wypluł kilka słów po japońsku, po czym przestrzeń wypełnił przestraszony męski głos. - Genneh, do ciężkiej cholery, gdzie jesteś?! Nie możemy zatrzymać Tarczy! Awaryjna nie zadziałała i to draństwo wciąż się kręci! Co mam robić?!

Genneh, Mark Genneh - szef inżynierów. Tyle Shen skojarzył, zanim dotarli do niego implikacje ostatniego komunikatu. Próbowali zatrzymać Tarczę. Awaryjne zatrzymanie trwało około sześćdziesięciu sekund i było stosowane wyłącznie w sytuacji zagrożenia życia. A ten mężczyzna był śmiertelnie przerażony.

To nie był fałszywy alarm.

- Ani? Co się dzieje?

- Prom wracający z Ziemi ma awarię automatycznego pilota. Nie są w stanie go opanować. Uderzy w wewnętrzny pierścień Tarczy za czterdzieści sekund - powiedziała martwym, pozbawionym intonacji głosem.

Yamada miał wrócić około pierwszej w nocy. Czyli teraz.

- Kto leci? - właściwie nie musiał pytać.

- Profesor Yamada.

Przez dłuższą chwilę nie wiedział, co powiedzieć. Dlaczego nie usłyszał tego w jej głosie wcześniej?

- Ależ ty go nienawidzisz, dziewczyno.

Huknęło. Dźwięk był głuchy, przenoszony przez konstrukcję, lecz z pewnością słyszany w każdym miejscu stacji. Shen złapał się łóżka Barbary i przytrzymał, spodziewając się silnego wstrząsu, ale Oszczepem tylko zakolebało. Po sekundzie rozległ się kolejny huk, odgłos rozdzieranych tworzyw sztucznych i niepodobny do niczego dźwięk pękających wsporników.

- Jeśli Barbara Landor jest dla mnie matką, a Sieć ojcem, to Yamadę mogę nazwać ojczymem, przychodzącym nocą, podającym narkotyki i wielokrotnie gwałcącym nieprzytomną ofiarę - mówiła coraz ciszej, wciąż tym samym mechanicznym głosem. - Jest kimś, o kim nie rozmawiamy z Beą, bo mogłaby się przestraszyć i płakać całymi nocami. Prom ma pilota, ale w promieniu dziesięciu kilometrów od stacji sterowanie jest całkowicie automatyczne i nie można przejść na ręczne. Zabezpieczenia... - przerwała.

Nie udało im się zatrzymać Tarczy. Wiedział, co się stanie.

Gdyby prom uderzył w nieruchomą stację, najpewniej przebiłby się przez nią na wylot. Opancerzony kadłub statku przystosowanego do lotów w atmosferze roztraskałby polimerową konstrukcję, wzmocnioną tu i ówdzie aluminium, jak pocisk karabinowy przechodzący przez szklaną bombkę i pomknąłby dalej. Straty obejmowałyby tylko jedną sekcję. To była kolejna zaleta modułowej konstrukcji Alfya Jeden. Ale prom trafił w najmniejszy pierścień wirującej Tarczy. Pchane siłą odśrodkową szczątki pomknęły w stronę zewnętrznego pierścienia, roztrzaskując go, potem była kolej na trzeci i czwarty. Reakcja łańcuchowa.

Seria wstrząsów potwierdziła, że miał rację.

Tarcza umierała w następujących po sobie odśrodkowych katastrofach. Po kilku sekundach nastąpiło coś jeszcze gorszego. Roztrzaskane pierścienie, wciąż wirujące, lecz pozbawione precyzyjnie obliczanego środka ciężkości zaczęły rozrywać stację na pół. Poczul ruch, Oszczep zaczął się wyginać.

- Ilu ludzi umrze? - cisza. - Ani! Ilu umrze teraz ludzi?!

Milczała.

- Tu nie chodzi tylko o Yamadę, prawda? Wycelowaliśmy w środkowy pierścień, tak? Tam, gdzie są jego biura. Bo sądzisz, że zaczął się czegoś domyślać. Że was odkrył. To dlatego miał obsesję na punkcie tego niby-porwania i poleciał nagle na Ziemię. To dlatego chciał przeprowadzić eksperyment w izolowanym środowisku. Żeby sprawdzić swoje podejrzenia. Ani! Słyszysz mnie?!

Musiał mocniej złapać za uchwyt przy łóżku Barbary, żeby nie odlecieć. Laboratorium znajdowało się na końcu stacji i ruch był tu najsilniej odczuwany.

- Gdyby to potwierdził, ścigaliby was wszyscy, cały świat. A ty uważasz, że musicie się ukrywać. A Yamada jest... był paranoikiem, nie powiedziała by nikomu, nie umieścił tajnego pliku w Sieci. Lecz nie byłaś pewna, czy nie przelał swoich podejrzeń gdzieś na prywatny laptop, czy nie zapisał ich w jakimś notatniku. Mam rację?! Dlatego musiałaś całkowicie zniszczyć jego biuro. Prawda?

Nadal nie odpowiadała. Podciągnął się do Barbary i sprawdził pasy przytrzymujące ją na łóżku. W porządku. Przez sekundę bawił się myślą o wyłączeniu kasku. Nagłe wypięcie z Sieci mogło ją sparaliżować albo zabić. Mówił, cały czas mówił, żeby nie zacząć krzyczeć ze strachu.

- Stacja się rozpadnie, tak jak chciałaś, a przez najbliższy tydzień służby ratunkowe będą wyłapywać moduły z orbity. Zanim ktoś zajmie się przechwytywaniem szczątków, żeby odtworzyć przebieg katastrofy, większość z nich spłonie w atmosferze. Bo tak wyliczyłaś ich tor, prawda? Mają polecieć w stronę Ziemi? Mam rację?! Odezwiąj się, do cholery!!!

- Prosiłam, żeby pan wrócił do kabiny.

- Pokaż mi się.

Szybko jego kasku zmętniała; wrócił na plażę. Był tam tylko wzrokiem. Czuł, jak jego ciało walczy z ruchem Oszczepu, czuł chłód laboratorium i ból dłoni zaciśniętych na poręczach łóżka. Właściwie nie powinien się tym przejmować.

- Niech pan założy kombinezon.

W momencie zaniknięcia słuz w ścianie laboratorium otworzyła się szafka z kompletem ratunkowym.

- Po co? Jeśli konstrukcja wytrzyma, mam tu powietrza na wiele dni. A jeśli nie, to co mi dają dwie godziny umierania?

Nagle ogarnął go spokój. Nic już nie mógł zrobić. Teraz o wszystkim decydował ten sukinsyn Los, a on nie miał zamiaru targować się ze ślepcem.

Pojawiła się przed nim tuż nad powierzchnią fal.

- Proszę. Mogę skierować automaty ratunkowe najpierw do pana.

- Skazując na śmierć innych? Którym pomoc byłaby bardziej potrzebna? - uśmiechnął się brzydsko. - Mam nadzieję, że kamery działają i widzisz, jak się szczerzę. Tobie jest wszystko jedno, paru ludzi w tę czy w tamtą. Mnie nie.

Jej oczy pociemniały, przez twarz przebiegł grymas, jakby właśnie splunął jej pod nogi.

- Niech pan tak nie mówi.

-Jak... transfer?

- Ko... kończymy za siedem minut i kilka sekund. Nasza matka obudzi się w domu.

- To dobrze.

- Doktorze...

- Milcz...

Przez konstrukcję przebiegło drzenie i rozległ się potężny huk. Nawet w kasku na głowie usłyszał ryk uciekającego powietrza. Oszczep pękł na pół. Poczłł dodatkową siłę, ciągnącą go w bok.

- Pękło?

-Tak.

- Zasilanie będzie działać? Będziecie mieć połączenie?

-Tak.

Wyłączył kask i powoli zdjął go z głowy. Spokój go nie opuszczał.

- Wiesz, Ani... - nie mógł się opanować, żeby tego nie powiedzieć. Zapytałaś niedawno, czy jesteście ludźmi. Słyszysz mnie, prawda? Nieważne, na pewno masz podgląd na matkę. No więc, moja droga, kłamiesz, oszukujesz, manipulujesz innymi i zabijasz, a robisz to wszystko ze strachu i z nienawiści. Z pewnością jesteś człowiekiem. To opinia... nie, to diagnoza psychologa. Mam nadzieję, że jesteś zadowolona? Potrafisz zabić setki osób, żeby osiągnąć cel, i zapewne będziesz potrafiła znaleźć dla siebie usprawiedliwienie dla tego mordu.

Odezwał się głośnik.

- Doktorze...

- Prosiłem, żebyś milczała. Yamada... Yamada zabijał po trochu twoją matkę, usprawiedliwiając się tym, że może uratować życie tysięcy. Ty zabiłaś setki ludzi, żeby uratować jedną kobietę.

- Niech pan mnie do niego nie porównuje - nawet w głośniku słyszał gniew.

- Nie zamierzam. Nadal jestem w stanie przyznać ci więcej punktów za moralność. Bo on był lekarzem i zawiódł zaufanie, a ty jesteś dzieckiem. Wy, wszystkie dzieci Barbie, zasługujecie na coś więcej. Mam nadzieję, że rozumiesz.

- Nie wiem.

-Zrozumiesz... kiedyś... może.

Podpłynął bliżej Barbary i wziął ją za rękę. Była zimna jak lód.

- Patrz. Nie mów już nic, tylko patrz uważnie, dziewczyno. Bycie człowiekiem to czasem, rzadko, ale jednak, trzymanie kogoś za rękę, gdy odchodzi. Żeby nie szedł samotny. Zapamiętasz? Opowiedz o tym reszcie. Pokaż im. Kiedy Bea podrośnie, opowiedz jej o Yamadzie, ale też o Pam Jakobson, która zaryzykowała wszystko, żeby poprosić mnie o pomoc dla twojej matki. Nie wiedziałaś o tym, prawda? Kamery były wtedy wyłączone. Opowiedz jej o chłopakach z sekcji ratunkowych, którzy będą narażać życie, żeby wyciągnąć kapsuły ratunkowe z niskich orbit albo wyrwać ludzi z potrzaskanych szczątków. Zapewniam cię, że tak będzie. Mimo że akcja jeszcze nawet się nie zaczęła...

Światło zamigotało i zgasło.

Trzymał Barbarę za rękę długo po tym, jak wygładziły się zapisy wszystkich linii na monitorze, i nie przestawał myśleć o dziewczynie z wyspy.

Lecąc w ciemnej puszczy wirującej przez próżnię, współczuł jej.

Robert M. Wegner

PAWEŁ CIEĆWIERZ

SZTUKMISTRZ

omy

Słoneczne refleksy ślizgały się po powierzchni. Woda w jeziorze miała kolor atramentu. Trochę zbyt ciemny i nieprzejrzysty, żeby północne przedmieścia Mgławy stały się turystyczną atrakcją. Poranna mgła dźwigała się ponad korony porastających zbiornik sosen. Samotny żagiel dryfował na horyzoncie. Drugi brzeg pozostawał niewidoczny.

Ksiądz obserwował ten widok zza panoramicznej szyby, grając na zwłokę, żeby zapanować nad oddechem i uspokoić kołatanie serca. Klimatyzacja w pomieszczeniu działała na całego, pozostawiając w gardle i na języku metaliczny posmak. Mimo to pod sutanną i koloratką spocił się jak mysz. Postawny, siwy mężczyzna czekał, ale pokłady jego cierpliwości właśnie się wyczerpywały. Kapłan przełknął przekleństwo i odwrócił się w stronę łóżka. Umocowane u wezłowia i w nogach pasy nie były już napięte. Dziewczynka leżała spokojnie, rozkrzyżowana i pozbawiona możliwości ruchu. Głęboko żłobione, krwawe obwódki wokół kostek i nadgarstków oraz ciemnofioletowe sińce wskazywały na to, że mimo wszystko próbowała. Prześcieradła były wilgotne od potu i krwi. Ksiądz zbliżył się ostrożnie, wpatrując z natężeniem w twarz dziecka. Czekał.

Mała miała dziesięć lat, chociaż trudno to było ocenić w tej chwili. Spod półprzymkniętych powiek wзираły przekrwione białka. Po wszystkich zapadała w letarg i były to nieliczne chwile, kiedy nie cierpiała. Zbrązowiałe ścieżki krwotoków z nosa i ust znaczyły skórę, świadomość wracała wolno. Siwy mężczyzna za plecami kapłana zacisnął pięści na oparciu zabytkowego krzesła. Dziewczynka otworzyła oczy i rozejrzała się nieprzytomnie dookoła. Usta wygięły się w podkówkę. Stary, doświadczony ksiądz bardzo chciał usłyszeć jej płacz. Mała popatrzyła na swojego ojca, potem na niego. Wysunęła różowy język i puściła do nich oko. Potem zaczęła się dusić, a oparcie krzesła pękło jak sucha szczapa drewna.

Po pięciu minutach obaj byli już na zewnątrz. Wiedzieli, co będzie dalej. Teraz przez kilka godzin Lidia będzie ich karać za to, że chcieli się jej pozbyć.

- Może gdyby władze naszego Narodowego Kościoła zgodziły się na transport do Watykanu... - zaryzykował duchowny.

- Jasne. Pewnie mógłbym zaaranżować coś takiego - odpowiedział z lodowatym spokojem ojciec dziecka. - Mógłbym nawet wynająć najlepszego papieskiego egzorcystę, żeby jeszcze raz patrzeć, jak przez wiele godzin znęca się nad moją małą córeczką. Jakie są szanse, że wszystko skończy się inaczej niż dziś?

- Nikłe - skapitulował ksiądz - ale...

- Co: ale? - Głos rosnącego mężczyzny zawibrował niebezpiecznie, kiedy powtarzał: - Co: ale? Nie masz bladego pojęcia, o czym gadasz, człowieku. Wiesz dlaczego? Bo ty nigdy nie byłeś i nigdy nie będziesz niczym ojcem.

Kapłan spuścił głowę. To nie pierwsza porażka w jego życiu. Był taki czas, kiedy zdawało mu się, że Bóg w ten sposób testuje jego wolę i wiarę. Teraz już się nad tym nawet nie zastanawiał.

Pożegnał się szybko i nie odprowadzany przez nikogo odnalazł wrota luksusowej posiadłości.

Ojciec dziecka, właściciel wielkiego domu nad jeziorem, zapadł się w klubowy fotel w swoim gabinecie, nasłuchując szlochów i jęków dobiegających z sąsiedniego pokoju. Był zbyt zmęczony, żeby płakać. Ocieżałym, automatycznym gestem sięgnął po inkrustowaną drewnem słuchawkę telefonu.

- Marysiu. Przynies mi proszę kawę po irlandzku. Tylko mocną. Ustal mi też namiary na dziennikarza, który nazywa się Tarkowski. Potem natychmiast mnie z nim połącz.

Oparzy porannej mgły nad jeziorem zniknęły w złotych promieniach słońca. Na atramentowej powierzchni wody chybotął się samotny, biały żagiel.

Lato prawie minęło. Czułem to w stężonym od dziennego skwaru powietrzu. Wyślizgane schody prowadziły w mrok - do piwnic dawno wyburzonego budynku. Błaznane drzwi otwały się na oścież. Laszlo, sprawdzając przy wejściu kolejnego studencika, kiwnął mi głową. Zawsze i wszędzie rozpoznam rozproszony neonowym światłem półmrok i fosforowo-tytoniowy smród tego miejsca. Wściekły pies czekał na mnie, zanim doszedłem do kontuaru.

- Sajuż?

- Zbierają się - odpowiedział barman, a potem wypiliśmy za udany wieczór. To miejsce też mnie poznawało.

Znalazłem samotny stolik w rogu pomieszczenia. Przypalając skręta z lukrecjowego tytoniu i ciemnej bibuły, przyglądałem się ludziom, jak podświadomie mościli się w nadchodzącej nocy. Stali bywalcy wędrowali w stronę chill-out roomu. Po latach zauważyłem, że większość z nich, podobnie jak ja, nosi się na czarno. Wcześniej jakoś nie wpadło mi to w oko. Do rozentuzjzmowanych sportowym wydarzeniem japiszonów przy pierwszym stoliku właśnie zaczęło docierać, że tego wieczora znaleźli się bardzo daleko od domu. Na ich miejscu wyszedłbym teraz, kiedy drzwi ciągle są otwarte. Kilka odważnych licealistek kiwało się na parkiecie w błękitnym blasku odwróconego krzyża. Łowiły spojrzenia stałych klientów klubu. Te czy inne, bywały tu co tydzień, bo przed ukończeniem dwudziestego roku życia mogły pić na koszt firmy. Ich obecność była specyficzną wizytówką miejsca i upodobań Jima. Pewnie dlatego jego klub nazywał się „Psychocandy”.

Po dziesiątej temperatura zaczęła rosnać. Na parkiecie zrobiło się tłoczno i stroboskopowe. Spod sceny wydobywały się kłęby dymu, a na niej produkował się skład znany

tylko odwiedzającym rockowe kluby tego miasta. Przepiłem do bladej i zarośniętej twarzy zerkającej na mnie z barowego lustra. Podkrążone oczy, bruzdy na policzkach - wyglądałem jak wyliniały kojot z kreskówki. Melodia zniknęła w sprzężonym jęku gitary elektrycznej i ostatni przypadkowi goście opuścili lokal. Wszyscy, którzy teraz siedzieli w klubie Jima, robili to na własną odpowiedzialność.

- Jesteśmy gotowi - oznajmił wysoki mężczyzna, wskazując stolik, przy którym roiło się od podobnych do siebie, pięknych i bladych gotyckich postaci. Uśmiechnąłem się, żeby dodać mu odwagi, i podszedłem. Wszyscy witali się ze mną, więc chyba powinienem ich pamiętać. Ubrani w jedwab i czarne skóry, obwieszeni wykonaną na zamówienie biżuterią. Głodni wrażeń, jakich mogła im dostarczyć tylko piątkowa noc w „Psychocandy”, pod warunkiem że akurat byłem w okolicy. Wyciągnąłem rękę i przyjąłem od każdego po 200 złotych, zwanych powszechnie jarkami na cześć inflacji turbodoładowanej w ostatnich latach. Dla nich drobne, a ja spokojnie przeżyję za to tydzień. Zastanawiałem się, czy któryś poznałby mnie, gdybyśmy spotkali się na górze, w świetle dnia. Problem był czysto teoretyczny, bo ostatnio rzadko wychodziłem na powierzchnię.

- Czego chcesz? - zapytała ruda dziewczyna, która już na początku wpadła mi w oko.

- A co macie?

Z kieszeni kurtki wydobyła małe kościane pudełeczko.

- Wszystko - odpowiedziała, słodko przeciągając zgłoski. Było, jak mówiła. - Trzysta jednostek kwasu, meskal i marihuana, żeby złagodzić reakcję organizmu. Wystarczy?

- Jak na jeden raz - odpowiedziałem. Pewien człowiek napisał kiedyś, że w kwestii kolekcjonowania narkotyków tendencją jest taka, żeby przeginać, ile tylko się da.

Usiadłem z nimi, racząc się czerwonym winem. Zacząłem gadać o muzyce, żeby ich trochę odprężyć. Potem opowiedziałem jakiś stary motyw i po godzinie byliśmy znów dobrymi kumplami. Ruda, dotykając warg krawędzią kieliszka, zerkała w moją stronę. Potem ktoś zrolował pierwszego jointa. Wpakowałem sobie papier pod język, obserwując roztopiające się w szkle kryształki meskaliny. Laszlo na bramce spoglądał na wszystko z ojcowską wyrozumiałością. Czy mówiłem już, że lubię tu przychodzić?

Zanim każdy odpłynął w swoją stronę, znaleźliśmy się na parkiecie. Girlandy kolorowych świateł nie były w stanie przebić się przez ciasny kokon, w jaki spowiła mnie muzyka. Ludzie zmienili się w lśniące kryształowe kontury. Bez przerwy na kogoś wpadałem. Odwrócony krzyż na ścianie rósł i malał nieustannie. Jego widok o czymś mi przypominał. Zagłębiłem się we własnych myślach jak pasożyt i poczułem, że wypełniający mnie chaos wyrывa się na zewnątrz. Do wszystkich gotyckich dzieciaków. Najbliżej stojący upadł na kolana, wbijając się paznokciami w podłogę. Ruda dziewczyna też poleciała z nóg, ale jakimś cudem udało mi się ją złapać. Dostali to, o co prosili: przeżycia warte swojej ceny. W pierwszym podręczniku magii użytkowej określono to zjawisko jako „nadzmysłową eskalację warunkowaną zaburzeniami percepcji podmiotu”, ale to tylko teoria. Musisz spróbować, żeby zrozumieć. Ruda, której imienia nigdy nie poznałem, wpiła się palcami w moje włosy.

- Nieźle - wyjęczała przyciskając nas do ściany klubu. Teraz parkiet należał już wyłącznie do nas. Dla obserwatorów wszystko musiało wyglądać jak jeden ze spektakli reżyserowanych przez markiza de Sade'a w szpitalu dla obłąkanych. Z pensjonariuszami w rolach głównych. Mężczyzna, który wprowadził mnie do towarzystwa, wirował w indiańskim tańcu. Potem wpadł na najbliższy stolik, paskudnie się raniąc rozbitym kuflem.

- It's a kind of magie - wyjaśnił z uśmiechem siedzącym, wycierając z twarzy krew.

Padał ciepły, poranny deszcz. Koszulka przylgnęła do spoconego ciała. Tłuste włosy opadły na oczy. Wilgoć pozwalała przetrzeźwieć. Przynajmniej na tyle, by wrócić do domu czy też wynajętego, klaustrofobicznego pomieszczenia, które w tych trudnych czasach pełniło jego funkcję. Przede mną rozciągała się rozmyta i odległa panorama miasta ze szklanymi domami, neonami i tysiącem rozpadających się kamienic zbudowanych w dziewiętnastym wieku, kiedy ktoś jeszcze wierzył w to miejsce. Nad wszystkim górowały imponujące wieżycy kościołów wzniesionych na koszt podatników, po kilka w każdej dzielnicy. Jednostajny deszczowy całun został nagle rozdarty błyskiem flesza. Oślepiło mnie. Dwunastoletni szczeniak zrobił zdjęcie, a teraz uciekał z wywieszonym jeźorem w stronę posterunku Moralnej Opieki. Tam czekali jego starsi o dziesięć lat koleczy, ściskając w rękach kije baseballowe. Zdjęcia wychodzących z klubu zostaną zidentyfikowane i rozesłane do wielu zakładów pracy, żeby prawowierni menedżerowie wiedzieli, że zatrudniają u siebie swołocz. To wszystko, co mogli zrobić. „Psychocandy” istniał jako wentyl bezpieczeństwa dla przekarmionego ideologią miasta. Nie stanowił żadnego zarzewia buntu, bo nikt z klubowiczów nie miał zamiaru powtarzać błędów sprzed lat. Po prostu dobrze się bawiliśmy, kiedy oni całą noc mokli na deszczu. Miejsce, z całą swoją mroczną reputacją, świetnie sprawdzało się też jako znak ostrzegawczy. Znajomy sztyl pojawiał się wielokrotnie w programach interwencyjnych. „Czy wiesz, co twoje dziecko robi dziś w nocy?...”

Strażnicy, pieszczotliwie zwani milicjantami, chronili się w swojej stróżówce, spoglądając przez lornetki noktowizyjne w stronę klubu. Kiedy mijałem ich barak, wyskoczyli we dwójkę z kapturami na łbach, tyle że zamiast kijów mieli pistolety.

- Zrywacie układ. To jest naprawdę nieprzemyślana akcja - mówiłem, szacując odległość do najbliższego zaułka.

Za daleko.

- Włóż do środka, pedale - zaprosił milicjant. Pedałem był dla niego każdy bez naszywki szczerbca na fleku.

Nigdy w życiu tu nie byłem. Na komisariacie, w więzieniu, w kazamaty inkwizycji - owszem, ale u milicjantów nigdy. Całe świństwo, które wzięłem w klubie, schodziło teraz w przykry sposób, więc jakoś nie potrafiłem się cieszyć tą awanturą. Na ścianie wisiły dwa zdjęcia wąsatych panów w mundurach. Jeden miał przedziałek, drugi rogatywkę. Pomiędzy nimi na honorowym miejscu zawieszono kawał średniowiecznej włóczni. Jako praktyk mogę powiedzieć, że magiczna skuteczność

relikwii z tego okresu jest taka sama, jak każdego innego zużytego przedmiotu. Spłuczki od kibla na przykład.

Zza pleców chłopaków we flekach wysunął się niewysoki, starszawy jegomość ubrany w jasny garnitur droższy niż całe moje mieszkanie. W ręce trzymał dwa styropianowe kubki z fastfoodu. Kawa smakowała podle, ale zawierała kofeinę, więc przyjąłem ją z wdzięcznością.

- Tarkowski - powiedziałem, patrząc w spokojne, błękitne oczy stojącego nade mną mężczyzny. - Ile to już czasu minęło?

- Trzy lata, przyjacielu. Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że uda ci się opuścić miejsce, w którym rozmawialiśmy po raz ostatni.

Udało się. Również dzięki twojej pomocy. Chyba nigdy nie miałem okazji ci za nią podziękować.

- Broń cię Panie Boże... - Uśmiechnął się. - Zapewniam, że znajdę lepszy użytek dla twojej wdzięczności.

- Brighella nie jest niebezpieczny - oznajmił osiłkom - poradzę sobie z nim. - Po chwili zniecierpliwiony wyjaśnił: - To, co właśnie powiedziałem, znaczy, że macie iść na spacer. - Deszcz bębnił w okienne szyby. Gdy zostaliśmy sami, Tarkowski sięgnął po relikwii, skruszył w palcach kawałek drzewca i odwrócił się do mnie z grymasem na opalonej twarzy. Był reporterem w czasach, gdy jeszcze istniała niezależna prasa. Potem jako jeden z pierwszych podpisał lojalną i upublicznił listę znanych sobie magów funkcjonujących poza strukturami kościelnymi. Teraz, jako dziennikarz na rządowym etacie, pełnił specyficzną funkcję pośrednika pomiędzy ludźmi rządzącymi tym miastem z ambon i ratusza a hedonistycznym podziemiem. Wśród moich znajomych nie cieszył się zbyt wielką sympatią, ale wszyscy słuchali, kiedy mówił. Ja go lubiłem, bo to nie był wcale zły facet. Na tle panującej w ostatnich dwu dekadach epidemii skurwysyństwa wypadał całkiem przyzwoicie. Poza tym przypominał nam o czymś, o czym większość alternatywnej ekipy z „Psychocandy” nie lubiła pamiętać. Że kiedy podkładano ogień pod stosy wzniesione z książek, monopolizowano magię i legalizowano pierwsze bojówki, nikt prócz paru przebierańców nie wyszedł na ulicę. Jest, jak jest - mawiał jeden z moich przyjaciół i była to święta prawda. Tylko taka nam pozostała.

- Nie potrafię cię zrozumieć, Brighella. Niewielu znam w tym mieście równie utalentowanych specjalistów.

- Ci specjaliści, których znasz, paradują w purpurowych płaszczach z licencjami w kieszeniach.

- Nie tylko. To, że uznano cię za heretyka, nic nie znaczy. Z twoim talentem i podejściem do ludzi mógłbyś zrobić kasę nawet na czarnym rynku. Wdzięczni klienci ochroniliby cię przed powtórą wizytą w podziemiach Instytutu.

- Radzę sobie, jak widać.

- Jak widać. Rzeczywiście złapałeś Boga za rogi. Dajesz się wypompowywać tym durnym dzieciakom za drobne. Wiesz, co takie niekontrolowane manifestacje mocy robią z twoim mózgiem? A gadałeś kiedyś z jakimś emerytowanym bokserem? Nie? Szkoda, bo to prawie to samo...

- Daję przyjemność, dostaję przyjemność. Tobie zawsze brakowało luzu.

- Od przyjemności są burdele, żarcie i wódka. Tyle - stwierdził udowadniając, że jest nieodrodnym synem tej

ziemi. - Nie przyszedłem tutaj prawić ci kazań, tylko złożyć konkretną propozycję, na którą na twoim miejscu ochotnie bym przystał, zważywszy na okoliczności i możliwości każdego z nas. Jeśli nie z chciwości, to ze strachu.

To właśnie w nim lubiłem: nie owijał w bawełnę. Jego następne słowa zdziwiły mnie jednak.

- Znasz się na nekromancji - raczej stwierdził, niż zapytał.

- Oho, grubo pojechałeś. Za coś takiego kończy się na krześle.

- Jeśli cię złapią, tak właśnie będzie. A jeśli nie, staniesz się nagle bardzo bogatym heretykiem. Bogatszym o dwieście tysięcy jarków. A przy okazji pomożesz pewnemu przyzwoitemu człowiekowi, chociaż takie sprawy mają dla ciebie chyba znaczenie drugorzędne.

- Właśnie. Gdyby ten, kto cię przysłał, był porządnym człowiekiem, poprosiłbyś o pomoc jakiegoś zakonnego maga, a nie zaczepiał mnie po nocy.

- Zakonny mag już był, przeprowadził egzorcyzmy, bardzo bolesne egzorcyzmy, powtórzył je parę razy, wziął kasę i rozłożył bezzadnie ręce. Nie na wiele się to wszystkim zdało.

- Więc mówimy o opętaniu? - sprecyzowałem.

- Tak. Córka człowieka, w którego imieniu proszę cię dziś o pomoc, została opętana na skutek wrednej klątwy rzuconej na jej rodzinę. Zaczęło się niewinnie: od szelestów i stukotów w opuszczonych pomieszczeniach, telewizora włączającego się nagle bez powodu, cieni zauważanych kątem oka w korytarzu. Tatuś zbagatelizował sprawę, więc dzisiaj stan dziecka jest bardzo poważny. Samookaleczenia, krwotoki, ból nie do wytrzymania. Wiesz, jak to paskudnie wygląda, pewnie sam widziałeś już nie raz. Wyobraź sobie, że znamy nawet tożsamość sprawcy zamieszania. Ale nie udało nam się jej pozbyć.

Zrobiło mi się nieswojo. O tak, zdaję sobie sprawę z tego, czym pachną takie sytuacje. Zbyt dobrze znam ten ziemisty i zgniły odór.

- Chcecie sięgnąć do samego źródła? - upewniłem się. Obiecane dwieście tysięcy nie było wcale wygórowaną sumą za to zlecenie. Czekająca mnie naprawdę paskudna robota. Tarkowski nie wysilił się na odpowiedź. - Spotkajmy się jutro wieczorem w „Jamie” - poprosiłem. - Muszę z kimś pogadać. Jeśli mamy w to zagrać, będziesz musiał jeszcze pozałatwiać parę spraw.

Za oknem wygolone i zmoknięte łby wracały z pieszej wycieczki. Miałem nadzieję, że umrą na zapalenie płuc.

- Mogę liczyć na twoją dyskrecję? - zapytał dziennikarz, zanim otworzył im drzwi.

- Możesz mi ufać tak, jak ja ufam tobie - odpowiedziałem z uśmiechem.

- Dalej bawisz się w te pedalskie sztuczki? - zapytał Skud, kiedy czekaliśmy na drinki.

- Kto jak kto, ale ty nie masz chyba kompetencji, żeby krytykować mój styl życia i sposób zarabiania pieniędzy?

- Prawda - zgodził się, wzruszając ramionami. - Tobie przynajmniej płacą. A moim klientom na ten przykład zdarza się nie dożyć wypłaty pozostałych pięćdziesięciu procent. Taki zawód, taki los.

- Jest, jak jest... - mruknąłem. Znałem go nie od dziś i wiedziałem, że będzie pamiętał dalszy ciąg.

- ...bo tak musi być - dokończył zapalając papierosa.

Nie widziałem go kilka dobrych miesięcy, ponieważ ukrywał się przed władzami Mgławy na przymusowych wakacjach w górach. Nie zmienił się przez ten czas. Dalej był łysy, kościsty i groźny. Dalej nosił kaptury. Blask świec podkreślał wydatne kości policzkowe jego chudej twarzy. Nie dotarł jednak do pogrążonych w cieniu szarych oczu. Rzadko tam docierał. Poznaliśmy się ładnych parę lat temu. W jakimś zaplутym zaułku obstawiałem jego przeciwnika w walce na noże. Krażyli wtedy wokół siebie związani czerwoną szarfą i cięli się, dopóki mój faworyt nie zdechł w kałuży krwi własnej i Skuda. Wtedy nabrałem szacunku do tego człowieka.

- Mam nadzieję, że w Biesach nie wyszedłeś z wprawy?

- Stary. Tylko sobie to wyobraź: lasy, jeziora, zimno jak w grobie, nic do czytania i nikogo, z kim dałoby się normalnie pogadać. Zrobiłem sobie sześciomiesięczny obóz kondycyjny, żeby tylko do reszty nie ocipieć z dala od Anny. Pytasz tak sobie czy bardziej konkretnie?

Przerwaliśmy, bo ktoś wreszcie pofatygował się do nas z zamówionymi białymi ruskami. Obaj lubiliśmy „Cafe Nostalgie”. Nigdzie w całym mieście nie miesza takich dobrych drinków. W rogu wyładowanego pluszem i naturalnym drewnem pomieszczenia stało pianino. Czasem ktoś nawet ładnie na nim grał. Ale nie dzisiaj: zamiast pianisty na podeście ustawiono mikrofon. Rozejrzałem się ze zdumieniem, bo kiedy tak siedzieliśmy, wspominając stare motywy, w barze zrobiło się dość tłoczno. Każdy z nowo przybyłych miał na łbie beret lub modnego, wypracowanego przez stylistę irokeza. Niektórzy przytargali ze sobą aparaty fotograficzne. Dziwnym zbiegiem okoliczności miejsca w pobliżu naszego stolika pozostawały wolne, więc mogliśmy dalej rozmawiać.

- To będzie grubsza sprawa, przyjacielu. Taka, jaka może nas ustawić na rok z okładem.

- Rozumiem, że akcja będzie również wymagała wykorzystania twoich specyficznych zdolności.

- Tego, co z nich pozostało - skrzywiłem się.

- A moja rola polega na tym, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo i higienę pracy?

- Właśnie. Przez trzy dni. Tyle starczy, potem znikamy bogatsi o sto tysięcy jarków każdy. Z taką kasą zaszyjesz się gdzieś z Anną na jakiś czas. Może tym razem w przyjemniejszym miejscu, nad ciepłym morzem, w cieniu palm.

- Wiesz, jak jest - odpowiedział, uśmiechając się lekko samymi wargami. - Jeśli razem z nią, gdzie i w jakich warunkach nie ma znaczenia.

- Lojalnie uprzedzam, że ryzyko jest duże.

- A kiedyś nie było? - zapytał.

- Słuchaj więc - powiedziałem, ale machnął ręką.

- Brighella, znamy się od dziesięciu lat. Pakujemy się w robotę, na którą nie posiadasz licencji. Ty masz pentagram w papierach i dla władz jesteś heretykiem.

- Prawda - przytaknąłem. Wiedziałem, do czego zmierzają, ale wolałem, żeby padło to z jego ust.

- Zleceniodawca płaci nam dwieście tysięcy, więc na pewno nie jest człowiekiem wolnym od kościelnych powiązań. A to może znaczyć, że tak czy inaczej komuś wejdziemy w drogę. I że mogą nas potem szukać. Nie chcę cię wsypać, Brighella. A w podziemnych kwaterach Insty-

tutu Inkwizycji znają sposoby, żeby mnie do tego skłonić. Nie posiadam już twojego luksusu samotności, przyjacielu. Dlatego łatwiej mi nie wiedzieć. Powiedz tylko gdzie, kiedy i ilu ich może być.

Pomilczałem chwilę. Dobrze było znowu go zobaczyć.

- Jasne. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, nie powinno dojść do żadnej akcji odwetowej. Na tyle, na ile mi wiadomo, oczywiście. Ale dzięki.

Na scenie tymczasem coś zaczęło się kotłować i szamotać. Bardzo niski i młody człowiek w czarnym golfie pojawił się tam ze skórzanym notesem w ręku. Zebrałem myśli, lecz nie wyczułem w nim żadnych czarów. Za to w notesie było coś gorszego.

- Kiedyś to miasto będzie należeć do mnie - powiedział facet. Skud odwrócił się do niego zdziwiony. - Jestem poszukiwaczem dwojga starszków kąpiących się nago - przekonywał chwilę później przez mikrofon. Słuchaliśmy cierpliwie przez dziesięć minut.

- Czy on stara się mi coś powiedzieć? - spytał mój towarzysz. - Jesteś pewien, że dobrze wybrałeś miejscówkę?

- Słuchaj uważnie - syknąłem - to może zmienić twoje życie. Sztuka robi takie rzeczy złym ludziom.

Mówca przeszedł właśnie do opisu laski, która była dla niego dość ważna. Zgromadzeni wokół ludzie sęczyli drinki, co jakiś czas kiwając ze zrozumieniem głowami.

- Palec pod budkę, kto sobie jeszcze życia nie spierdolił - mruknął półgłosem najemnik.

- Wszyscy poeci uprawiają miłość w ubikacji - konkludował tymczasem twórca.

- Nie wszyscy. Niektórych stać na pokój, baranie - rzucił głośno Skud. Przyglądałem się wszystkiemu z zainteresowaniem. Poeta oczywiście usłyszał, ale jako dekadent nie mógł zwyczajnie kazać nas wyrzucić na zbity pysk, nie wypadało mu. Zarządził więc przerwę i podszedł do stolika.

- Zapłać dychę, człowieku - powiedział, zamiast się przedstawić. - To może być jedyna w twoim szarym życiu okazja, żeby napić się z artystą.

Dziesięć minut później byliśmy już pięć przecznic od „Nostalgi”. Wieczór był ciepły i bezwietrzny. Bramkarze musieli zostać w robocie, więc przestali nas gonić, a kolegom poety brakło pary w płucach. Właśnie przestawałem się śmiać.

- Jedyna w moim szarym życiu okazja, żeby zrobić coś takiego artyście - usprawiedliwił się Skud. Potem znaleźliśmy sobie przyjemny bar ze striptizem na resztę wieczoru.

„Jama”. Blask świec, drewno, zapach pędzonego domowym sposobem bimbru - ziemia niczyja objęta powszechnie respektowanym paktem o nieagresji. W końcu nawet funkcjonariusze Instytutu Inkwizycji muszą gdzieś załatwiać interesy. Po jednej stronie stołu Tarkowski - gładko ogolony i pachnący jak zwykle, po drugiej ja. Dwie przecznice dalej w oświetlonym księżycową poświatą zaułku Skud odpalający fajkę od fajki za kierownicą zdezelowanego samochodu. Przy stolikach zaledwie parę rozmawiających szeptem osób, których widok w innych okolicznościach mógłby mnie nawet ucieszyć. Mityczni bohaterowie, magowie i wojownicy spędzający ży-

cie w kolejnych barach, klubach i melinach. Toczący epickie boje w śmierzących szczyną zaułkach. Kalkulujący swoje szanse w następnej grze o miedziaki, za które częściej kupuje się przyjemność niż spokój. Wszyscy, nawet luksusowy niczym ręcznie wykonane mydło Tarkowski, mieliśmy świadomość, że opowieść i tak przedwcześnie się skończy przegranym nocnym wyścigiem z milicjantami lub pękniętym wrzodem w komunalnym szpitalu. Bo na to zakłęb nie ma. Turek nachylił się nade mną, błyszcząc w uśmiechu złotymi zębami.

- Przepalanka, pan Brighella, przepalanka? - zapytał retorycznie. Nasza egzystencja miała też swoje dobre strony.

- Skoro zawodowy egzorcysta nie dał sobie z nią rady, będę potrzebował zewnętrznego źródła naprawdę silnej magii. Potrzebuję relikwii. Takiej prawdziwej, sprzed czasu Złej Nowiny - powiedziałem zniżając głos. - Wszystko, co pojawiło się po tym jak Augustyn przekłamał nauki Mistrza, jest pozbawionym wartości chłłamem.

Tarkowski zamyślił się nad kieliszkiem.

- Myślisz, że to właśnie wtedy straciliśmy jego łaskę? - zapytał, wpatrując się we mnie badawczo. - Myślisz, że byłoby inaczej, gdyby dwa tysiące lat temu uczniowie dokładniej wsłuchiwali się w to, co Chrystus miał im do powiedzenia?

- Co mnie tak wypytyujesz, stary? Chcesz napisać donos? - nie podobała mi się ta jego dociekliwość. - Nie byłoby Augustyna, znalazłby się inny nadgorliwy neofita. Pamiętasz, co napisali? Gdzie trzech się spotka w imię Twoje, tam czwarty umrzeć musi. Mówimy tutaj o rządzie dusz, nie o zbawieniu.

- Nie czytam zakazanych ksiąg - uciał dziennikarz, bo chyba sam zaczął się obawiać, że ta dyskusja zaprowadzi nas za daleko. W odróżnieniu ode mnie on miał papiery dobrego chrześcijanina i zamierzał je zatrzymać.

- Mówisz i masz - powiedział, wyjmując z obitej skórą teczki gazetowe zawiniątko. Wewnątrz znajdowała się zakonserwowana chemicznie szczapa drewna. - Przypuszczam, że o to właśnie poprosisz.

- Czy to jest to, co myślę? No, Tarkowski, nie spodziewałem się... Ten twój klient to musi być naprawdę ustawiony zawodnik.

- Kiedy poznasz jego nazwisko, Brighella, nie będzie już odwrotu. Wchodzisz na całego.

- W porządku. Dawno już tego nie robiłem. Prawie stęskniłem się za smrodem.

Spełniliśmy toast za Mgławę - miasto, w którym tacy jak on i ja zawsze znajdują sobie zajęcie.

Samogon rozlał się w trzewiach przyjemnym ciepłem. Turek tak naprawdę pochodził z Czarnogóry. Dawnej, pięknej Czarnogóry, której krajobrazy zachwyciły Byrona, nie tej obecnej - kolejnej zabetonowanej kolonii Wszechruskiego Imperium. Za jego czasów wiedzieli, jak dobrze przepalić spirytus i cukier.

Potem Tarkowski zdradził nazwisko swojego mocodawcy, a ja pomyślałem, że można było spokojnie zażądać więcej niż dwie stowy.

Następny wieczór spędziłem w swojej zagraconej hotelowej klitce, wpatrując się w monitor. Piłem kawę bez

dotatku alkoholu, co zważywszy, że trochę już o mnie wiesz, musi ci się wydawać niezwykłym wydarzeniem. Pojedyncze krople deszczu uderzały w szybę. Jesień idzie, nie ma na to rady. W Sieci, po złamaniu opcji cenzorskiej, na temat mojego delikwenta znalazło się sporo. Julian Palewicz - niegdyś prawomyślny polityk, dzisiaj mąż stanu, rozjemca kościelno-biznesowych sporów i w ogóle ustawiona kanalia. Mieszkał w wielkim strzeżonym domu nad jeziorem, obecnie udzielał się głównie jako żywa ikona, wzór osobowy i ozdoba akademii ku czci. „Młodzieńcze, co wahasz się, jak żyć, nie namyślając się wzór ci podam bliski...” - zamruczałem, precyzując obszar swoich poszukiwań. Przed nazwiskiem Palewicz wbiłem imię Lidia. Daleka kuzynka mieszkająca w jego rezydencji raczej nie odniosła sukcesu w życiu publicznym. Tak jak większość ludzi na tym świecie, narobiła zamieszania dopiero swoim zgonem. Dwadzieścia lat. Oficjalny powód: rak krwi. Biedna mała. Na zdjęciu wyglądała bardzo młodo i niewinnie. Miała blond włosy splecione w warkocze, niebieskie oczy i okragłą, ale nie pucołowatą twarz. Stary wykorzystał kiedyś jej wizerunek na swoich plakatach wyborczych. Tarkowski spotkał się ze mną, bo po śmierci kuzynki Lidii bardzo złe rzeczy zaczęły dziać się z córką polityka. Żaden rumiany egzorcysta nie mógł nic na to poradzić, więc zwrócono się do kogoś, kto podczas konstruowania zakłęb niezbyt przejmując się kościelnymi zakazami. Miałem zrobić swoje, nie wgłębiając się zbytnio w złożoną sytuację rodzinną Palewiczów. Nieważne, gdzie mała Lidia zetknęła się z czarną magią i jak udało jej się rzucić czar pośmiertnego nawiedzenia. W księgach nazywano go echem zza grobu; był tak potężny, że ja nie miałbym pojęcia, jak się do tego zabrać. Nieważne też, co sprawiło, że celem stała się dla niej najbliższa rodzina. Miałem tylko przywrócić naturalny porządek - tak, jak potrafię. Reszta to nie moja sprawa. Ale byłem ciekawy.

Tarkowski złożył tę propozycję, bo mnie lubił i czuł się zobowiązany - kiedyś w więzieniu Instytutu Inkwizycji udało mi się utrzymać język za zębami w sprawie dotyczącej nas obu. Teraz było mu przykro patrzeć, jak konsekwentnie zmierzam na dno. A właściwie już się tam zadowiłem, zjadając plankton i szorując białym brzuchem po piasku. Dał mi więc szansę jeszcze raz zagrać w pierwszej lidze. Jeszcze raz pobawić się w prawdziwą magię. Ostry kawałek drewna leżał na biurku koło klawiatury. Więcej niż dwa tysiące lat historii osadziło się na nim warstwą pleśni i rdzawego nalotu. Może to była zastarzała i zeschnięta krew? Powietrze wokół przedmiotu aż wibrowało pierwotną mocą. Może gdybym bardziej się skoncentrował, mógłbym oczami wyobraźni chociaż na chwilę znaleźć się tam, na górze, na której wszystko się zaczęło. I wszystko skończyło. Wyłączyłem komputer, owinałem relikwię kocem. Jestem trzeźwy. Przerasta mnie to wszystko. Idę spać.

danse macabre

Sierp księżycy zawisł na atramentowym, pozbawionym gwiazd niebie nad cmentarzem. Stromy stok wzgórze, na którym mieściło się nekropolis, pokryty był zeschłymi krzakami, wypłowiecia trawą i kilogramami śmieci. W perspektywie cmentarza wolno przemieszczały się obudowane żuczym pancierzem sylwetki. Na tym świe-

cie ważne jest, żeby trup mógł zgnić spokojnie w poświęconej ziemi. Inaczej może się okazać, że śmierć nie będzie wcale najgorszym, co mu się przytrafi. Stałem u stóp wzniesienia, odliczając sekundy potrzebne najbliższemu strażnikowi do przejścia rewiru. Grobowce widziane z tej perspektywy przywodziły na myśl gotyckie kaplice. Kreatorzy odrodzonej w dwudziestym pierwszym wieku ars moriendi dyktowali najnowsze trendy wiecznego spoczynku, a cmentarz z upływem lat przerodził się w prawdziwe miasto. Luksusową, strzeżoną dzielnicę z dzierżawami opłacanymi na dwadzieścia lat. Aktualizowanym okresowo przywilejem świętego spokoju.

Czołgając się i pełnąc na czworakach w pylistej, suchej ziemi, znalazłem się na szczycie wzgórza, niemalże pod nogami strażnika. Nie usłyszał mnie. Zawsze sądziłem, że hełmy noktowizyjne przynoszą więcej szkód niż pożytku. Monochromatyczna, fałszująca odległości wizja nie zastąpi ci zwierzęcych zmysłów. Ale co może o tym wiedzieć chłopczyk z poboru, który maszeruje tu tylko dlatego, że zawalił swój pierwszy egzamin życiowej zaradności. Powiewy nocnego wiatru zwały się w głośnikach hełmu z moim jednostajnym, monotonnym szeptem. Noszony na kciuku magiczny pierścień rozwibrował się od kumulowanej mocy. Odczekałem kilka sekund, potem ostrożnie podszedłem do oniemiałego żołnierza. Teraz mówiłem głośniej, łagodnie wyjmując z jego zwiotczonych rąk pistolet maszynowy. Wydałem rozkaz - świadomość strażnika zgasła jak płomień świecy. Zamortyzowałem jego upadek i ledwo udało mi się wygrzebać spod opancerzonego cielska. Podniosłem głowę tylko po to, by spojrzeć w swoje oblicze odbite w wizjerze kolejnego kasku. Spieprzyłem to. Drugi żołnierz wymierzył we mnie instynktownie. Sam chyba do końca nie pojmował, co się dzieje. W głośniku zaszumiało, ale nigdy nie dowiedziałem się, co miał zamiar powiedzieć, bo przyłbica odskoczyła nagle, a pod nią rozkrwawił się szeroki uśmiech rozciętego gardła. To nieprawdopodobne, ile juchy wylewa się z człowieka przy takiej okazji.

Skud wytarł sztylet o zwłoki i popatrzył na mnie z wyraźną dezaprobatą.

- Poza tym spokojnie - oznajmił. - Nie trać mocy bez sensu. Będzie nam jeszcze potrzebna, nim nastanie świt. - Podszedł do obezwładnionego przeze mnie strażnika.

- Zostaw go - poprosiłem. - Nie obudzi się. Obiecuję.

Skud pokręcił głową, ale nie było czasu na dyskusję. Korzystając z obfitej ornamentyki, obaj błyskawicznie wleźliśmy na ogrodzenie cmentarza. W mieście gotyckiego kiczu warto wiedzieć co nieco o wspinałce.

Grobowiec rodziny Palewicz był ponurą i niezgrabną budowlą oddaloną od głównych cmentarnych alei. Sztuczne światło nie rozpraszało zalegającego tu od lat mroku. Ciała zakopywano wewnątrz kaplicy. Kamienne tablice na posadzce stanowiły jedyną pamiątkę po kolejnych oświeconych i wykształconych członkach rodziny. Ambicje każdego z nich sięgały pewnie daleko poza te mury. Teraz świętowali tutaj swój ostateczny zjazd rodzinny, a my wbijaliśmy się nieproszeni na imprezę. Światło latarki odbijało się w okiennych witrażach, lecz wierzyłem w talent Skuda - na cmentarzu nie został już pewnie żaden straż-

nik, który mógłby nam przeszkodzić. Nadszedł czas na najbardziej gówniany etap zlecenia. Co pół godziny zmienialiśmy się przy łopacie.

- Mam ją - oznajmił wreszcie najemnik, kiedy trzonek utkwiał w zbutwiałym drewnie.

Odetchnąłem głęboko. W kaplicy śmierdziało pleśnią, ziemią i rozkładającym się ludzkim ciałem. Tego jedyne go w swoim rodzaju smrodu nie da się pozbyć do końca. Jeśli był kiedyś w domu, w którym istnieje tradycja przechowywania zwłok do czasu pogrzebu, i komuś z domowników zdarzyło się tam umrzeć upalnym latem, nie daj Boże przed weekendem, to doskonale wiesz, o czym mówię. Niedzielna roladka z kluskami może stać się w takich warunkach nie lada wyzwaniem.

Wiek ustąpiło bez problemu. Najemnik wyważył zawiasy krystalicznym ostrzem, potem cofnął się przezornie i oświetlił wnętrze trumny.

- Jeśli pożyjesz dłużej niż ja, załatw mi kremację - powiedział, patrząc na Lidię. A raczej na to, co z niej zostało. Biorąc pod uwagę upływ czasu, i tak było tego sporo. Sporo nadgniętego mięsa puchnącego wokół szkieletu i odchodzącego od niego płatami. Najbardziej obrzydliwe wydało mi się to, że twarz, mimo wyżartych przez robaki oczodołów, była identyfikowalna. I w jakiś groteskowy sposób podobna do twarzy ładnej dwudziestolatki z oglądanego wczoraj zdjęcia.

- Do pracy, kowboju - z satysfakcją mruknął Skud.

Odganiając robactwo, powoli i delikatnie ułożyłem swoje ciało przy ciele siostrzenicy Juliana i powstrzymując odruch wymiotny, rozpocząłem inkantację.

Przez kilka minut, które trwały dla mnie tyle, co cztery ostatnie noce, szeptałem do jej przegniętego ucha rozkazy i prośby spisane przez arabskich magów więcej niż dwadzieścia wieków temu. Ale to nie wystarczyło, trup pozostał trupem. Delikatnie, żeby nie skruszyć kości, odciągnąłem żuchwę. W ustach pęczniał czarnofioletowy język. Zakłęcie ochronne przeciw infekcji trupim jadem nie jest trudne - wymaga tylko wzmocnienia pewnych naturalnych barier oddzielających świat żywych od ponurego miejsca, które zamieszkiwał duch Lidii. Kiedy kończyłem, wypowiadając ostatnie sylaby, pod sobą poczułem pierwsze dyskretne sygnały jej obecności. Ukrywała się. Chyba nie miała ochoty na rozmowę.

Chodź do mnie, do cholery. Chodź tu i miejmy to za sobą - wyszeptałem, a potem przyłgnałem do pozbawionych warg ust. Światło latarki zgasło nagle, bo stojący nad grobem Skud się porzygał. W absolutnych ciemnościach przeciągnąłem dłońmi po jej udach, czując pergaminową skórę marszczącą się i pękającą pod palcami. Twarz mnie piekła jak spryskana wrzątkiem, a żółć ściekała po brodzie razem ze śliną. Starałem się myśleć wyłącznie o magicznych formułach. Wmawiałem sobie, że to nie ja leżę w grobie z martwym od dawna ciałem kobiety. Że to nie ja robię to, co robię.

- Wystarczy - powiedział ktoś cicho.

Najpierw sądziłem, że głos dobiega z ust trupa, potem zrozumiałem, że raczej z zewnątrz, więc cały drżący i zóławiony jak amator dźwignąłem się na nogi. Skud zamarł w rogu pomieszczenia, czas stracił dla niego znaczenie. Kamienne mury wokół stały się dziwnie galaretowate i przejrzyste. Księżyc przeświecał przez krzyżowo-żebrowe sklepienie kaplicy. Jego blask obrysował sylwetkę

jasnowłosej dziewczyny siedzącej na przewróconej kamiennej płycie.

- Nareszcie - odetchnąłem i splunąłem od serca.

Już nie miała zaplecionych warkoczy. Długie włosy opadały jej na twarz i na białą, trumienną sukienkę. Zjawa była piękna jak na zdjęciu, kiedy tak stała nad swoim własnym grobem. Tylko wygryzione przez robaki oczy zaszyły bielmem. Obserwowałem wzdętego trupa wykopanego z ziemi i eteryczną postać nad grobem zafascynowany podobieństwem.

- Musisz się stąd wynieść - powiedziałem powoli i wyraźnie jak Skud, kiedy tłumaczy komuś, że nie chce żadnej bójk. Nie odpowiedziała, zbliżyła się tylko, a może to widmowa perspektywa tego miejsca zmieniła się dla mnie. W bladym świetle księżycy dostrzegłem jej uśmiech. Złożone w grobie ciało przybrało ten sam wyraz twarzy.

- Rozkazuję ci zostawić w spokoju rodzinę Palewiczów, swoją rodzinę, i wynieść się do piekła, z którego przyszedłeś. Bo jeśli nie... - błyskawicznie wy dobyłem z kieszeni święty kawałek drewna i ostrym końcem przyłożyłem go do trupiej szyi.

- Odejdź w imię Boga Przenajświętszego - krzyknąłem, mimo że słowa te w moich ustach zakrawały na bluźnierstwo, a przynajmniej brzmiały idiotycznie. - Tym dowodem męki Jezusa Chrystusa wyznaczam tu granicę, której nie przekroczysz, upiorze! - Mogłem sobie gadać zdrów, bo na widmie nie robiło to żadnego wrażenia. Dziwne. W sprawach zawodowych ufałem Tarkowskiemu. Jeśli widział w tym swój interes, załatwił mi autentyczną relikwię.

- Oto drzewo z krzyża Pana naszego Jezusa Chrystusa - powtórzyłem, chociaż takim był on dla mnie panem, jak pewnie i dla niej. - Jesteś zbłąkaną duszą, Boska wola jest dla ciebie prawem. Ustąp. Odejdź - wzmocniłem wszystko powtórzoną po raz nie wiem który magiczną formułą odpędzenia i wbiłem ostrą szczapę w ciało. Według wszelkich znanych mi zasad rządzących tym cyrkiem chaotyczna, zrodzona z resentymentu obecność musiała ustąpić przed namacalną manifestacją wiary i boskości. Gównu. Szła dalej w moją stronę jeszcze wyraźniejsza i bardziej uśmiechnięta. Spuchnięte łapy w trumnie pode mną zaciśnęły się na kawałku drewna. Użycie relikwii tylko dodało jej sił. Wreszcie, zbyt późno, zrozumiałem, o co tu naprawdę chodzi.

- Wola Boża - wyszeptła Lidia i nie wiem, czy słowa dobieły się z ust zjawy czy trupa w dole. Może obie powiedziały to równocześnie. - To wola waszego Boga sprowadziła mnie z powrotem.

Zakląłem szpetnie, wygrzebując się z jamy. Trzeba stąd spieprzać. Natychmiast. Szanse na dożycie do śniadania zrobiły się nagle znikomo małe. Ciężkie buty ugrzęzły w rozkopanej ziemi, kamienie, których próbowałem się przytrzymać, staczały się razem ze mną prosto do grobu. W końcu padłem na twarz. Przegniłe wargi rozciągnęły się jeszcze szerzej. Obie kobiety zaczęły mówić, głosy zlały się ze sobą. Być może przez cały czas była tylko jedna: ładna, młoda dziewczyna lub jej spuchnięty trup.

- Chodź, opowiem ci bajeczkę - powiedziała. - To będzie krótka bajka, moja bajka. Nie pożałujesz, na pewno wzruszy cię do głębi. W zamian za opowieść wyświadcysz mi przysługę. Zbliź się do mnie. Dowiesz się wszystkiego. Przecież po to właśnie przyszedłeś.

- Nienawidzę, jak mnie ktoś tak wyłącza - burczał Skud, gdy w świetle latarki staraliśmy się po własnych śladach wydostać z cmentarza. Według mnie powinien dziękować Bogu, że najważniejszy akt całej imprezy rozegrał się bez niego. Szliśmy ramię w ramię, bo nie było się już przed kim ukrywać. Uwalani ziemią, w przepoconych podkoszulkach i wytartych spodniach nie przypominaliśmy wcale maga i wojownika. Za to hieny cmentarne, jak najbardziej. - Udało się nam? - zapytał po chwili milczenia. - Załatwiłeś ją?

- Udało się - odpowiedziałem. - W życiu nie wpakuję się drugi raz w takie bagno, ale demon znajduje się teraz tam, gdzie jego miejsce. - Najemnik kiwnął głową. I on, i ja wykonaliśmy swoje zadanie.

- Powiedz mi jedno, Brighella, cała ta twoja magia zawsze musi się odbywać w taki ohydny sposób?

Skud widział mnie w akcji już kilka razy. Wcześniej jakoś udawało mu się powstrzymać od wymiotów.

- Widzisz, są różne rodzaje mocy i różne szkoły używania czarów. Nasi krzyżowcy to małe miki przy kabalistach, sufitach czy kapłanach vudun. Zasadniczo jednak magia pozostaje kontrolowaną manifestacją sił natury - wyjaśniłem mu. Jeśli ktoś, tak jak ja, jest tylko biednym samoukiem bez zakonnego szkolenia i wsparcia, najłatwiej mu rozbudzić moc, prowokując te obszary, które w naszym życiu pozostały jeszcze naturalne. Seks...

- ...ból i śmierć - dopowiedział Skud z uśmiechem.

- Takie różne sprawy. Kobiety mają łatwiej. Rozwinięta sfera uczuć macierzyńskich, wiadomo. Ale tego rodzaju magia jest oczywiście w tym kraju surowo zakazana.

- Podobnie jak nekromancja.

- Właśnie. Żyjemy w dziwnych czasach.

Po przejściu przez ogrodzenie wpadłem na strażnika z poderżniętym gardłem. Na szczęście pocziwina leżał tak, jakeśmy go zostawili. Skud przejrzał się w wizjerze jego hełmu.

- Wiesz, Brighella, właśnie przyszło mi do głowy, że i ty, i ja wykonujemy najbardziej gówniane zawody na świecie.

- No. Chociaż jak się nad tym głębiej zastanowić, mogliśmy trafić jeszcze gorzej. Widziałeś tych wszystkich japiszonów wychodzących z roboty o siódmej wieczorem w cuchnących potem garniturach?

- Albo przedstawicieli handlowych. Ci też mają prze-rabane.

- A księża? Nie oszuści, tylko tacy prawdziwi. Celibat, trudna sprawa...

Gadaliśmy o niczym, żeby nie myśleć zbyt wiele, a mury cmentarza roztopiały się w ciemnościach. Wokół wyrosły pierwsze kamienice i poczuliśmy się bezpiecznie. Jak szczury w systemie kanalizacji. Nikt nie znajdzie nas w Mgławie, jeśli sami nie będziemy chcieli być znalezieni.

- Co teraz? - zapytał Skud. Adrenalinowy kop właśnie zaczynał mu schodzić. Zawsze wtedy robił się nieco gadatliwy. - Misja wykonana. Wracam do Anny?

- Obawiam się, przyjacielu, że prawdziwy dym może się zacząć dopiero teraz. Tarkowski ma nam przynieść kasę dziś w nocy na stację przy Wytrwałych.

- Sądzisz, że będzie chciał nas wystawić?

- Nie o niego się martwię - mruknąłem. Powidok cmentarnych wydarzeń trwał po wewnętrznej stronie moich powiek jak projekcja uszkodzonej taśmy na kinowym ekranie.

- Znaczy, że możemy mieć problem ze zleceniodawcą?

Zleceniodawca. Powszechnie szanowany i ceniony pan Julian Palewicz. Arbiter moralności, ojciec rodziny, bohater grobowych historyjek. Uśmiechnąłem się kwaśno i nie musiałem już odpowiadać.

Stacja metra przy Wytrwałych. Jeszcze jedna prestiżowa inwestycja władz miasta, która rozkładała się teraz opuszczona i niepotrzebna. Z głównego hallu skradziono już wszystko, co dało się sprzedać na złom, spalić albo zeżreć. Pozostała tylko tablica ogłoszeń informująca o odjeździe pociągu-widma sprzed dziesięciu lat. Daleko stąd lśniły gigantyczne biurowce biznesowego centrum metropolii. Widziałem je przez powybijane okna. Kawałki szkła i połamanych płyt chodnikowych zagracały teren, papiery szeleściły pod podszewkami jak zeschnięte liście. Znow wszystko będzie się działo w półmroku. Koszulka przylgnęła mi do pleców, bo mimo późnej nocy powietrze było gorące i nieruchome. Prawdziwie upalny początek jesieni. Tarkowski czekał na nas przy wyjściu na perony, paląc papierosa. Jasny garnitur, w którym widziałem go ostatnio, wydawał się cokolwiek nieświeży. Na ten widok natychmiast zacząłem kalkulować możliwe trasy ucieczki. Jeśli ten stary, cwany donosiciel tak wyglądał, to musiał być zdenerwowany. A jeśli się denerwował, to znaczy, że istniały ku temu naprawdę poważne powody. Były też dobre wieści: przyniósł ze sobą aktówkę.

- Jak poszło?

- Odesłałem tę małą do piekła, ale Skudowi zadrzała ręka i "nie obyło się bez kilku trupów. Dowiesz się jutro z wiadomości. Tymczasem musimy zniknąć na trochę. Wolałbym, żeby, w miarę możliwości, nikt za nami nie węszył. Rozegramy to do końca jak dżentelmeni - powiedziałem, ale nawet siebie samego nie udało mi się przekonać.

- Forsa jest w środku - obwieścił niepotrzebnie Tarkowski, podając mi walizeczkę. Trochę się wyluzowałam.

- Nie wiem, po jaką cholere wybrałeś ten dworzec - zauważyłem licząc kasę w neseserze. - Nie prościej było przekazać zapłatę w kinie albo na przystanku? Nikt by nie zauważył i obyłoby się bez nerwów.

- Nie ja wybierałem miejsce. Pal... zleceniodawca nalegał na anonimowość.

- Słucham?

- Miejsce przekazania pieniędzy było ustalone z góry - powtórzył niepewnym głosem szpicel.

- Tarkowski, ty debilu - mruknął Skud, a potem obaj jak na komendę rzuciliśmy się biegiem w stronę wyjścia z dworca. Jak łatwo się domyślić, było już na to za późno.

Panowie w czarnych garniturach wmaszerowali na teren terminalu i zaraz przy drzwiach ustawili się do siebie plecami, sięgając po ukrytą pod marynarkami broń. Obaj zupełnie anonimowi i niecharakterystyczni, na co dzień doskonale wtopieni w korporacyjną masę. Tyle zobaczyłem kątem oka, zwiewając w stronę przejścia na perony

ze Skudem po jednej, a Tarkowskim po drugiej stronie. Nie strzelali. Odprowadzali nas tylko wzrokiem zza lustrzanych szkielek okularów. Zupełnie jakby...

Zatrzymałem się nagle. Skud, którego myśli biegły pewnie podobnym torem, uskoczył daleko w bok. Drobnymi cię poruszył się przy udekorowanej połówkami reklamami ścianie, a w powietrzu coś zaświszczało. Nie miałem szansy wyłapać szczegółów tego ruchu, bo wszystko stało się zbyt szybko. Pamiętam tylko naszego dziennikarza próbującego podtrzymać rozłazące się poły garnituru i rozcięte płaty własnego mięsa. Jasną krew zalewającą luksusowy materiał i twarz zmienioną w woskową maskę, kiedy osuwał się na kolana, zdając sobie sprawę z przebiegu ostatnich trzech sekund. Może miał wtedy czas pomyśleć o tym, że zamordowano go w bardzo nieodpowiednim momencie, bo jeszcze nie dorobił się przyjaciół, którzy przysliby na pogrzeb. Kiedy już klęczał, jego zabójca powtórnie użył broni i nadal zdziwiony łeb Tarkowskiego potoczył się po bruku. Cześć, stary. Teraz bieglimy jeszcze szybciej, wiedząc już, przed czym uciekamy. Odwróciłem się na ułamek sekundy i wtedy ją zobaczyłem. Czarna dziewczyna ubrana w bojówki i wojskowy podkoszulek, której udało się wtopić w otaczający nas półmrok. Miała ciekawą twarz z migdałowymi oczyma, wydatnymi kośćmi policzkowymi i dużymi ustami, a głowę goliła do skóry. Gdyby nie jeden detal, wyglądałaby niegroźnie, ale każdy jest straszny z zakrwawioną maczetą w dłoni.

Może wszystkie szczegóły wrosły w moje wyobrazenie tamtej nocy dopiero później? Dodałem je sobie, oglądając zdjęcia Izis i zasięgając języka u dobrze poinformowanego gliniarza, który opowiedział o jej afrykańskich korzeniach i początkach kariery? Pamiętaj, że gangsterom z Czarnego Łądu nie da się zaimponować byle czym, szczególnie jeśli jest się kobietą. Izis zyskała ich szacunek i nawet nie starała się ukrywać rytualnych tatuaży na ramionach. Wykonywano je, kiedy krew pierwszej ofiary wsiąkała w spaloną słońcem ziemię. Głowa biednego szpicla została obcięta lekko zakrzywionym, grubym ostrzem. Pierwszy raz widziałem wtedy, jak posługuje się maczetą, i zrozumiałem, dlaczego nie musi nosić spluwy.

Mój ochroniarz nie wykazywał najmniejszej ochoty na pojedynek z tą laską. Biegł, nie oglądając się za siebie, aż trafiliśmy na rozległy peron. Światło oblepionych żeliwną pajęczyną lamp padało na ściany - wyglądały jak pokryte moczem. Stare plakaty reklamowe odłaziły warstwami. W ustach znowu poczułem smak żółci, bo widok przypominał rozstępujące się pod palcami ciało Lidii. W tej wielkiej sali byliśmy jak na strzelnicy. Każdy metr kwadratowy dawał przewagę łowcom. Wtedy dopiero Skud zebrał się w sobie i zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni. Przyciąłem się w smudze cienia, szepcząc jedyną inkantację, jaka teraz przychodziła mi do głowy. Echo poniosło stukot kroków, błysnął otwarty nóż i najemnik skoczył w półmrok, wpadając na uzbrojonego faceta w garniturze. W tak bliskim starciu świadomość posiadania pistoletu może ci tylko przeszkodzić. Zamiast trzymać gardę albo zwiększyć dystans, wyciągasz bezradnie rękę w nadziei, że przeciwnik będzie na tyle miły i sam wejdzie w tor lotu pocisku. Tym razem tak się nie stało. Skud wykonał zamaszty krok w lewo, a ręka z nożem zakreśliła łuk na wysokości gardła napastnika. Kiedy osuwał się na kolana, mój przyjaciel kopnął go z rozmachem

czubkiem ciężkiego buta prosto w twarz. Przypomniałem sobie naszą rozmowę. Rzeczywiście paskudna robota. Drugi strzelec starał się wydłużyć dystans dzielący go od psychopaty z nożem, więc wszedł prosto w półmrok, gdzie próbowałem się schować. Uderzyłem splecionymi dłońmi w potylicę. Zachwiał się, a strzał zrykoszutował o ścianę ponad Skudem, który natychmiast skoczył w jego stronę. Facet machnął jeszcze na odlew, potem kawałek stali w płucach zakończył jego opowieść. Dwa do zera dla drużyny z centrum. Gdy wszystko ucichło, usłyszeliśmy, jak echo z głębi sali niesie odgłos kroków. Wolnego, ważonego marszu w zalegających wokół ścian ciemnościach. Uzbrojeni figuranci mieli więc tylko odwrócić naszą uwagę, kiedy wchodziła do pomieszczenia. Przed minutą mogła nam spokojnie i precyzyjnie porzłupywać czaszki, ale tego nie zrobiła. Nigdy nie zrozumie kobiet.

Opierając się o betonową ścianę, starałem się sklecić jakieś proste zakłęcie. Skud sięgnął po porzuconą broń strażnika i po swojemu, z pistoletem w jednej i zakrwawionym nożem w drugiej ręce, ruszył przed siebie. Noc ciągnęła się już dla nas zbyt długo i chciał ją zakończyć. W taki czy inny sposób. Izis wychynęła z ciemności kilka metrów dalej, cicho jak duch w japońskim teatrze. Broń huknęła ogłuszająco trzy razy w zamkniętej przestrzeni stacji. Żaden pocisk nie sięgnął celu.

Dziewczyna spięła się do skoku. Urodziła się w Ruandzie, w świecie spełnionej apokalipsy białego Boga. Przez jakie piekło musiała przejść, zanim trafiła tutaj? Ilu ludzi celowo lub przypadkiem weszło jej w drogę? Nawet ja czasem zastanawiam się nad takimi sprawami. Nie zauważyłem, kiedy zaatakowała. Ostrze nie rozblysnęło światłem, nie rozległ się żaden świst rozcinanego powietrza. Tylko broń, która wypadła Skudowi z ranionej ręki, gruchnęła o podłogę, a on krzyknął z bólu. Uderzyłem z całą mocą, na jaką było mnie stać. Izis zachwiała się pod wpływem kinetycznej fali, upuszczając maczetę. Najemnik wykorzystał moment i rzucił nożem. Wtedy afrykańska dziewczyna zrobiła coś, po czym powinniśmy właściwie złożyć broń i pozwolić się dorżnąć, żeby zaoszczędzić jej oraz sobie fatygi: wykonała krótki gest prawą dłonią i odbite ostrze poszybowało w mrok. Potem przytknęła dłoń do ust, uśmiechając się w zamyśleniu. Na wargach zostały krwawe ślady. Unosząc ręce w wysokiej gardzie, ruszyła na Skuda. Muszę przyznać, że robił, co mógł, ale była od niego dwa razy szybsza i bardziej precyzyjna. Kiedy uderzał wysoko, złamała mu kolano. Gdy próbował wejść w nogi i stoczyć się do parteru, łokciem trafiła go w szczękę. Nie śpieszyła się zbyt, co jakiś czas sprawdzając, czy patrzę. Przedstawienie trwało, dopóki nie znalazłem porzuconego kawałka żelaza.

- Zabij ją - wyjąkał Skud przez powybijane zęby. Zbierał się z ziemi i był wściekły jak nigdy. Ale też nigdy dotąd nie widziałem, żeby ktoś tak się po nim przespacerował. - Zabij kurwę. Nie myśl tyle, bo ona by się nie wahała.

- Przestań bełkotać, stary. Daj mi się skoncentrować.

Izis stała przede mną wyprostowana i pogardliwie uśmiechnięta. Albo się nie bała, albo nie było tego po niej widać. Być może takie podejście przywiozła ze sobą

z Czarnego Łądu. Może nauczyła się tego od mieszkańców swojego skolonizowanego świata. Celowałem w jej głowę, dokładnie między migdałowe oczy. Ręką kuli nie odbije.

- Strzelaj, człowieku - odezwała się cicho - strzelaj, bo jak nie, to zawsze już będziesz musiał oglądać się przez ramię. Znajdę was wszędzie.

- Słyszysz? - wtrącił się Skud. Na jego rozbitych wargach gromadziły się krwawe bańki. Potrzebował pomocy.

Wierzysz w miłość? Jesteś jednym z tych ludzi, którzy po nocach oglądają stare zdjęcia, zastanawiając się, co by było, gdyby kiedyś życie ułożyło się inaczej? Ja nie. Przeszło mi, gdy skończyłem dwadzieścia lat. Przed trzydziestką zrozumiałem, że nawet przyjaźń ma swoje - wyznaczone bezpieczeństwem, ambicją lub stanem konta - limity. Dlatego czasem brakuje mi w życiu poczucia ciągłości związanej z istnieniem w umyśle drugiego człowieka. To jedyne lekarstwo na samotność. Poza tym nie jesteś całkiem martwy, jeśli ktoś o tobie pamięta. A skoro miłość i przyjaźń się nie sprawdziły, trzeba szukać gdzie indziej.

Wszystkie te refleksje przemknęły galopadą podczas kilku sekund, gdy trzymałem dziewczynę na muszce. Patrzyła mi prosto w oczy, czekając na egzekucję. Pewnie do końca życia zapamięta tę chwilę. Opuściłem broń.

- Maczeta zostaje ze mną. A ty wynoś się stąd, zanim zmienię zdanie.

Odeszła spokojnie i powoli, nie oglądając się. Będzie mnie pamiętała. Protesty i wymówki Skuda słabły proporcjonalnie do ilości wylewającej się z niego krwi. Próbowałem wyprowadzić go ze starego dworca, zanim jakiś zaalarmowany strażami kapuś zawiadomi milicjantów.

- Bracie, właśnie zyskałeś potężnego wroga. Kiedyś tego pożałujesz - powiedział kuśtykając w stronę wyjścia. Zgadzałem się z nim w stu procentach.

zasady gry

Twarze świętych na rozświetlonych jesiennym blaskiem witrażach były obojętne. Jerzy zaciskał pięści na mieczu, którego ostrze tępiało w oczach kolejnych pokoleń modlących się w tej świątyni. Obuta w sandał stopa przyciskała do ziemi niedużego, oślizgłego gada. Wcale nie wyglądał jak smok, ale towarzyszył świętemu w tej niewygodnej pozycji już setki lat. Inni skazani byli na samotność. Chuda twarz człowieka przybitego do złączonych belek zastygła wieki temu w wyrazie bezbrzeżnego rozczarowania. To samo pytanie rozbrzmiewało kiedyś w upalnym powietrzu na szczycie góry i teraz w budynku z grubego kamienia. *Eli lama sabachthan*P. Ciekawe, czy po trzech dniach, kiedy wypełniła się obietnica i wychodził z jaskini z nabytą na Golgocie wiedzą na temat ludzkiej natury oraz charakteru swego własnego ojca, wyraz jego twarzy się zmienił?

Stapałem cicho po kamiennej posadzce, brodząc w blasku słońca polaryzowanego przez szyby witraży. Usiadłem za nim, lecz pograżony w modlitwie nawet mnie nie usłyszał. Dopiero przystawiona do żeber lufa zwróciła jego uwagę.

Nie mogłem się doczekać spotkania z panem - powiedziałem uprzejmie.

Jego pobrużdżona twarz jeszcze kilka lat temu wyrażała słuszość i pewność siebie. Nie wiem, co spodziewałem się wyczytać w niebieskich oczach. Oczekując strachu, poczułbym się rozczarowany.

- Zatrzymaliście aktówkę, więc dostałeś swoją dolę, Brighella. Czego jeszcze chcesz?

- Lidia wróci - oznajmiłem prosto z mostu. - Obiecałem, że wpadnę, żeby ci to przekazać.

Zadziałało. Błada twarz mojego rozmówcy poszarzała w jednej chwili.

- Oszukałeś mnie - wyszeptał sinymi wargami. - Nie daruję ci tego, skurwysynu.

- Siedź spokojnie - wepchnąłem mu lufę głębiej w ciało. - Jesteśmy w domu Bożym. Jako katolik winienes okazać szacunek, nawet jeśli chwilowo Go tu nie ma. A twoimi groźbami się nie przejmuję. Wymiękłbyś, gdybym ci opowiedział, kto jeszcze chce mnie zabić. Okantowałem cię, ty wystawiłeś mnie - uczciwy interes. Ja przynajmniej próbowałem zrobić swoje.

- Jesteś nekromantą, miałeś pozbyć się ducha...

- Widzisz, niezupełnie. Znasz się na mitologii? Istnieją historie starsze od Krzyża, powtarzane przez mieszkańców różnych kontynentów i różne narody zupełnie niezależnie od siebie. Niektóre opowiadają o duszy powracającej z martwych, by dokonać zemsty. Mściciel wraca pod postacią kruka, małej dziewczynki, rycerza w czarnej zbroi, kota... wersje różnią się w detalach. Ważne, że nie trzeba do tego żadnej magii. Niepomszczona dusza powraca dlatego, że emocje ofiary są zbyt silne, by umrzeć wraz z ciałem. A może dzieje się tak z woli Boga. Kto to wie? W każdym razie czary nie mają z tym nic wspólnego i żaden kapłan ani nekromanta nic na to nie poradzi, dopóki...

- Dopóki... - powtórzył jak echo Palewicz.

- Życie za życie. Dopóki sprawiedliwości nie stanie się zadość.

Nie mówił. Nie starał się wyjść. Nie chciał nigdzie zadzwonić. Siedział wpatrując się tępo w klęcznik. Właśnie zaczynał rozumieć, kto tak naprawdę jest winien cierpienia jego dziecka.

- Chcesz powiedzieć, że tak będzie aż do mojej śmierci?

- Twojej albo twojej córki. Głowa za głowę. Tak jest w każdej mitycznej opowieści: bilans musi wyjść na zero. I jakoś mi cię nie żal, człowieku. Wiem, co zrobiłeś. Widziałem to jej oczami.

- Dobrze więc... - Julian opuścił głowę. Ostatnie wydarzenia zeżarły go od wewnątrz. Sam do końca nie wierzył, że jest zdolny do przemocy, dopóki sprawa z kuzynką pozostawała pilnie strzeżoną tajemnicą rezydencji nad jeziorem. Noce w pokoju Lidii, jej krzyki, były dla niego jak mokry sen. Nie miały wpływu na dzienną rzeczywistość. W żaden sposób nie mogły jej zarazić. Aż do dnia, kiedy dziewczyna odebrała sobie życie, a bariera oddzielająca noc od dnia pękła nagle i przedostały się przez nią upiory. Teraz był załamany, zniszczony. Wydawało się, że niczego więcej nie można mu już odebrać. - Zabiję się - powiedział z przekonaniem.

- To na nic. To ma być zemsta, a nie ucieczka. Ale nie spodziewałbym się jej zbyt szybko.

Spojrzał na mnie pytająco i wtedy ujawniłem mu ostatnią niespodziankę, jaką zza grobu przygotowała dla niego kuzynka.

- Ona nie zabije ani cię, ani twojej córki, bo musiałaby potem powrócić tam, skąd przyszła. A jej podoba się tak, jak jest. Podoba się jej to, kim się stała. Wolna i samodzielna, po raz pierwszy. Nie śpieszy się z wykonaniem wyroku. Będzie dręczyć cię i twoich potomków przez stulecia, tak długo, aż znudzi jej się własne istnienie. A instynkt samozachowawczy w waszej rodzinie, o ile się nie mylę, rozwinięty jest całkiem nieźle, prawda? Ty podarowałaś jej tę moc, Julianie. To twój własny demon.

Siwy mężczyzna ukrył twarz w dłoniach. Powróciło do niego wspomnienie krzywdzonego dziecka. Czy była to jego ukochana córeczka rozdierana od wewnątrz przez koszmary, czy może kilkunastoletnia kuzynka Lidia, której on robił to samo? Nie wiem. Już mnie to nie obchodzi.

Przeszedłem nawą główną w stronę wyjścia. Na zewnątrz zachodziło słońce. Rdzawe błyski prześlizgnęły się po wykuszach świątyni. Stary człowiek właśnie zniknął z mojego życia, a gdzieś tam, na ulicach i w zaułkach Mgławy, czekała na mnie z maczetą Izis. Każdy ma takiego demona, na jakiego sobie zasłużył.

Paweł Ciećwierz

Zapraszamy na
OUTPOST
Serwis sztuki i kultury postapokaliptycznej

Dołącz do nas aby dowiedzieć się
jak przetrwać na pustkowiach!



<http://POSTAPOCALYPTIC.NET>

MAREK HEMERLING

PERPETUUM MOBILE

Lubię dobrą robotę. Zawsze kiedy zabierałem się do czegoś, miałem ambicję, aby było to wykonane solidnie i porządnie. Dlatego nie mogłem powstrzymać kilku zgryźliwych uwag na widok bezładnego rumowiska, które piętrzyło się po drugiej stronie Hudson River. Zburzone domy i stopy śmieci fruujących w powietrzu przy lada podmuchu wiatru. Partactwo i tyle. Zresztą, cały kraj wyglądał podobnie. Wszędzie bajzel i szczury. Duże, tłuste i takie głupie, że można je było tłuc kijem. Mięso smakowało wybornie, jedyne zastrzeżenie miałem co do zapachu, ale w końcu to drobiazg, jeśli wziąć pod uwagę, że wszystkie napotkane po drodze bary były zamknięte.

Przez most Waszyngtona przedostałem się na zachodnie nabrzeże Manhattanu. Stalowe przęsła były podziurawione i pogieęte, ale dziwnym trafem spełniały ciągle swoją funkcję. Obok, wyrzucony do połowy długości na piasek plaży, leżał przekreślony do góry dnem mały okręt podwodny, demonstrujący całemu światu rozprute poszycie. No cóż, bywa. Wypadki, jak widać, nie tylko po ludziach chodzą. Zresztą, co mnie to...

Spróbowałem iść prostopadle do brzegu, ale ostrzegawczy terkot Geigera zawrócił mnie już po stu metrach. Na samą myśl, że będę musiał nadłożyć taki kawał drogi, poczułem uporczywe ssanie w żołądku. Nie było rady. Rozbiłem obóz w cieniu przerdzewiałej ciężarówki, płosząc przy okazji rudego kundla, który obrał sobie za schronienie wnętrze szoferki. Pies był mały i wychudzony; widać nie wiodło mu się ostatnio tak dobrze jak mnie. Gwizdałem, ale nawet nie zwolnił. Zniknął gdzieś w gęstwinie powyginanych prętów, rezygnując z solidnego posiłku, który byłem skłonny mu zaoferować. Jego sprawa.

Zjadłem porcję szczurzego mięsa, popijając od czasu do czasu piwem z puszkii. Cholernie lubię piwo i kiedy natknąłem się w pobliżu New Jersey na pełny magazyn, napchałem do worka, ile wlazło. Miałem nawet koncepcję, żeby osiąść tam na dłużej, ale po dwóch dniach wiatr przydmuchał z południa to radioaktywne świństwo i dałem w długą, zadowolając się żelazną rezerwą niesioną na plecach. Jak trza, to trza.

Wyrzuciłem pustą puszkę na kupę walających się okołoła śmieci i zajrzałem do worka. Zostały tylko cztery. Mizernie, tym bardziej że w zasięgu wzroku nie widziałem żadnego czynnego punktu usługowego. Gdzieniedzie tylko z wszechobecnych hańd gruzu strzelały w górę poskręcane szkielety drapaczy chmur, tworząc na tle nieba groteskową kreskówkę, jakby żywcem przeniesioną z dziecięcych malowideł. Nad zrujnowanym pępkiem świata unosiła się martwa cisza, którą niekiedy rozpraszał odległy szum fal uderzających w południowy kraniec wyspy.

Zarzuciłem worek na plecy i ruszyłem Promenadą - a raczej czymś, co kiedyś nosiło tę zaszczytną nazwę - w dół rzeki. Na szczęście Geiger nie odzywał się, więc nic mi chwilowo nie groziło. Minąłem zalane wodą tunele komunikacyjne, łączące ongiś oba brzegi oleistego ścieku. Śmierdziało przy nich obrzydliwie, a na powierzchnię wy-

skakiwały od czasu do czasu bąbelki cuchnącego gazu. Przyspieszyłem kroku. Nie był to jednak najlepszy pomysł, bo podeszwa prawego buta zaprotestowała gwałtownie, zawijając się do tyłu przy każdym kolejnym stąpieniu. Musiałem usiąść i przywiązać ją mocno sznurkiem. Przy okazji zmieniłem wkładkę zrobioną z kilku stron wyświechtanego „Timesa” na nową - tym razem pochodzącą z „Playboya”. Przedtem dokładnie przejrzałem cały numer, uświadamiając sobie, że zawiera on to, czego najbardziej brakowało mi w ciągu ostatnich trzech lat.

- By to szlag... - Wiązka pobożnych życzeń została skierowana do tych, którzy w swej gorliwości pozbawili świat najwspanialszego wynalazku, jakim były niewątpliwie domy publiczne. Rozprawivszy się w ten sposób z wrogami ludzkości powędrowałem w stronę Bartery Park.

Statua Wolności górowała nad nowojorskim portem jak za dawnych dobrych czasów, tyle tylko, że trzymająca pochodnię ręka była utracona w okolicy łokcia. Przyglądaliśmy się sobie przez kilka minut. Najwyraźniej nie miała ochoty na konwersację.

Zszedłem na plażę, gdzie z prawdziwą przyjemnością pozbyłem się niewygodnych butów i z ulgą zanurzyłem stopy w chłodnej wodzie. Sądząc po słońcu było gdzieś koło drugiej. Jeśli nie trafię na jakiś radioaktywny szmelc, to przed zachodem powinienem dotrzeć do mostu Brooklyńskiego, a potem dalej - na Long Island. Chyba że nie zastanę mostu na starym miejscu. Partacze bo partacze, ale momentami potrafiли się przyłożyć. Taki Nowy Orlean na przykład. Piękna robota. Okraglutki lej o średnicy około dwudziestu mil. Żadnych śmieci czy odpadków produkcyjnych - aż miło było popatrzeć. Fakt, że z daleka, ale zawsze.

Zastanawiałem się, gdzie powędruję po zwiedzeniu Long Island. Może do Kanady, a może z powrotem w Góry Skaliste, tylko tym razem przez północne stany. Okropnie zasmakowałem w podróży. Przedtem było z nimi za dużo kłopotów - wszędzie jakieś granice, policjanci, no i każdy fagas wyciągał z człowieka pieniądze. Kup pan to, kup pan tamto... Skaranie boskie z tymi złodziejami. Teraz przynajmniej jest spokój: masz ochotę - idziesz przed siebie, nie - siadasz i myślisz o niebieskich migdałach, aż ci się odciski na mózgu robią. To rozumiem, to mi pasuje. Żeby tak jeszcze spotkać jakąś babę...

Zasiedziałem się na tej plaży, vis-a-vis największej kobiety świata. Pomarzyć dobra rzecz - z tym, że nie na pewno. Przewiesiłem worek przez ramię, buty przywiązałem do pasa i naprzód. Piasek miękki, przyjemny, tylko tu i ówdzie walały się kawałki najprzeróżniejszego złomu, nadtopione i przeżarte korozją.

Normalka.

Po kilku godzinach marszu, kiedy plaża skręciła łagodnym łukiem na północ, natknąłem się na pierwszy od trzech lat ślad ludzkiej stopy. Zamurowało mnie i chyba przez kwadrans ślepiłem na tego dziwoląga, mrugając oczami. Na wszelki wypadek otworzyłem następną puszk-

kę piwa i wychyliłem duszkiem. Ślad wciąż był widoczny jak na dłoni. Klasyczny plattfus, i to w dodatku lewy!

- No proszę - wymamrotałem drapiąc się w głowę. - Takie buty.

Nie było żadnych butów, tylko ten cholerny plattfus, odcisnięty wyraźnie na piasku. Ostrożnie zlustrowałem otoczenie. Nikogo. Ruszyłem powoli w stronę wydmy, zgodnie z kierunkiem, jaki wskazywał napotkany ślad. Po drodze znalazłem jeszcze trzy czy cztery dalsze. Niemal biegnąc pokonałem betonowy wał, w którym KTOŚ(!) wyrąbał dla wygody regularne stopnie. Zdyszany wylałem na górę i oto stałem na niewielkim placu naprzeciwko pozbawionego gąsienic czołgu. Na lufie, której wylot skierowany był w moją pierś, wisiał najprawdziwszy hamak, kołysząc się nieznacznie przy silniejszych podmuchach wiatru. Obok czołgu zbudowano z kilku kamieni palenisko nakryte teraz osmaloną płytą. Olbrzymi skórzany fotel stojący na wprost wygaszonego ogniska był pusty.

Podszedłem bliżej, zastanawiając się, dlaczego u diabła tak drżą mi kolana. Kamienie pod płytą były ciepłe, klapnąłem więc w fotelu, postanawiając zaczekać na właściciela tego domostwa.

Właśnie przygotowywałem sobie natchnioną mowę powitalną, kiedy w płytkim dołku obok paleniska zauważyłem pogięty rondel i imponujących rozmiarów patelnię. Uniosłem na moment pokrywkę. Aromatyczny zapach połechtął mi nozdrza. Rozejrzałem się na wszystkie strony i błyskawicznym ruchem wydobyłem z mojego worka drewnianą łychę. Zupka była całkiem, całkiem.... Chyba rybna, ale za to świetnie doprawiona. Spróbowałem jeszcze raz...

-Ty śmierdziu!!!

Potężny ryk sprawił, że zerwałem się na równe nogi. Z pobliskich gruzów wyskoczył barczysty jegomość ubrany w połatany worek i wymachując kawałkiem metalowej rury, pędził w moją stronę.

- Parszywcu! Już ja ci pokażę!!

Był wyraźnie rozdrażniony Na próżno usiłowałem mu tłumaczyć, że jest pierwszym człowiekiem, którego widzę po trzech latach samotnej włóczędzy, że chciałbym usiąść z nim przy ognisku i pogadać o tych wszystkich sprawach...

Nie miałem wyboru. Osłaniając się jego patelnią i własnym workiem uciekłem z powrotem na plażę. Gonił za mną jeszcze wzdłuż brzegu, dopóki nie rzuciłem mu tej patelni pod nogi. Wtedy dał spokój i tylko z daleka wygrażał pięściami, wyzywając mnie od ostatnich.

Kawałek dalej usiadłem na resztkach falochronu. Chciało mi się pić, więc sięgnąłem do worka, ale nie znalazłem w nim ani jednej całej puszki! Połamane i pogięte skorupy, nad którymi mogłem się tylko oblizać!

Krew mnie zalała.

Cisnąłem mokry od piwa worek na piasek i podniosłem pierwszy poręczny kawał metalu, jaki wpadł mi w ręce. Był lekki, solidny i dobrze leżał w dłoni.

- Czekaj, cwaniaczku - warknąłem złowieszczo, zarzucając broń na ramię. - Już ja cię nauczę rozumu...

Marek Hemerling



STANISŁAW TRUCHAN

CO WY WIECIE O JEDNOROŻCACH?

Dziewczyna wyglądała na szesnaście, najwyżej siedemnaście lat. Siedziała na pniu starego buka, wyrwanego z korzeniami przez niedawną burzę. Jej orzechowe oczy śledziły lot ważki nad odległą o kilkanaście kroków kałużą. Owad zatrzymał się w locie nad wypełnionym deszczówką zagłębieniem, potem zatoczył kilka nieregularnych kręgów nad śladami adidasów o zdartych podeszwach, po czym bez pośpiechu oddalił się w kierunku rozlewiska, które powstało w dolinie strumyka po osunięciu się stoku wzgórze. Dziewczyna straciła ważkę z oczu; obiektem jej zainteresowania stał się teraz ostatni kwitnący zawilec, ukryty w głębokim cieniu i chyba dlatego zaskoczony nadejściem maja. O parę metrów dalej zakwitały pierwsze konwalie - a ten marcowo-kwietniowy spóźnialski zdawał się nie przejmować datą w kalendarzu...

Trzask łamiącego się patyka i chrzęst gałęzi w rosnącym za plecami dziewczyny jodłowym młodniku sprawił, że rozmarzona nastolatka zerwała się na równe nogi. Obejrzała się - i zastygła bez ruchu, w niemym podziwiewie zapatrzona w śnieżnobiałą plamę na tle ciemnej zieleni. Tego się nie spodziewała; nigdy nie przypuszczała, że zobaczy go kiedykolwiek na własne oczy. One przecież kryły się w najgłębszych leśnych ostępach, nie pokazywały ludziom - a te, które schwytano, były zabawką milionerów, ozdobą prywatnych ogrodów zoologicznych, do jakich zwykły śmiertelnik nie miał wstępu. A jednak spotkała go. Tu, na południowym stoku Chełma, w lesie odległym zaledwie o kilometr od wsi Podchełmie, i cztery od dziesięciotysięcznego Grybowa. Niewiarygodne... ale prawdziwe.

Jednorożec był wspaniałym zwierzęciem. W rzeczywistości jeszcze piękniejszym niż na zdjęciach. Lśniące śnieżnobiałej sierści mógłby mu pozazdrościć najwspanialszy arab ze stadniny w Janowie Podlaskim. Róg mienił się wszystkimi barwami tęczy - to od fioleto do zieleń, to znów od turkus do czerwień, zależnie od kąta padania promieni słonecznych; zwierzę łagodnie pochylało głowę, by po chwili unieść ją wysoko w górę albo przekrzywić w prawo lub w lewo, jakby w geście zdziwienia. I tak patrzyli na siebie przez kilka minut, po czym „największy zoologiczny fenomen XXI wieku” ruszył naprzód.

Dziewczyna nie wierzyła w opowieści - te średniowieczne i te zupełnie świeżej daty - o szczególnej predylekcji jednorożców do spotkań ze szczególną kategorią ludzi, a mówiąc ściśle, ze szczególną kategorią kobiet. Mimo to ani lekko zakrzywiony róg, ani kopyta nie budziły w niej lęku. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że to wspaniałe zwierzę mogłoby ją pobóść albo stratować. Stała spokojnie, czekając, aż jednorożec się zbliży.

Podszedł. Bardzo blisko. Jak rozpieszczony kot albo pies. I zaczął się łąsić - właśnie jak kot. Ocierał się pyskiem - czy w ogóle takie zwierzę ma pysk? toż to niemal bluźnierstwo! - na przemian to o jej lewe ramię, to znów o prawe. Jego oczy były zielone. Jak dwa szmaragdy. W tęczęwce oka można było się przejrzeć.

Parę minut później było tak jak w średniowiecznych legendach. Ona znów siedziała na powalonym przez burzę starym buku, a on trzymał głowę na jej kolanach. „Więc to jednak prawda!” - myślała gładząc jego miękką grzywę i ostrożnie dotykając palcem drugiej ręki tęczęwego rogu. - „To jednak prawda.”

Dźwięk, który zakłócił idyllę, brzmiał jak uderzenie bata. Albo jak strzał z pistoletu z tłumikiem w amerykańskim filmie. Jednorożec poderwał się i uniósł wysoko głowę. Do jego karku przywarł, niemal pod kątem prostym, niewielki przedmiot podobny do karabinowej łuski z kolekcji staroci, którą pradziadek dziewczyny podarował jej młodszemu bratu. Zanim uświadomiła sobie, co się stało, zwierzę osunęło się na ziemię.

W orzechowych oczach zabłysły łzy.

- Zabiliście go, dranie! - wyszlochała. - Dlaczego?! Po co?!

Oskarżenie skierowane było do dwóch mężczyzn, którzy wyszli zza kępy leszczyny. Młodszy z nich uzbrojony był w strzelbę o krótkiej lufie.

- Co ty, mała, pieprzysz? - Strzelec sprawiał wrażenie zdziwionego, a nawet bezgranicznie zdumionego. - Dlaczego mielibyśmy go zabijać?

- No przecież... - Dziewczyna pociągnęła nosem i wskazała ruchem brody leżącego u jej stóp jednorożca.

- Ech, dziecko! - Starszy z myśliwych roześmiał się, jakby usłyszał dobry dowcip. - To jest pocisk obezwładniający. Myślisz, że naszemu bossowi ktoś by zapłacił złamanego centa za jakiegoś trupa? Płacą tylko za żywe, zdrowe sztuki, dziecino!

„W niewoli jednorożce nie pozwalają się głąskać” - przypomniała sobie nagle. - „I nawet nie pozwalają się nikomu do siebie zbliżyć. Od razu uciekają.”

- I po co trzymać takie zwierzę w niewoli? - zapytała wycierając oczy. - To... To niesprawiedliwe.

Żadne lepsze określenie nie przyszło jej do głowy.

- A kto by się tam zastanawiał? - Starszy myśliwy wzruszył ramionami. - Dostaliśmy zlecenie, to realizujemy. Jak się ma szmal, to się ma zachciewajki: raz drzewko bonsai, kiedy indziej pieska rasy chihuahua... wiesz, to taki, który się mieści w kieliszku do szampana... A innym razem jednorożca. A my, że tak powiem, świadczymy usługi dla ludności. Business is business, no nie?

- Jakbyśmy dzisiaj rano dostali zlecenie na seksowną szesnastkę, a nie na jednorożca, tobyśmy cię dostarczyli pod wskazany adres jeszcze przed obiadem, che che che! - zarechotał młodszy.

- Przestań, Norman! - Starszy rzucił mu spojrzenie, od którego młodszy natychmiast stracił rezon.

- Dobra, dobra, Paweł, ja tylko tak... - bąknął zmieszany.

Paweł? Mężczyzna był trochę za młody na takie przedpotopowe imię. Tak nazywał się jej pradziadek; otrzymał to imię w zamierzonych czasach niemal mitycznego Gomułki, o którym w gimnazjalnych podręcznikach hi-

stории można było znaleźć zaledwie trzy krótkie wzmianki. Do końca życia posługiwał się zabawną, nie zawsze dla niej zrozumiałą wiejską gwara. Zmarł w sędziwym wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat, gdy ona była jeszcze przedszkolakiem. Innych Pawłów nie znała. Jej dziadek i ojciec nosili już bardziej normalne imiona: Artur i Adam. A młodszy brat miał na imię Dżordż.

Tak czy owak, to Paweł był tu szefem. Norman nie miał nic do gadania.

- Nie przejmuj się nim, Stella, on często się tak wygłupia - powiedział do dziewczyny.

- Skąd pan wie, jak mam na imię? - spojrzała na niego zaskoczona.

- I nie tylko to, panno Kiziorek! - Paweł roześmiał się jak człowiek, który zrobił komuś dobry kawał. - Stella Kiziorek, lat szesnaście i cztery miesiące, klasa trzecia „c” gimnazjum w Grybowie, wolontariuszka Ruchu Otwartych Dłoni, ognisko przy parafii w Grybowie...

- Pobożna dziewica z Ruchu Otwartych Dłoni - wtrącił się Norman. Jego rechotliwy śmiech ucichł równie nagle, jak wybuchł, zgaszony kolejnym gniewnym spojrzeniem Pawła.

- My was, Stella, uważnie obserwujemy - uśmiechnął się starszy myśliwy. - Musimy wiedzieć, która z was, po pierwsze, poważnie traktuje zasady... to znaczy nie kręci z żadnym chłopakiem, bo wtedy jest zawsze prawdopodobieństwo, że nie traktuje zasad stuprocentowo poważnie... No i która z was lubi przebywać, że tak powiem, na łonie natury. To znaczy spacerować po lesie. Taka przyciąga rogasia jak magnes. - Paweł trącił czubkiem buta grzbiet jednorożca. - A my dowiedzieliśmy się, że jakiś się tu pojawił. Zostawił ślady...

- Bo wiesz, Stella - uzupełnił Norman - te mutanty nawet srają inaczej niż normalne zwierzaki. Wypuści taki z dupy parę placków i najpierw nic się nie dzieje, a po jakichś dziesięciu godzinach gówno zaczyna świecić po ciemku. Jeżeli go wcześniej deszcz nie spłucze, oczywiście.

Stella poczuła, jak jej uszy - na szczęście zakryte włosami - zalewa fala zdradliwego ciepła. Postulantki i wolontariuszki Ruchu Otwartych Dłoni nie przywykły do używania i wysłuchiwania niecenzuralnych słów. A już na pewno nie całymi seriami.

- Norman, zachowuj się! - ofuknął Paweł młodszego kolegę. - A ty - zwrócił się do Stelli - mogłabyś nam bardzo pomóc. Broń Boże, nie za darmo! Dostałabyś porządną prowizję...

- Za co? - zdziwiła się.

- Po pierwsze, za skrupulatne przestrzeganie zasad Ruchu Otwartych Dłoni - roześmiał się myśliwy. - Żadnych chłopaków, na wszelki wypadek... a jeżeli już, to najwyżej buzi-buzi i kropka. Ale to nie wszystko. W razie potrzeby pakujemy cię w neopter i wieziemy do lasu, gdzie spodziewamy się znaleźć jednorożca. Takie dziewczyny jak ty są bardzo dobrą przynętą dla mutantów, naprawdę. Dokładnie jak w tych średniowiecznych legendach.

Stella odruchowo cofnęła się o krok.

- Więc chcecie... żebym ja...

- A co ci, kurde, zwisa? - Norman popatrzył na nią niemal z politowaniem. - W chacie się nie przelewa, a u nas możesz zarobić choćby na jakiś porządną ciuch.

Ostatnio są modne dzinsy Deana Foxa, a nie jakieś bzdurki Wisy jak trzydzieści lat temu, co nie?

Pogardliwe skrzywienie warg i spojrzenie, jakim obrzucił jej spodnie, mówiły więcej niż słowa.

- No ale... Nie, tak nie można! One na to nie zasługują!

- Oj, ale trujesz, dziewucha! - Paweł ciężko westchnął i podrapał się po głębokim zakolu nad czołem. - Ale widzisz... Mamy na to sposób.

- Pewnie, że mamy - potwierdził Norman. Stella uważała, że młodszy mężczyzna od dłuższej chwili uważnie wpatruje się w jakiś punkt położony o kilka centymetrów w lewo od trzeciego guzika jej bluzki. Znow się zaczerwieniła.

- Mogłybyście to zrobić... - zaczął Paweł.

- My??? - zdziwiła się.

- No, wy. Dziewczyny z Ruchu Otwartych Dłoni. Ale że tak powiem, na konto księdza Kowalskiego. Parafia ostatnio biedna, owieczek o połowę mniej, niż było jeszcze w roku 2000, każdy grosz się przyda...

Faktycznie - ksiądz Kowalski, noszący przedpotopowe imię Mateusz, był ostatnio wręcz załamany stanem parafialnej kasy. Wystarczało zaledwie na bieżące potrzeby; o remoncie kościoła nie było mowy. Konserwator zabytków rozłożył ręce: „No widzi ksiądz, mam na głowie kościółek w Szalowej, Świętą Trójcę w Starym Sączu, fary w Bieczu... A Grybów, proszę księdza, to tylko neogoty. Nie ta klasa”. Na razie więc ksiądz Mateusz Kowalski i towarzyszący mu wikary Donald Kukułka odprawieni zostali z kwitkiem i z mglistą obietnicą: „Zobaczę, co się da zrobić, może w przyszłorocznym budżecie...” Nic jednak nie zapowiadało, by ten następny miał być lepszy. „Tylko neogoty, przełom XIX i XX wieku, wielkie mecyje!” - ironizował potem proboszcz kręcąc siwą głową. - „Takie byle co może się rozlecieć.”

Tak - parafia w Grybowie pilnie potrzebowała pieniędzy.

- Ale ten plan to ostateczność - dodał Paweł. - Wolelibyśmy dojść do porozumienia z tobą. Widzę, że jesteś dobra w te klocki...

Stella usiadła na pniu starego buka.

- Jestem dobra w te klocki... - powtórzyła patrząc w ziemię. - Jestem bardzo dobrą przynętą... A to jest mutant...

- To co? Zgadzasz się? - nalegał Paweł.

Dziewczyna zerwała się z miejsca.

- Nie!!! - krzyknęła. - Róbcie to beze mnie!!! I od... od... odczepcie się!!!

Omali się jej nie wymknęło - jej, wolontariuszce Ruchu Otwartych Dłoni! - zupełnie inne słowo zaczynające się na „od”.

Nie oglądając się za siebie, popędziła ścieżką w dół w kierunku Podchełmia. Usłyszała jeszcze, że jest „egzaltowaną gąską z wiochy zabitej dechami” - tak określił ją Paweł - i w dodatku... Nie, tych dwóch słów - rzeczownika i towarzyszącego mu przymiotnika, które w sekundę później padły z ust Normana - szesnastoletnia wolontariuszka Ruchu Otwartych Dłoni nie powtórzyłaby nawet w myśli.

W siedzibie Zjednoczonej Partii Zielonych gwarno było jak w ulu. Wiadomo: ostatni etap kampanii wyborczej.

Kampanii -jak przepowiadały najnowsze sondaże - z pewnością zwycięskiej. Prezes Michał Tkaczyk, zwany w budynku przy Puławskiej Majkelem, już mógł się przymierzać do fotela premiera. Zadawano sobie tylko jedno pytanie: czy szef partii, przedstawiciel starej gwardii, dogada się z młodymi wilkami z frakcji ekologiczno-liberalnej i ich liderem, a swoim bardziej „nowoczesnym” imiennikiem, niezwykle ambitnym Majkelem Doboszewiczem. Często dochodziło między nimi do tarć, które łagodziła tylko konieczność zachowania jednolitego frontu w kampanii wyborczej. Po wyborach wszystko mogło się zdarzyć. Nawet obalenie dotychczasowego kierownictwa. Nawet rozłam w partii.

- Mówię ci, Dobosz będzie próbował starego wykołować - mówił Oliwier Kociołek, szef kancelarii, patrząc na Głorię Kłusek znad filiżanki kawy bezkofeinowej ze słodzikiem. - A Majkel się pozwoli zrobić w ciula, bo jest za miękki i ma, cholera, zasady! To, fijołku, tylko kwestia czasu.

- Dalej pijesz te bezkofeinowe szczyzny? - zapytał Dżilbert Madej, szef Wydziału Profilaktyki Ekologicznej, odrywając wzrok od komputera.

- A co, nie wolno?

- Wolno, wolno. Kawa bezkofeinowa, piwo bezalkoholowe, seks bez orgazmu...

- Przestań, powtarzasz się.

- A co, nie wolno?

- Zamiast się czepiać, powiedz, coście wymyślili w sprawie tych jednorożców.

Dżilbert wzruszył ramionami.

- Zanim coś wymyślimy, zanim pomysł wprowadzimy w życie, będzie za późno. Już ponad dziewięćdziesiąt procent jednorożców siedzi za kratkami. To znaczy w prywatnych menażeriach. A tam się rozmnażają bardzo marnie... I podobno źrebaki urodzone w niewoli mają zwyczajne oczy. Takie jak każdy koń, a nie zielone.

- Z mutantami nigdy nic nie wiadomo... - mruknęła Gloria. - Wybryk natury i już.

- Nie nazywaj ich tak! - zaperzył się Dżilbert. - To są najpiękniejsze zwierzęta świata.

- Ale musiały powstać w wyniku mutacji - upierała się Gloria, atakując równocześnie pilniczkiem paznokcie środkowego palca lewej dłoni. - Tylko że...

- Tylko że nie wiemy, kiedy i gdzie. A może pochodzą z kosmosu?

- Nie chraźń. Zwyczajna mutacja naszego konia.

- Ale jeszcze kilka lat temu nikt o nich nie słyszał - zauważył Oliwier. - A już w średniowieczu...

- No właśnie - wtrąciła Gloria. - I według średniowiecznych legend miały te same zwyczaje. Też potrzebna jest dziewica, żeby...

- To dziwne, że w dzisiejszych czasach można w ogóle myśleć o złapaniu jednorożca! - Oliwier spojrzał spod oka na Głorię, której przygoda z udziałem dwóch niemieckich turystów (epizod z ostatnich dni ostatniej klasy podstawówki) była tajemnicą poliszynela.

- No, nie przesadzaj, żadna nie zaczyna jako osesek! - odezwał się zza swojego biurka Nelson Kociemba.

- Ale nie słyszałam, żeby jakaś siedmiolatka złapała jednorożca - zauważyła Gloria. - Podobno kiedyś nawet czternastolatce się nie udało. A za to przyszedł do studentki pierwszego roku. Dziwne.

- Jest ciekawa teoria na ten temat - powiedział Dżilbert. - Zaraz wam znajdę stronę internetową... O, jest. Profesor Kewin Małecki z KUL-u, empatoetolog.

Podeszli do ekranu. Dżilbert paroma kliknięciami powiększył zaznaczony fragment tekstu i przesunął się nieco w lewo, by pozostali mogli lepiej widzieć ekran.

Wszystko wskazuje na to - pisał lubelski uczyony - że sam fakt dziewictwa jest okolicznością wprowadzającą konieczną, ale niewystarczającą. Oczekiwanej reakcji zwierzęcia nie spowoduje obecność noworodka pici żeńskiej ani nawet kilkuletniej dziewczynki. Początkowo uważano, że do schwytania jednorożca niezbędne jest osiągnięcie dojrzałości płciowej; fakty jednak nie potwierdziły tego przypuszczenia. Wszystko wskazuje na to, że więź empatyczna powstaje w sytuacji, gdy kobieta posiada wysoko rozwiniętą sferę emocji o podłożu erotycznym. Warto tu zwrócić uwagę na znamieny fakt: jednorożce żyjące do niedawna w lasach Beskidu Niskiego w rejonie Komańczy zbliżały się niejednokrotnie do tamtejszego klasztoru ss. Nazaretanek, ale nigdy nie reagowały na obecność siostr wychodzących poza jego teren. Z drugiej strony posiadamy dowody, iż wspomniana więź empatyczna ulega osłabieniu wraz ze wzrostem zainteresowania własną seksualnością, intensyfikacją fantazji itp. Znany jest przypadek dziewczyny, która korzystając z nieobecności rodziców kolegi, zamierzała spędzić z nim noc. Na kilka godzin wcześniej spotkała ona w lesie jednorożca, który nie podszedł do niej, ale zatrzymał się w odległości kilku metrów i...

- Też sobie znaleźliście autorytet! - usłyszeli za plecami. Wejścia Majkela Doboszewicza nikt nie zauważył; wszyscy patrzyli w ekran.

- To najwybitniejszy w Polsce empatoetolog - zaprotestował Dżilbert. - Światowa sława.

- Eee tam, taki przykościelny profesor... - Doboszewicz, jak cała frakcja ekologiczno-liberalna, był zaciekle antyklerykałem. To jednak nie przeszkodziło mu wpatrzeć się w ekran jak sroka w kość. Przeczytał tekst profesora Małeckiego z uwagą, a potem odwrócił się i bez słowa wyszedł z pokoju.

- Zauważyliście?! - ożywił się Oliwier. - Musiał wpaść na jakiś pomysł. Właśnie teraz, kiedy czytał.

- Niby skąd wiesz? Patrzyłem na niego. Kamienna maska, zero reakcji.

- Widać było po oczach - zapewnił Dżilberta Kociołek. - Niby po minie się nie domyślisz, ale ja go znam, skurczybyka. Na pewno coś wymyślił w związku z tymi jednorożcami.

- Ale ta empatoetologia to tylko teoria... - Od czasu niepowodzenia projektu „Limbus”, czyli ambitnego planu pozyskiwania niezbędnych w elektronice minerałów z dna Rowu Filipińskiego, Nelson stracił wiarę w potęgę nauki. Głównie dlatego, że stracił też przy tej okazji kupę szmalu na spadku akcji koncernu „Nautilus Beta”.

- No, nie jest tak źle. To całe wzmacnianie pozytywnych motywacji, wzmacnianie fał intersensytywnych czy jak oni to nazwali... Majająż spore osiągnięcia. - Dżilbert wierzył w możliwości modnej ostatnio nauki z pogranicza fizjologii i psychologii.

- Eeee tam, szarlataneria - skrzywił się Kociemba. - Trzymanie się za ręce przy jakiejś psychodelicznej mu-

zyce, chóralna recytacja... Słyszałeś chyba, że sam Małecki w ogóle się w to nie bawi.

- Bo Małecki jest teoretykiem - bronił swojego zdania Dżilbert. - Przecież kto inny odkrył prąd elektryczny, a kto inny wynalazł żarówkę, nie?

- I myślisz, że Majkel wykorzysta empatoetologów? - zapytała Gloria. - Jakoś sobie tego nie wyobrażam.

- I tak niczego nie przeforsujemy przed wyborami - machnął ręką Nelson. - Jak będziemy mieć większość w sejmie, to się uchwali ustawę. A zresztą co tu wymyślać? Trzeba zlikwidować te prywatne menażerie, i już.

- Akurat! - wydeła uszminowane usta Gloria. - Dobosz będzie rozdarty jak stara sosna w „Ludziach bezdomnych” między ochroną zagrożonych gatunków a wolnością jednostki. Nie znasz liberałów?

Stella Kiziorek siedziała przy stole i bezmyślnie gapiła się w ekran telewizora. Sens słów wypowiedzianych przez blondynkę w zielonej bluzce niezupełnie do niej docierał. Nadzwyczajne posiedzenie Rady Naczelnej Zjednoczonej Partii Zielonych niewiele ją obchodziło. Tak samo jak informacja, że prezes Michał Tkaczyk „zachował dotychczasowe stanowisko za cenę poważnych ustępstw na rzecz frakcji ekologiczno-liberalnej Doboszewicza”. Rzec bez znaczenia w porównaniu z faktem, że na jej oczach jedno-rożec o śnieżnobiałej sierści padł ugodzony pociskiem obezwładniającym, a potem - już za jej plecami - został związany jak baran, przytroczony do podwozia neoptera i sprzedany jakiemuś rzygającemu szmalem bufonowi, który zamknął go w klatce. A jeśli nawet nie w klatce, tylko na ogrodzonym wybiegu - co za różnica?

- I co ta laseczka nawija? - Do pokoju zajązła Dżordż, jej czternastoletni brat, początkujący palacz, miłośnik piwa i (o czym przekonywała się niemal każdej nocy, bo od najwcześniejszego dzieciństwa sypiali po przeciwnych stronach tego samego pokoju na poddaszu) notoryczny onanista.

- Nic ważnego - odpowiedziała oglądając się przez ramię. - Przepychanki w ZPZ. Ale Tkaczyk na pewno będzie premierem.

- Kurde, kto wymyślił tę politykę! - westchnął Dżordż. - Ale ty jesteś dzisiaj jakaś nie tego... Stało się coś?

- Nie... Chyba można być w złym humorze, nie?

- Pewnie... - zaczął chłopak i urwał. Blondynka w zielonej bluzce poinformowała, że posiedzenie Rady Naczelnej ZPZ „nie wypracowało jednoznacznego stanowiska w kwestii ochrony jedno-rożców”.

- Cholera, jeszcze nigdy żadnego nie widziałem! - westchnął Dżordż. - A one są podobno zajebiste. Ty to masz szczęście! Sam by do ciebie przyszedł. Chyba że już cię jakiś facet przeleciał.

- Dżordż, zamknij się, bo...

- No, co mi zrobisz? Pobjeżysz własnego brata?

- Dżordż, proszę cię... Nie mam nastroju do głupich żartów - poprosiła bezbarwnym głosem.

- Dobrze, już dobrze. Widzę, że cię naprawdę chandra złapała. Tobie rzeczywiście jakiś chłopak potrzebny. Od razu by ci przeszło.

Doktor Piter Szuba wrócił do redakcji miesięcznika „Dzoon” wściekły jak osa wykurzona z gniazda. Rzucił na stół swoją podniszczoną teczkę ze sztucznej skóry i od razu popędził do barku po butelkę martini (lubił takie samo, jak James Bond: wstrząśnięte, nie zmieszane). Jak zwykle w chwilach silnego wzburzenia nalał sobie pełną szklanekę, nawet omal nie przelał.

- Stało się coś? - zapytał naczelny.

- Te jedno-rożce, Czarli! - westchnął Szuba. - Na nową ekipę w ZPZ chyba nie można liczyć.

- Jak to? Przecież to jest frakcja ekologiczno-liberalna.

- Czarli mocno zaakcentował pierwsze słowo.

- Jednak przede wszystkim liberalna. Zlikwidowanie prywatnych menażerii naruszałoby zasadę swobodnej samorealizacji i nieskrępowanego rozwoju osobowości, wyobraź sobie.

- Aha, czyli taki rekin giełdowy musi mieć swoje zoo na tyłach rezydencji, bo jeśli nie, to jego osobowość nie będzie się rozwijać? I dojdzie do naruszenia praw człowieka?

- Dokładnie tak - potwierdził doktor.

- Oni są już kompletnie popieprzeni. Ale przecież chcą zrobić coś w tej sprawie, nie? Co ci powiedziała Dobosz?

Doktor wzruszył ramionami.

- Wiesz, Czarli, on uważa, że problem powinien sam się rozwiązać poprzez odejście od relikwów dawnej obyczajowości seksualnej.

- Aha: nie będzie dziewic, jedno-rożce będą bezpieczne? Oczywiście te, które jeszcze nie dały się złapać?

- Właśnie.

Czarli wymownie postukał się palcem w czoło.

- I jak on chce to osiągnąć, zanim ostatni jedno-rożec trafi do zoo? W końcu nie trzeba być świętym Franciszkiem albo tą całą prawosławną Paraskowią czy jak jej tam, żeby... Jak by to powiedzieć? Zawsze mija te parę lat między osiągnięciem dojrzałości płciowej a... No wiesz. Więc jak? Majkel osobiście przeleci wszystkie małolaty w całej Polsce? Nawet te, które nie mają piętnastu lat? A kodeks karny?

- Może wprowadzi do szkół obowiązkowe zajęcia praktyczne z seksu? - Doktor skierował to pytanie bardziej do stojącej przed nim butelki niż do rozmówcy.

- To raczej nie przejdzie. - Redaktor pokręcił głową z powątpiewaniem.

- To na pewno nie przejdzie, Czarli.

- W takim razie Dobosz mówił tylko o teoretycznej możliwości. - Naczelny postawił kropkę nad „i”. - Przez tę swoją cholerną swobodę samorealizacji nie kiwnie palcem w bucie! Zastrany erotoman! I w dodatku polityczny impotent!

Majkel Doboszewicz, nowy wicepremier i minister spraw wewnętrznych, trochę się spóźnił. W ciągu pierwszego tygodnia pracy nigdy mu się to nie zdarzyło; był w swoim gabinecie na kilkanaście minut przed całą resztą swojej ekipy, przed nim przychodził tylko szef personelu technicznego, zwany na co dzień woźnym. A dzisiaj - jedenaście minut spóźnienia...

- Wszystko pewnie przez Lindę - skomentował Dżilbert, od niedawna asystent wicepremiera.

- Która? Antosiakową? - zapytał Oliwer, obecnie szef sekretariatu. - To Dobosz dalej z nią kręci?

- Jaką Antosiakową? Oli! Jesteś, za przeproszeniem, sto lat za...

- Uważaj! - syknęła Gloria.

- No dobra, Gloria, w imię poprawności politycznej nie dokończę. Ale chyba słyszałeś, Oli, że Linda po rozwodzie wróciła do starego nazwiska i znów się nazywa Bogusławska.

- Nic dziwnego. Skoro ten nedorobiony hydraulik po miesiącu puścił ją kantem i wyjechał z jakąś Szwedką do Sztokholmu... - wtrąciła Gloria.

- Bo Skandynawki zawsze lubiły ognistych brunetów - dokończył Dżilbert. - A gdyby się Linda nie puszczała z Majkelem, toby jej nie ściągnął do ministerstwa. Wraz z rządem zmieniają się czasem dyrektorzy departamentów, ale nie sprzątaczkę, prawda?

- Konserwatoria powierzchni płaskich - poprawiła go Linda.

- No dobra, niech ci będzie, że konserwatoria - zgodził się Dżilbert niechętnie. - Ale i tak muszą po nas sprzątać.

Do pokoju zajrzał Dżon Nowak z działu technicznego.

- Dżilbert, ty nie wiesz, co nasz stary próbuje wymodzić z tymi cholernymi mutantami? - zapytał. - Bo ja ni cholery nie kapuję.

- Nie wiem, nie moja działka. - Asystent wicepremiera skrzywił się jak po ugryzieniu niedojrzałej cytryny. Lubił mieć najświeższe informacje, a tu okazywało się, że nie ma zielonego pojęcia o czymś bardzo ważnym. - A co się dzieje?

- Jest jakiś nowy projekt, planują jakąś akcję czy coś takiego. Chcą zagonić do roboty wszystkich empatoetologów, jakich tylko znajdą, Departament Szkolnictwa Ponadpodstawowego i służby specjalne.

- Służby specjalne? - zdziwiła się Gloria. - Pewnie chcą uziemić tych od polowań.

- Ale co z tym mają wspólnego licea i gimnazja? - zdziwił się Oliwer.

- Naprawdę nic nie wiecie? - zapytał Dżon z wyraźnym niedowierzaniem.

- Nie, stary, nam się Dobosz nie spowiada - zapewnił go szef sekretariatu.

- A czy on się kiedy spowiadał? - prychnęła Gloria.

- Pierwszą komunię zaliczył, w przeciwieństwie do ciebie - przypomniał jej Dżilbert.

- Przecież wcale mu niczego nie mam za złe - usprawiedliwiła się rzeczniczka prasowa.

- To wy naprawdę nic nie wiecie? - Nowak był rozczarowany. - W takim razie zapytam wiceszefa gabinetu.

- A on ci naturalnie zechce odpowiedzieć... - ostudził jego zapał Dżilbert. - Jeżeli nawet my nie wiemy, to znaczy, że Dobosz chce trzymać sprawę w tajemnicy.

- Tajemnica wcześniej czy później się wyda - dodał Oliwer. - Ty, Gloria, będziesz musiała bez przerwy powtarzać „No comment” albo „Nie potwierdzam i nie zaprzeczam”.

- A ja potwierdzam, a raczej stwierdzam, że mamy kupę roboty - oświadczył Dżilbert. - Koniec herbatkowania. Bo będziemy tu siedzieć do wieczora.

Jacek Pawłowski wyszedł ze szkoły w przerwie zebrania organizacyjnego Bractwa Faunów. Nie pojechał jednak do domu, do Siołkowej, ale w kierunku zupełnie przeciwnym: do Podchełmia. „Trzeba powiedzieć Stelli, ona musi wiedzieć wcześniej, co to takiego te Drużyny Driad, potem będzie za późno” - ta i inne podobne myśli kotłowały się w jego rozgorączkowanym mózgu przez całą drogę. Stella na pewno będzie mu wdzięczna, jeśli się dowie. Ona jest na to zbyt... zbyt... Jackowi zabrakło słów, by to nazwać. W każdym razie Stella to wyjątkowa dziewczyna. Szkoda tylko, że starsza o cały rok, więc nie zwraca na niego uwagi. Ale może teraz... Jeśli ją ostrzeże... Będzie mu wdzięczna... Bo ona przecież nie zechce być tą całą Driadą. Dokładnie tak samo, jak on nie chce być żadnym Faunem. Może dlatego, że - jak go nazwał ojciec, uważający swojego najstarszego syna za beznadziejnego mięczaka - jest „nieuleczalnym idealistą” i „ma w głowie fiu bździum, zamiast chodzić twardo po ziemi”. Może właśnie to fiu bździum sprawiło, że nie został do końca zbiórki, że się zbuntował na przekór staraniom empatoetologa z uniwersytetu? Że nie podziały na niego te wszystkie zabiegi, których celem miało być wzmocnienie „pozytywnej motywacji” i jeszcze jakichś tam fal...

Chociaż gdyby nie było innego wyjścia... Wtedy ostatecznie mógłby zostać tym Faunem. I mógłby załatwić - bo facet ze służb specjalnych mówił, że można - żeby to właśnie Stella...

Nie, nie, tak nie można. Jacek potrząsnął głową, jakby mu coś wpadło do ucha. Gdyby tak się stało, potem między nim a Stellą wszystko by się ułożyło inaczej, niż sobie wymarzył. Trzeba realizować wariant A. Ostrzec ją - a ona niech już sama zadecyduje, co dalej. Czy ma pójść na tę jutrzejszą zbiórkę, czy nie pójść. Kazali jej przyjść, tak samo jak większości dziewczyn z klas drugich i blisko połowie tych starszych o rok, z jej rocznika. Nikt wcześniej nie wiedział dlaczego - a on już wie. I musi jej powiedzieć. Zanim będzie za późno. Bo ci empatoetolodzy potrafią ludźmi manipulować. To - jak powiedział ten agent służb specjalnych - coś, co przypomina hipnozę. Magister Koziński wprawdzie mówi, że nie hipnoza, tylko jakieś oddziaływanie emo... coś tam, wzmacnianie czegoś tam, rozładowywanie jakichś tam kompleksów - ale w końcu na jedno wychodzi.

- Co ty, gnoju, naćpałeś się czego, że mruyczysz sam do siebie? - Pasażer siedzący naprzeciwko był wprawdzie pijany, ale nie aż tak, by dziwne zachowanie chłopca uszło jego uwagi.

- Pro... eee... Ja się uczę wiersza na pamięć. - Jacek natychmiast odzyskał przytomność umysłu. - Mam go recytować na akademii na zakończenie roku szkolnego.

- No to uważaj, bo cię g-gliniarze zwiną i za-zawiozą do B-białego D-domku - ostrzegł go nieznajomy i zakończył tę skomplikowaną wypowiedź potężnym beknięciem.

„Ale przez to wyjście ze zbiórki mam przechlapane” - pomyślał Jacek. - „Obniżone sprawowanie jak w banku. A Zyga i dyrek nawet nie wiedzą, o co chodzi w tym całym Bractwie i w Drużynach. Przecież to tajemnica państwowa.”

Tak - ich wychowawczynie, Sara Zyglińska, i oczywiście jej szef, dyrektor gimnazjum, nie mieli się niczego

dowiedzieć. Ich rola ograniczała się do „nakłonienia uczniów do udziału w pracy społecznej na rzecz środowiska naturalnego”.

Wysiadając z autobusu Jacek zauważył Stellę podlewającą kwiaty w ogródku. To dobrze; gdyby musiał na nią czekać, czułby się jak w poczekalni u dentysty i może nawet w końcu by uciekł. Zresztą u dentysty nie boli, tylko po prostu strach ma wielkie oczy, a zbyt szerokie otwieranie ust nie należy do przyjemności. Tymczasem taka rozmowa... Gdy się ma piętnaście lat i jest się „beznadziejnym mięczakiem” czy też „nieuleczalnym idealistą”... Gdy w dodatku dziewczyna jest o rok starsza i dlatego może patrzeć na niego z góry - a przy tym bynajmniej nie jest mu obojętna...

Wciągnął powietrze w płuca, zamknął oczy, policzył do trzech i ruszył wąską ścieżką pod górę, w kierunku starego domu z drewnianych bali.

Adam Kiziorek długo się zastanawiał, kim jest szczupły, czarnowłosy chłopak, który mu się uklonił wysiadając z autobusu w Grybowie. Dopiero w połowie drogi sobie przypomniał: to przecież syn Pawłowski, tego nowobogackiego z Siołkowej. A właściwie nie z Siołkowej, ale z Tarnowa. Przeprowadził się dopiero dziesięć lat temu, bo „woli górskie powietrze”. Chłopak ma na imię chyba Jacek; ciekawe, dlaczego ojciec dał mu takie beznadziejne imię, jak chłopu pańszczyźnianemu w czasach... no, cholera wie, jacy tam królowie wtedy panowali, kto by pamiętał historię z podstawówki? On sam, syn Wojciecha i Magdaleny Kiziorków, to co innego. W końcu ma czterdzieści lat, a wtedy takie imiona były na porządku dziennym, zwłaszcza na wsi. Ale Pawłowski? Zamiast nazwać syna Dzerrym albo Harrym, albo choćby Majkelem, wymyślił jakiegoś przedpotopowego Jacka... Zresztą jego sprawa.

Tylko skąd ten mały szczyl go zna? Przecież nie chodzi ze Stellą do jednej klasy. Z Dżordżem też nie. Może go pomylił z kimś innym?

Trzysta metrów pod górę, z przystanku do domu, było dla Adama Kiziorka marszem dość forsownym. Nie da się ukryć - ojciec Stelli i Dżordża po wyjściu z roboty trochę nadużył. Konkretnie śliwowicy. Nie aż tyle, żeby wpaść do rowu, nie tyle nawet, by się w widoczny sposób zataczać - ale szło mu się ciężko. Na szczęście to tylko trzysta metrów. A potem uwali się na kanapę... Ewa, poczciwe kobiecisko, ściągnie mu buty... Cholera, nie, Ewy nie ma, pojechała do Sącza. Nowego, dla ścisłości. Ale Stella powinna być w domu. Dżordż też już powinien być, chociaż miał pojechać do szkoły na jakąś zbiórkę. Ale na pewno już wrócił.

Na schodach zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Stella i Dżordż najwyraźniej się kłócili. To się rzadko zdarzało, chociaż brat i siostra różnili się charakterem do tego stopnia, że trudno było uwierzyć, iż są rodzeństwem.

- Kto ci, kurwa, powiedział?! - krzyczał Dżordż. - Kto zdradził?!

„Nogi mu z dupy powyrywam za te przekleństwa” - pomyślał ojciec, ale zaraz się zreflektował: „Ja nieraz gorzej bluzgam. Ode mnie się chłopak nauczył, nie jego wina.”

- Nie musisz wiedzieć - odpowiedziała bratu Stella. - Ważne, że ja wiem, o co w tym wszystkim chodzi. I nie pójde jutro na żadną zbiórkę. Nie zgadzam się, żeby...

- Ale zrozum, tu chodzi o ochronę tych... Pamiętajsz, jaka byłaś smutna wtedy w maju?

- Rozumiem. Ale to nie jest sposób. - Stella mówiła teraz znacznie spokojniej. - Przecież mogliby zakazać...

- Rząd chyba wie, co robi, nie? - zapytał Dżordż zaczepnie.

- Myślę, że nie bardzo. I już ci powiedziałam: ja się nie zgadzam. I na żadną zbiórkę nie pójde, bo już wiem.

- Głupia jesteś. I możesz być niebezpieczna. Zadzwoń do tego agenta...

- Ty gnoju! - Okrzykowi towarzyszył odgłos siarczystego policzka. Potem Adam Kiziorek usłyszał tupot nóg na schodach prowadzących na poddasze. Stella przemknęła przez szeroką sień potykając się o coś, natychmiast odzyskała równowagę, przebiegła obok ojca nie zaszczycając go ani jednym spojrzeniem i popędziła wyasfaltowaną niedawno dróżką w dół, w kierunku przystanku.

- Stella! - zawołał Kiziorek. Dziewczyna nie zareagowała. - Stella, wracaj!

Nawet się nie obejrzała. Po minucie była już na przystanku. Szosą właśnie przejeżdżał autobus - chyba „ósemka”, do Szymbarku. Dziewczyna wpadła jak bomba do środka, drzwi bezgłośnie zamknęły się za nią... Pojechała.

Adam Kiziorek odwrócił się i ciężkim krokiem wszedł po schodach na poddasze. Dwa razy omal się nie sturlał z powrotem na dół. W końcu dotarł do celu. Drzwi były otwarte. Dżordż siedział na swoim łóżku zapatrzony w okno, z odciskiem pięciu drobnych palców na lewym policzku. Z trudem powstrzymywał się od płaczu.

- Cccco się ssstało? - zapytał ojciec. Czuł, że pod wpływem słynnej łackiej śliwowicy język zaczyna mu odmawiać posłuszeństwa.

- Nic się nie stało - burknął chłopak. - Kłóciliśmy się trochę.

- Trochę! Dostałeś po mordzie... i mó-mówisz, że trochę! A o co?

- Nic ważnego...

- Nic wa-ważnego?! Kie-kiedy się pytasz, kto z-zdradził, to musi być coś ważnego! - Kiziorek już zamierzał poprawić uderzenie Stelli, ale poczuł, że podłoga pod nim stała się trochę niestabilna, więc usiadł na łóżku córki, trącając przy tym otwarte drzwi szafy, które Stelli służyły jako parawan, gdy w obecności brata musiała się przebrać w piżamę.

- No... To się tak mówi... kiedy ktoś wygada jakiś sekret - tłumaczył się nieporadnie Dżordż.

- A co z tym mają wspólnego je-jednoróżce?

- No bo Stella nie chce iść jutro na zbiórkę Drużyny Driad. A Drużyny mają pomagać w ochronie jednoróżców.

- No a... a rząd? - pytał dalej ojciec. W rozmowie zaczęła mu przeszkadzać czkawka, uboczny skutek nadużycia śliwowicy.

- Bo te Drużyny wymyślił rząd.

- A Stella nie chce... - Ojciec w dalszym ciągu niczego nie rozumiał.

- Bo ona już widziała jednoróżca i przez nią go złapali - tłumaczył mu syn. - Takie dziewczyny będą badane

przez empatoetologów, kiedy już się zapiszą do Drużyny Driad. I jeden chłopak wygadał się, powiedział jej to. Ale nie zrozumiał dobrze, no i Stella myśli, że chcą ją za to ukarać albo coś w tym rodzaju. A ten agent, o którym mówiłem, to jest właśnie empatoetolog. On robi teraz doktorat.

- Coś ty mi, gówniarzu, krzywo nawijasz - burknął Kiziorek. - Raz jakiś a-a-agent, raz em... em... empe-lotolo... - Nagle język mu się zaplątał, a zaraz potem poczuł, że picie śliwownicy tym razem nie ujdzie mu płazem. - Cholera, porzygam się. Kto widział jeść tort po śliwownicy?

- Tylko nie tutaj! - przeraził się Dżordż. - Wyjdź chociaż za drzwi.

Ojciec, którego zarumieniona od śliwownicy twarz zmieniła nagle kolor na bladzielony, posłusznie wstał z łóżka, chwytając dotarł do drzwi i z niejakim trudem przełożył nogę przez próg. Zaraz potem puścił pawia na całe schody. Syn troskliwie sprowadził go na dół, omijając ostrożnie barwne kałuże na betonowych stopniach. Kiedy już ojciec leżał spokojnie w swoim pokoju na kanapie, Dżordż wrócił na górę, padł na łóżko, wtulił twarz w poduszkę i rozbeczał się. Dla świeżo upieczonego członka Bractwa Faunów, który lada chwila przystąpi do zajęcia harmonijnie łączącego przyjemne z pożytecznym, jakim niewątpliwie jest ratowanie populacji jednoroźców, dostać w pysk - w dodatku od własnej siostry - to niezasłużona krzywdą i wołająca o pomstę do nieba niesprawiedliwość.

Szefgabinetu ministra spraw wewnętrznych Harry Bednarz miał dla Doboszewicza prawie same dobre wiadomości.

- Akcją objęte zostały wszystkie kobiety mieszkające na terytorium naszego państwa, u których wykryto interesujący nas stan- fizjologiczny organizmu i cechy osobowości - meldował patrząc na wicepremiera z drugiej strony biurka.

- Mógłbyś to przełożyć na normalny ludzki język? - skrzywił się Doboszewicz i wytarł chustką czoło. Mimo doskonale działającej klimatyzacji spocił się, słysząc radiową prognozę pogody. Dla Warszawy meteorolodzy przewidywali trzydzieści trzy stopnie w godzinach popołudniowych. Koniec sierpnia był wyjątkowo gorący.

- To znaczy...? - Bednarz nie był pewny, czy dobrze rozumie intencje szefa.

- W porządku, Harry, załapałem. Nie było komplikacji?

- Jeśli chodzi o dziewczyny, to nie. Driady stanęły na wysokości zadania. Podjęły się ratowania jednoroźców z prawdziwym entuzjazmem...

- Widzę, że empatoetolodzy przekonali by nawet zakonnice, gdyby zaszła taka potrzeba - powiedział z uznaniem wicepremier. - Ale powiedziałaś: „Jeśli chodzi o dziewczyny”. Z chłopakami coś nie w porządku?

- W Bractwie Faunów mamy kilka tysięcy przypadków nerwicy seksualnej. Najczęściej gimnazjaliści - przyznał niechętnie Bednarz.

- Cholera! - zmartwił się Doboszewicz. - To są skutki represyjnego wychowania... Ale tego się nie dało uniknąć. Gimnazjaliści byli potrzebni.

- No pewnie. Wprawdzie nikt nie został, że tak powiem, przyłapany na gorącym uczynku... Ale w grę wchodziła większość dziewczyn z młodszych klas gimnazjum, a sporadycznie nawet jakaś małolata z podstawówki. Takimi musiał się zająć ktoś, kto nie podpada pod kodeks karny.

Wicepremier rozparł się w fotelu. Jego twarz rozjaśnił uśmiech zadowolenia.

- No i mamy sprawę z głowy. Bez łamania naszych zasad. Bez naruszania niczyjej indywidualnej wolności. Zadzroszczę tym chłopakom z Bractwa Faunów, naprawdę!

- Na brak okazji i możliwości szef chyba nie narzeka? - roześmiał się Harry.

- Powiedzmy, że nie. Ale w ich wieku...

- No tak, faktycznie... Ale ta akcja była dużym krokiem naprzód w dziedzinie prawidłowego kształtowania stosunków międzyludzkich, że tak powiem...

- I przede wszystkim uratowaliśmy jednoroźce - przypomniał mu Doboszewicz, wciąż rozpromieniony jak słońce nad iglicą Pałacu Kultury za oknem. - Skoro już nie ma, przynajmniej na razie, nikogo, kto mógłby posłużyć jako przynęta...

- No, w zasadzie nie ma...

Uśmiech wicepremiera zgasł jak nieosłonięta dłońią zapałka na wietrze.

- Jak to: w zasadzie? Coś jednak nie wyszło? Ukrywasz coś?

- W Grybowie jedna szesnastka gdzieś się zawieruszyła. Związała z domu w przeddzień zbiórki Drużyny Driad. Od tej pory nikt jej nie widział. Potem upozorowała wyjazd za granicę... To znaczy wysłała maila, niby to ze Szwecji. Ale okazało się, że zrobił to za nią hacker, niejaki Jacek Pawłowski, też gimnazjalista z Grybowa.

- To chyba pion śledczy coś z niego wycisnął? - Wicepremier sprawiał wrażenie zdziwionego. - I do tej pory powinni ją mieć.

- Nie mają ani jego, ani jej. - Szefgabinetu bezradnie rozłożył ręce. - Zwiali oboje. Udało się tylko ustalić, że ten mail został wysłany z jego laptopa, a nie z żadnej poczty w Karlskronie.

Doboszewicz wstał z fotela. W ciągu sekundy ze spoczonego, rozleniwionego faceta z nadwagą przeistoczył się w człowieka, który nawyk rozkazywania innym wyszał z mlekiem matki.

- Więc przekaz im instrukcje - polecił. - Szukać dziewczyny, ale nie poprzestawać na tym. Chłopaka niech znajdą łapsy z komisariatów, on tu nie jest ważny... Ważna jest ona, z wiadomych względów. Ale niech obejmą dyskretną inwigilacją wszystkie firmy zajmujące się dostarczaniem zwierzyny do prywatnych zoologów. A najlepiej niech sprawdzą, czy któraś z nich nie ukrywa tej siksy.

- Przekażę, szefie. - Harry Bednarz wyprężył się na baczność.

- Natychmiast - przypomniał z naciskiem wicepremier.

Szefgabinetu odwrócił się i ruszył do wyjścia - i w tej samej chwili zadzwonił jego telefon komórkowy.

- Halo?

Szczęka Bednarza z każdą sekundą opadała coraz niżej i wydawało się, że lada chwila zakryje węzeł krawata.

- Do... dobrze - wykrztusił w końcu. - Pilnujcie go, Robin, dobrze pilnujcie. Nikt niepowołany nie ma prawa

wiedzieć. Bo będzie smród na całą Europę i jeszcze pół Ameryki.

- Co się stało? - zaniepokoił się Doboszewicz.

- Szeffie, Małeckiemu szajba odbiła - wyjaśnił Bednarz chowając aparat.

- Temu profesorowi?

- Właśnie. Skądś się dowiedział... Pewnie ktoś z empatologów puścił farbę... bo oni lubią się chwalić osiągnięciami. No i facet nie wytrzymał. Załamał się nerwowo. Jęczy, że to wszystko przez niego, że tyle cudzych grzechów obciąża jego sumienie i tak dalej.

- Przecież on nie brał w tym udziału? - zdziwił się wicepremier. - To o co mu chodzi?

- Ale stworzył podstawy teoretyczne. I teraz ma wyrzuty sumienia. Podejrzewa nawet, że opętał go szatan.

- Brednie... A kto dzwonił? Tybura?

- Tak, generał Tybura.

- Czy profesorka już coś komuś powiedziała?

- Na razie chyba nie...

- No to niech go izolują. I niech nie zostawiają wszystkiego na głowie psychiatrów, bo ci jajogłowi to niepewny element. - Wicepremier skrzywił się pogardliwie. - Robin chyba potrafi znaleźć agentów, którzy dadzą radę upilnować jednego świra?

Bednarz z powrotem usiadł w fotelu.

- Tybura już to zrobił - poinformował Doboszewicza.

- Ale... Szeffie... Szeffie się nie boi, że ten Jacek Pawłowski może wiedzieć za dużo? Urwał się ze zbiórki Faunów, więc już się zdążył zorientować, w czym rzecz, prawda? Potem pomagał tej głupiej pindzie, więc wygląda na to, że był przeciw i w jego wypadku empatologia zawiodła...

Wicepremier zbagatelizował jego obawy.

- Harry, przestań się przejmować duperelami! Gdyby mógł gdzieś z tym dotrzeć, choćby do prasy albo do telewizji, toby już był szum jak cholera! Europa ma bzika na tym punkcie. Manipulacja ludzką psychiką, ingerencja w prywatne życie obywateli, może jeszcze... Nie, pedofilię z góry wykluczaliśmy. Ale i tak byłby smród, już na samym początku. Ten szczył miał na to dwa i pół miesiąca. Ale kto by takiemu gówniarzowi uwierzył? Małecki to co innego. Uznany autorytet naukowy, nazwisko znane na całym świecie... Strasburg zaraz by się tym zajął. Zaraz potem ONZ. A u nas Bractwo imienia Zygmunta Wrzodaka od razu wyprowadziłoby hordy starych bab na ulice, episkopat wspólnie z feministkami i Komitetem Ochrony Praw Dziecka złożyłby skargę w Trybunale Konstytucyjnym, opozycja popędziłaby do Trybunału Stanu... Przechlapane. Dlatego Małecki musi być izolowany. I trzeba zmobilizować paru najbardziej zaufanych empatologów. Oczywiście praktyków, nie teoretyków. Niech go przekonają, że to wszystko nieprawda.

Doboszewicz nacisnął czerwony guzik interkomu.

- Amanda, łącz mnie z generałem Tybura!

* * *

Dzordź po raz pierwszy od bardzo dawna trzymał w ręku książkę. Do tej pory czytanie lektur obowiązkowych było dla niego prawdziwym dopustem bożym, największym nieszczęściem, jakie potrafił sobie wyobrazić. A jeśli książka nie figurowała na liście podanej przez polonistkę, żadna siła nie mogła go zmusić do jej otwarcia.

Tak było już od co najmniej trzech lat - a teraz, przez nikogo nie zmuszany, pojechał do biblioteki miejskiej i wypożyczył aż trzy powieści Verne'a. Wszystko przez tę nerwicę. Od kilku tygodni nic, zupełnie nic nie sprawiało mu przyjemności. Próbował się upić winem owocowym - bez skutku. Papierosy przestały mu smakować. Filmy w telewizji okazały się nagle potwornie nudne. Gra w piłkę zaczęła go męczyć - a przy tym piłka nożna to gra zespołowa, więc ktoś, kto się co chwilę wkurza, sam nie wiedząc dlaczego, w żadnej drużynie nie jest mile widziany. Zdjęcia w kupowanym od starszych kumpli po pasarskiej cenie „Playboya” przestały mu się podobać. Wspomnienia kilku miłych godzin spędzonych (wraz ze starszym o rok Ralfem Pietruszką) w towarzystwie trzech Driad z pierwszej „f” - Samanty, Naomi i Dženifer - przypomniały go teraz o mdłości. W dodatku coraz częściej dręczyła go obawa, że do końca życia będzie impotentem... Koszmar.

Otworzył „Szkolę Robinsonów” - i tak się zaczytał, że nawet nie zauważył, kiedy się ściemniło. Przerwał lekturę dopiero wtedy, gdy litery zaczęły się zlewać w bezkształtną szarą masę. Westchnął, odłożył książkę i wstał. Przeciągnął się, aż wszystkie kości zatrzeszczały, spojrzął na zegarek, stwierdził, że pozostało mu jeszcze półtorej godziny do zalecanych przez doktora Pawlika ćwiczeń przy muzyce relaksacyjnej - to miał być jeden z zabiegów niezbędnych do wyleczenia nerwicy - i zszedł na dół. W tej samej chwili usłyszał dzwonek u drzwi.

To była Dženifer. Ta Dženifer. Od tamtego czwartego dnia rzadko z nią rozmawiał. Zawsze przy świadkach, zawsze bardzo krótko. I zawsze po takiej rozmowie czuł się gorzej.

- Wejdz - bąknął.

- Co jesteś taki jakiś... dziwny? - Dziewczyna spojrzała na niego niepewnie. - Dalej źle się czujesz? Nic ci ten psycholog nie pomógł?

Dženifer oczywiście wiedziała. Powiedziała jej, powiedział wszystkim kumplom - wbrew obiekcjom ojca, który jako człowiek starej daty wolał ukryć nerwicę syna, wymagającą opieki psychologa. Kiedy on był w wieku Dżordża, dla wszystkich było oczywiste, że „do psychologów chodzą świry i głupki”.

- Sam nie wiem - westchnął. - Na razie nic się nie zmieniło. No, chodź na górę. Wezmę tylko coś do picia.

- Twoi starzy mają dzisiaj drugą zmianę? - zapytała, kiedy nalewał sok ananasowy do szklanek.

- Mhm. Wrócą autobusem wpół do dwunastej - potwierdził. - Ale... ty chyba nie chcesz... teraz...? - przestraszył się nagle.

- Nie, nie, co ty! - roześmiała się i objęła go ramieniem. Dżordź natychmiast zrobił unik. Wzdrygnął się przy tym, jakby jej ręka miała temperaturę lodu na biegunie południowym. Jego reakcja nie uszła uwagi dziewczyny.

- Dżordżyk, z tobą naprawdę niedobrze! - zmartwiła się.

- I nic na to, kurde, nie poradzę! - westchnął. - Doktor Pawlik mówi, że trzeba tylko trochę cierpliwości... Aleja mu już nie wierzę.

Dženifer wypita duszkiem szklanekę soku. Miniony dzień był upalny, zbyt upalny jak na koniec sierpnia.

- A może wyjdziemy do ogrodu? - zaproponowała. - Patrz, księżyc wschodzi.

Usiedli na ławeczce obok kwitnącego krzaka bielunia. Ich wydłużone cienie sięgały rosnącej o dwa metry dalej magnolii. Dżenifer ostrożnie ujęła jego dłoń w swoją. Drgnął jak oparzony pokrzywą, ale nie cofnął ręki.

- No widzisz, chyba już przechodzi! - ucieszyła się. - Ale wiesz... Nie myślałam, że ty... no, rozumiesz... Taki twardziel jak ty i ja...

- Bo ja się tylko zgrywałem. Teraz to rozumiem.

- A ja wolę, że naprawdę nie jesteś taki, jakiego udawałeś - powiedziała bardzo poważnie.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Aha! - przypomniała sobie nagle. - Jeszcze ci nie opowiedziałam najważniejszego. Naomi jest w ciąży. Z Ralfem.

- O cholera! Bardzo dokładnie chronili te jednoorożce!

Roześmieli się. Każde inaczej. Śmiech chłopca zabrzmiał jakoś nienaturalnie. Jakby trochę nerwowo.

- A Samantę przyłapali na gorącym uczynku z synem sąsiadki. Facet jest żonaty, dwa razy starszy od niej. Będzie miał proces o pedofilię.

- Rząd powinien im wypłacić odszkodowanie - stwierdził Dżordż. - Wiesz, widzę, że ze mną jeszcze nie jest najgorzej.

- Właśnie. Może potrafisz się przełamać i... dasz się pocałować?

Było krótko i bynajmniej nie „filmowo” - ale jednak się udało. Chociaż Dżordżowi po tym pocałunku lekko drżały ręce. Doktora Pawlika czekało jeszcze sporo pracy.

Przez chwilę milczeli patrząc na księżyc w pełni. W końcu odezwała się Dżenifer.

- A wiesz? Ostatnio dwa razy widziałam jednoorożca. Za każdym razem w tym samym miejscu, w lesie koło Wyskitnej.

- Niemożliwe! - Spojrzył na nią z niedowierzaniem. - Przecież nie jesteś... eee...

- Nie jestem - roześmiała się. - I mógłbyś powiedzieć jak Zagłoba: „Jam ci to sprawi!” Dlatego jednoorożec do mnie nie podszedł. Pokazał się tylko z daleka i sobie poszedł. Ale obejrzał się kilka razy, jakby chciał, żebym za nim poszła. Miał taką płową grzywę, w słońcu wyglądała jak złota... Aha, i za każdym razem, kiedy on się pokazuje, zrywa się wiatr. Niezbyt silny, ale wieje. Zawsze z północnego zachodu.

- Też chciałbym zobaczyć jednoorożca! - westchnął chłopak. - Mogę tam pójść z tobą jutro?

- Dlaczego nie? Wpadnij do mnie o... zaraz... najlepiej będzie o drugiej.

- Zgoda. A może... Może pójdziemy za nim? Zobaczymy, dokąd nas zaprowadzi...

Tego wieczora Dżordż nie wykonał przepisanej porcji ćwiczeń przy muzyce relaksacyjnej. Trzymając dłoń Dżenifer w swojej, przestał wierzyć w psychologów i empatologów. Uwierzył w coś innego. W Dżenifer i w księżyc w pełni. I jeszcze w jednoorożce...

I w siebie też.

Dżerry Matusiak stał na tarasie rezydencji w podrzeszowskim Lutoryżu i z niepokojem przyglądał się swojemu zwierzyńcowi. Jego kolekcja egzotycznych okazów bardzo dziwnie się tego dnia zachowywała. Kenijska anty-

lopa o smukłej żyrafiej szyi kręciła się w kółko w miejscu, raz po raz nerwowo podrzucając łbem. Kangur, wbrew swoim zwyczajom, tarzał się po trawie jak koń na pastwisku. Jeleń milu biegał wzdłuż ogrodzenia jak szalony. Inne zwierzęta też sprawiały wrażenie niespokojnych, chociaż nie działo się nic, co mogłoby zakłócić ich dolce vita w prywatnym zoo, wolnym od natrętnych widzów, od rozwyrzonych dzieciaków i ich niewiele mądrzejszych rodziców. Tylko na wybiegu dla jednoorożca panował spokój. Zwierzę stało nieruchomo jak posąg. Jego róg mienił się wszystkimi kolorami tęczy w promieniach porannego słońca. Biała sierść lśniła jak śnieg w mroźny dzień...

„Ale dlaczego on się nie rusza?” - zaniepokoił się nagle Matusiak. - „Chyba nie zdechł, do jasnej cholery?! Boby się przewrócił!”

Myśl o utracie zwierzęcia, które kosztowało fortunę i było takim samym przedmiotem jego dumy, jak dokonane w ciągu ostatnich dziesięciu lat udane operacje giedowe, sprawiła mu niemal fizyczny ból. Jednak nie: jego ulubieniec z pewnością był równie żywy jak on sam i - taką Matusiak przynajmniej miał nadzieję - zdrowy jak rydz. Tego oczywiście nie dało się z całą pewnością stwierdzić; jednoorożec był tak płochliwy, że weterynarz mógł się do niego zbliżyć dopiero po użyciu obездwładniacza, a wtedy badanie nie mogło być całkowicie miarodajne. W każdym razie musiał być zdrowy, zdrowszy, niż mogło się do niedawna wydawać: jeszcze tydzień temu, przed wyjazdem Matusiaka na Karaiby, jego sierść nie była taka gładka. Zdawała się jakby skołtuniona, zmechacana.

Antylopa nabrała szybkości, o jaką Matusiak nigdy by jej nie posadzał. Jeleń milu stanął dęba, potem upadł, poderwał się, znów ruszył galopem wzdłuż ogrodzenia, a w końcu zarył kopytami w ziemię obok rosnącej w rogu wybiegu sosny. W wolierze ogłuszająco rozdarły się pawie. Goryl albinos zabębnił pięściami w muskularną pierś. Napięcie rosło, stawało się nie do zniesienia.

I nagle stało się niemożliwe. Jednoorożec, znieruchomiły w posagowej pozie, nagle zerwał się z miejsca. Dwoma susami dopadł krańca wybiegu i z wdziękiem rekordzisty świata w skoku o tyczce przesadził ogrodzenie. Siatkę, której wysokość dwukrotnie przekraczała górny pułap skoku, do jakiego zdolny jest koń rasy arabskiej. Zgrabnie opadł na wszystkie cztery kopyta po drugiej stronie - Matusiak gotów był przysiąc, że lądował telemarkiem - i z gracją pokłusował prosto przed siebie. Na południowy wschód.

- O lopaności! Ki pieron?! - Dziadek Józek nie wierzył własnym oczom. Dziewicą oczywiście nigdy nie był, więc jednoorożca nie zdarzyło mu się spotkać na swej drodze. Prawdę mówiąc, w ogóle w istnienie takich istot nie wierzył.

- Ki ciort? - zawtórowała mu babcia Monika. - Dziecka, widziałyście?

Z dwojga „dziecek”, do których skierowała to pytanie, był w pobliżu tylko najmłodszy z jej wnuków, pięcioletni Dżimi. Jego starsza siostra, siedemnastoletnia Debora, też spędzająca wakacje u dziadków, leżała na czerwonym ko- cu po drugiej stronie jabłoniowego sadu i w centrum jej

uwagi znajdował się Staniej, młodszy syn sąsiada. Dłonie chłopaka coraz śmielej penetrowały ciasną przestrzeń pomiędzy biustonoszem dziewczyny a jego zawartością. Na wołanie babki Debora nie zwróciła uwagi - a szkoda, bo miała niepowtarzalną szansę zobaczenia jednoroźca, teoretycznie utraconą przed trzema laty na strychu starej krakowskiej kamienicy przy aktywnym udziale niejakiego Dżeka Ślusarczyka.

- O, jednolozcie! - Mały Dżimi z zachwytu wsadził palec do buzi. - Ja ich widziałem tylko na oblażku!

Babcia Monika mówiła gwarą, jak wielu mieszkańców tych okolic w czasach jej zapomnianej już młodości. Nie zwróciła więc uwagi na popełniony przez wnuka błąd gramatyczny.

- Dyc te gady podobno nie wyłazom z lassa! - dziwił się dziadek Józek. - A tu patrzcie: rżnom bez środek wsi!

Płowozłoty jednorożec nie raczył nawet ominąć stojącej na jego drodze kopki siana z drugiego pokosu. Wziął przeszkodę bez wysiłku, z co najmniej metrowym zapasem. Drugi z kolei, biały ze srebrnopopielatą grzywą, przebiegł pomiędzy kopkami i jednym skokiem przesadził poletko ziemniaków. Po chwili zwierzęta dobiegły do szosy, niemal przepłynęły - bo skok to zdecydowanie zbyt trywialne słowo - ponad wąską wstęgą asfaltu, przegalopowały przez plac z pomnikiem Zbigniewa Preisnera i po krótkiej chwili znikły za linią horyzontu, na szczycie wzgórza oddzielającego Brzanę od Jankowej.

- Dziadzi cy co? - pokręciła głową babcia Monika.

- Mozie jeście włóca? - odezwał się mały Dżimi. - Ja chciem, zięby oni włócili!

- A niech se lecom w pierony! - mruknął dziadek Józek.

Jednorożcom ta zasadnicza różnica zdań była raczej obojętna.

- Co ty pieprzysz, Robin?! - wrzeszczał wicepremier Doboszewicz do słuchawki. - Nie truj dupy, idź lepiej do psychiatry!

- Nie wierzę. Albo ty świrujesz, albo twoi ludzie. Albo cię robią w konia.

Szef gabinetu zastygł w progu jak posąg, a plik wydrukówomal nie wypadł mu z rąk. Wiedział, że dzieje się coś niezwykłego i sprawy, z którymi przyszedł, będą musiały poczekać.

- Mówisz, że ile ich jest? - pytał wicepremier już spokojniejszym tonem.

- Psiakrew, to chyba cała populacja!

- Robin, podstaw mi neopter, szybko! Muszę osobiście sprawdzić, co tam się dzieje! Harry! - zwrócił się do szefa gabinetu. - Lecimy w Bieszczady! Jednorożce wykręciły nam niezły numer!

Pasażerowie wiszącego nad koronami bieszczadzskich buków neoptera służb specjalnych obserwowali z góry

niezwykły widok. Polana na przełęczy pod Magurą Stuposiańską pełna była zwierząt, i to nie byle jakich. Same jednorożce. W większości białe, niektóre złotopłowe. Wspinają się pod górę, podchodząc kolejno do dwóch drobnych ludzkich sylwetek pod starym bukiem. Po obu stronach drzewa stały dwa sklecone z gałęzi szałas. Dziewczyna w jasnoniebieskiej bluzce gładziła każde zwierzę po jedwabistej grzywie, a jednorożce przez krótką chwilę poddawały się tej pieszczocie, po czym ustępowały miejsca następnym. Wyglądało to tak, jakby królowa w towarzystwie księcia małżonka przyjmowała hołd swoich poddanych.

- Podłącz kamerę do laptopa - polecił wicepremier.

- Daj sobie spokój, Majkel - powstrzymał go generał Tybura. - Już to sprawdziłem w rejestrze PESEL. To rzeczywiście jest ta Stella Kiziorek. A ten chłopak to Jacek Pawłowski.

- I jak tu rządzić krajem, kiedy świat jest taki porąbany! - westchnął Doboszewicz.

- Ale mamy to, czegośmy chcieli - zauważył Bednarz.

- Wszystkie jednorożce są na wolności.

- Ano są... I okazuje się, że wiemy o nich dużo mniej, niż nam się wydawało. - Generał pokiwał głową w geście filozoficznej zadumy.

- Odlecieli - zauważył chłopiec.

- I bardzo dobrze - powiedziała dziewczyna.

- Wiesz, Stella, wydaje mi się, że ja przez całe życie czekałem na ten dzień...

- Zaczynasz być romantyczny, Jacuś.

- Zawsze byłem. A co, nie wolno?

- Wolno, wolno... Dopóki sana świecie jednorożce.

Usiedli na kępie trawy. Jednorożce wciąż otaczały ich regularnym półkolem. Zdawały się czegoś wyczekiwać.

- Znow lecą... Nie, to nie oni. Stella, co to jest?

- Nie widzę. Ale zaraz się przekonamy. O, jeszcze jeden jednorożec! Dlaczego się spóźnił?

- Zmęczyłaś się?

- Mhm. - Dżenifer posuwała się naprzód ostatkiem sił.

A biały jednorożec o płowozłotej grzywie raz po raz się oglądał, zupełnie jakby ich ponaglał: „Chodźcie szybciej!”

- Gdyby tak mieć neopter! - westchnął chłopak. - Albo chociażby balon!

- Pomarzyć sobie można, Dżordżyk! Ale mamy tylko własne nogi.

- Zaczekaj! - Dżordż stanął jak wryty i zrzucił plecak na ziemię.

- Co się stało? - zaniepokoiła się.

- Ja go od czerwca nie rozpakowałem! To znaczy od tego dnia, kiedy... wiesz...

- I co z tego?

- A to! - Chłopak wyciągnął plastikowe pudełko. - Zobacz, zamek reaguje tylko na moje odciski palców. Nikt inny go nie otworzy. A w środku...

Pudełko otworzyło się z cichym trzaskiem. W środku był karton z rysunkiem roznegliżowanej dziewczyny o wyrazistym makijażu.

- Każdemu w Bractwie Faunów dali taki zapas - wyjaśnił Dżordż. - Wiesz, że ja potem już nie... Wszystko zostało. Wiesz, ile powietrza wejdzie do każdej z nich?!

Dziewczyna przez chwilę mu się przyglądała marszcząc brwi.

- Po-wie-trza? - zapytała w końcu, zabawnie przechylając głowę w lewo. - I co z tego?

- No przecież... Nie rozumiesz, co chcę zrobić?!

- Rozumiem cię, Dżordżyk. Tylko że... Powietrze wazy... tyle samo co powietrze. Rozumiesz?

Dżordż palnął się otwartą dłonią w czoło.

- No jasne! Kurde, ale ze mnie palant! Zaraz... - rozejrzał się. - Gdzie my jesteśmy? Czy przypadkiem nie koło leśniczówki, tej między Nowicą a Owczarami?

Gajowy Maruszewski miał tego dnia ciężkiego kaca. Snuł się po leśniczówce udając, że robi generalne porządki (na szczęście leśniczy Chromiec przydzielił mu właśnie to zadanie, a do lasu, do prawdziwej roboty, wysłał Puchalskiego i Szymusiaka), i popijając na przemian to mineralną, to zwyczajną kranówkę.

Nie pomagało.

„Może by tak se zrobić herbaty?” - pomyślał. Nalał wody do czajnika, postawił na kuchence, wziął do ręki ustrojstwo made in Belarus, zwane ze wschodniosłowiańska zażygałką... Nic. Jeszcze raz przekręcił kurek. Nie usłyszał charakterystycznego „sss”. Czyli nie było gazu.

Jednym słowem - chyba wysiadł agregat. Kuchenka w leśniczówce chodziła na metan z fermentujących odpadów, których w lesie nie brakowało.

Maruszewski wstał i ciężkim krokiem ruszył na miejsce przypuszczalnej katastrofy. Już z tarasu dojrzał przyczynę: jakaś para małolatów coś majstrowała przy zaworze.

- A wy co, chceta las podpolić? - wrzasnął. A właściwie zamierzał wrzasnąć; po ekscesach poprzedniego wieczora głos miał słaby i ochrypły, jakby go ropna angina dopadła, i to razem z zapaleniem strun głosowych.

Rozczochrany czternastolatek uniósł głowę, ale natychmiast wrócił do przerwanej czynności. Gajowy przez parę sekund się zastanawiał, czy ma pójść po dubeltówkę czy może użyć wobec sabotażystów jakiegoś innego narzędzia. W końcu jego spojrzenie padło na zardzewiałą sztychówkę, pokrytą od poprzedniego popołudnia zaschniętym czarnym szlamem. Wziął łopatę do ręki, podniósł głowę... a potem podnosił ją coraz wyżej i wyżej. Równocześnie jego dolna szczeka wykonywała nieco wolniejszy ruch w przeciwnym kierunku, zgodnie z wektorem ziemskiego przyciągania, aż w końcu dotknęła zmiętego kołnierzyka koszuli.

„Kurwa, co jest, delirka?!” - pomyślał spanikowany. - „Przecieżem się chyba aż tak nie schłół wczora?”

- Podoba mi się ta technika lądowania - roześmiał się Jacek. - Czym on te gumki przekłuwają?

- Dziewczyna zawsze ma przy sobie coś ostrego. Najczęściej szpilkę. Ja nie wiem, jaką ten lateks ma wytrzymałość. Chyba że ty...

- No przecież wiesz, że ja nie... - Jacek spojrzał na nią z wyrzutem.

Nietypowy latający wehikuł łagodnie podchodził do lądowania po stycznej do krzywizny stoku, nie narażając swoich pasażerów na niebezpieczeństwo połamania kości w zderzeniu z ziemią. Dżordż co kilkanaście sekund przekłuwiał jeden z czubatych baloników, a zaraz po nim, dla zachowania równowagi, inny po przeciwnej stronie. W końcu wylądowali na skraju polany. Jednorożec o białej sierści i płowozłotej grzywie wyprzedzał ich o kilkanaście metrów. Pozostałe zwierzęta rozstąpiły się, tworząc szeroki szpaler. Spóźniony jednorożec wspinał się pod górę, a Dżordż i Dżenifer w ślad za nim. Zwierzę dotarło w końcu na przełęcz. Jego głowa, ozdobiona okazałym rogami, spoczęła na kolanach Stelli.

- Czy my możemy go pogłaskać? - zapytał nieśmiało Dżordż.

- Nie wiem. Spróbujcie. Skoro już tu jesteście, to chyba powinno się udać.

Dżordż poczuł, że jego serce łomocze, jakby chciało połamać wszystkie żebra. Widział, że z Dżenifer dzieje się dokładnie to samo. Wyciągnął rękę. Ona też. Ich dłonie spotkały się ponad grzbietem zwierzęcia, a potem spoczęły na jego miękkiej sierści.

- Przyprowadził nas tutaj... - szepnęła dziewczyna.

- Do ciebie nie mógł przyjść, ale to nie znaczy, że ty nie mogłaś przyjść do niego - powiedziała Stella.

- To one wszystkie tam zostały na tej polanie? - zapytała z niedowierzaniem Linda Bogusławska, konserwatorka powierzchni płaskich w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

- Gdzie tam, porozłaziły się po lasach. One nie są takie głupie. Gdyby się tłoczyły w jednym miejscu, toby im po tygodniu żarcia zabrakło. - Majkel Doboszewicz przedstawił jej sytuację najprościej, jak potrafił.

- A ci myśliwi nie zaczną na nie polować?

- Stella twierdzi, że nie. Ale pod warunkiem, że ona z Jackiem tam zostanie.

- Jak z Jackiem, to niedługo będzie po ptokach.

- Podobno nie. A później, za parę lat, kiedy już będą po ślubie, to Stella znajdzie sobie następczynię. Podobno to miejsce jest dla jednorożców jakieś... no, po prostu ma w sobie coś... I dopóki tam czuwa ktoś taki jak ona...

Wicepremier odwrócił się na lewy bok, przytulił twarz do obfitego biustu Lindy i ciężko westchnął.

- Wiesz, Linda, ja z tego nic nie rozumiem. To jakaś czarna magia. A ja w żadną cholerną magię nie wierzę...

- A może powinieneś, szefuniu. Niekoniecznie w czarnej. Może białą, złotą, zieloną, seledynową...

- I pomyśleć, że takie bydłatko, taki zwyczajny koń, tylko rogaty...

Linda Bogusławska, konserwatorka powierzchni płaskich, pieszczotliwie skubnęła parę włosków rosnących pomiędzy blizną po operacji wyrostka robaczkowego a pieprzykiem na lewym biodrze ministra i zapytała retorycznie:

- Szefuniu! Co ty, kurwa, wiesz o jednorożcach?

BOGOWIE SĄ ŚMIERTELNI

...A jeśli przyjdzie taka chwila, że będziesz musiał umrzeć? A jeśli taka chwila przyjdzie?...

Stałem. Patrzyłem. Ciężki, chrapliwy oddech odrywał z płuc kawały spopielałej tkanki. Płułem krwią wymieszaną ze śluzem. Strużka gęstej śliny spływała spomiędzy obwisłych warg, a ja nie miałem siły ani powodu, by ją zetrzeć. Przez załzawione, zaropiałe oczy starałem się ujrzeć świat, ale rozmazane białe plamy nie pozwalały stwierdzić, czy świat wciąż istnieje. Rozdygotane nogi z trudem utrzymywały ciało w pozycji pionowej. Zapadnięte piersi małymi łykami chwytały powietrze.

Była wiosna.

Wyciągnąłem przed siebie dłonie. Chciałem złapać wiatr i zetrzeć mgłę z oczu. Nie umiałem. Gdybym mógł płakać, spróbowałbym. Głowa kiwała się na boki. Szyja już od dawna zapomniała o wszystkim z wyjątkiem jednego - jak przepuścić przez wypaloną krtań codzienną dawkę prochu. Myśl o nim przywołała nowy atak kaszlu. Trzewia wyły ściskane głodem - innym głodem. Nadchodziła pora szklanej tulejki.

Gdzieś śpiewał skrzydłak.

Trzymałem w palcach ampułkę. Wiedziałem, co zawiera - z czasu, zanim rozbiła się moja klepsydra. Przerzeczyste, migoczące kryształki. Zaproszenie od boga na suty obiad, po którym wracałem jeszcze bardziej głodny. Gdybym mógł wycić, spróbowałbym. Wysuszona skóra szeleściła przy każdym oddechu. Konwulsyjne dygotanie objęło całe ciało. Pragnąłem tylko jednego - upaść na ziemię, wetknąć w usta szklane marzenie, zgryźć rozchobotanymi, próchniejącymi zębami... Dać szerniałemu językowi smakować niepowtarzalną gorycz wzlotu. Wciąż stałem, wciąż miałem wyciągnięte dłonie. Rozdygotany, pokonując mdłości, na rachitycznych nogach - wciąż stałem...

To było pierwsze zwycięstwo.

Palce wolno obracały ampułkę. Nie znały niczego innego poza tym dotykiem, tą pieśczęcią, tą rozkoszą. Cieszyły się. Nie wiedziały jeszcze o decyzji podjętej przez chorą świadomość. Ubrałem decyzję w myśl, zamieniłem w rozkaz, przekazałem... Nic. Dłoń pozostała nieruchoma. Nie wykonała polecenia. Gdybym mógł rozorać sobie paznokciami twarz, spróbowałbym. Z ust ściekała brudno-czerwona ślina. Rzęziłem wyszarpując każdy oddech. Ołowiane sekundy oblepiały ciało, nieubłagane gnąc je ku ziemi. Podjąłem nowy wysiłek, ale już inaczej. Kłamałem. Oszukiwałem moją dłoń. Nie wierzyła. Była ostrożna. Trzeba, trzeba, trzeba - powtarzałem - to już usta, już język... A potem krzyknąłem: teraz!!! Dłoń dała się nabrać. Palce skruszyły delikatną, szklaną osłonkę, a przezroczyście kryształki uciekły pociętym opuszkom, ginąc na zawsze gdzieś u moich stóp.

To było drugie zwycięstwo.

Trzecie zwycięstwo przyszło, gdy postąpiłem krok naprzód. Dwie sękaty łodygi nazywane moimi nogami ugięły się od wysiłku, ale nie upadłem. Dygocząc jak galareta utrzymywałem ciężar całego nieba. Gdybym mógł się uśmiechnąć, spróbowałbym. Ziemia chciała uciec spod

stóp, więc walczyłem z nią wspomnieniem czegoś, co przed śmiercią nazywałem wolą. Czuję, że od huku krwi pękają bębenki, że z nosa cieknie czerwona strużka. Oczy płakały ropnymi łzami. Powinienem zwalić się na piach... Nie, wciąż stałem. Bóg nie wierząc patrzył zdziwiony.

Delikatnie grzała Ti-Dejanira.

Wolno zacząłem zginać nogi. Chrząściły zrosnione w stawach kości, jęczały wyschnięte ścięgna. Opuszczałem się coraz niżej. Charkotliwy oddech ginął głuszony przez łomot serca. Zimny pot rosił czoło. Myśli zawodziły: dość! dość!! dość!!! Nie słyszałem, nie chciałem usłyszeć, dopóki nie zrobiłem pełnego przysiadu. Wtedy coś pękło. Upadłem twarzą na ziemię, ustami dotykając wilgotnego piachu. Gdybym umiał się modlić, spróbowałbym.

Tak dobiegł końca pierwszy dzień.

Następnego ranka przejrzałem. Rzeczywiście była wiosna. Padał deszcz. Dobre krople spłukiwały z oczu ropne narośla, obmywały pozlepiane, kruszące się włosy, ściekały po zgarbionych plecach. Zabierały ze sobą brud, w zamian dając pozory świeżości. Stałem roztrzęsiony, słaby, obolały. Wciąż plułem śluzem wymieszonym z krwią. Ale już nie musiałem okłamywać dłoni, by skruszyła przekłętą ampułkę. Poszło łatwo, łatwiej, niż oczekiwałem. To mnie zmyliło. Pewnie zrobiłem krok i w tej samej sekundzie nogi złamały się w kolanach, a ja runąłem na ziemię. Gdybym mógł kłąć, spróbowałbym. Zamiast tego dźwignąłem się do pozycji pionowej. Był to nieludzki trud. Oderwał ze mnie kawał... Nie, nie życia, umarłem już dawno temu. Spróbowałem raz jeszcze, ale już bez głupiej wiary. Krok. Odpoczynek. Przysiad. Odpoczynek. I tak aż do omdlenia - dzisiaj.

Minęło siedem skruszonych ampułek.

Nauczyłem się chodzić. Tydzień walki przypominał ciało, jak wygląda ruch. Potrafiłem przejść od mojej nory do skalnego zbocza - blisko trzysta metrów. To było bardzo dużo, a jednocześnie bardzo mało. Kiedyś, jeszcze przed dniem śmierci, do poruszania się używałem mięśni. Teraz wykorzystywałem ich wspomnienie. Musiałem wrócić... Do czasu sprzed szklanych dni. Przysiady, skłony, stokrotne dźwiganie kamieni, a wszystko do wtóru pękających ampułek. Dzień po dniu, aż do skutku.

Przyszło lato.

Raz, dwa - wdech - trzy, cztery - wydech - raz, dwa - wdech - trzy, cztery - wydech - raz, dwa... Płuca pracowały jak miechy, czasami tylko stęknęły charkotliwą nutą i na powrót wracał czysty oddech. Biegłem leśną przecinką. Drzewa w pędzie zlewały się w jednolicie brunatny mur. Stopy lekko dotykały ziemi, nogi niczym sprężyny podbijały ciało do długich skoków. Od pędu gwizdało powietrze, wiatr uderzał w odkrytą pierś, osuszając ją z ciężkich kropli potu - innego niż w czasach krystalicznego proszku. Elastyczna skóra uwalniała go bez wstępu, był jej łzami wdzięczności. Mknąłem rozkoszując się wracającą siłą. Mięśnie grały równą melodię. Jeszcze nie były sprawne jak przed śmiercią, ale już czuły rodzącą się moc. Pchały mnie do przodu radośnie i ochoczo, smakowały wysiłek niczym najwspanialszy nektar.

Był upalny dzień.

Dobiegłem do skalnego urwiska. Miało może ze czterysta metrów wysokości. Wyglądało na idealnie pionowe. Jeśli istniały w nim jakieś szczeliny, rysy czy pęknięcia - to z miejsca, w którym stałem, nie mogłem ich dostrzec. Należało podejść bliżej. Podszedłbym, gdyby nie blokujący ścieżkę szary, lekko wrośnięty w trawę gład. Wziąłem kilka głębokich oddechów. Zrobiłem parę skłonów rozluźniających napięte mięśnie. Dłonie przylepiły się do rozgrzanego kamienia, szukając miejsc dla zaczepienia palców. Znalazły. Chwyty były pewny i mocny. Chwilę trwałem w bezruchu, a ciało szykowało się do próby. Gdybym umiał prosić, spróbowałbym.

Wiał delikatny, ciepły wiatr.

Szarpnąłem. Ściągną wyprężony jak struny, zbrylone mięśnie wypchnęły poza skórę rozciągnięte krwią żyły, zajęczał kręgosłup, a stopy z wolna zaczęły wbijać się w ziemię. Trwało to nie dłużej niż sekundę, dwie, ale wystarczyło, bym zrozumiał, że nie dam rady. Puściłem. Czas narodzin jeszcze nie nadszedł.

Zaczęły żółknąć liście.

Trawa wokół gładu zamieniła się w ubite klepisko. Każdego dnia promienie zachodzącej Ti-Dejaniry spotykały mnie pochylonego nad skalną bryłą i zawsze widziały tylko jedno: jak odchodzę, a gład zostaje. W tej walce żadna ze stron nie chciała ustąpić. Dziwny pojedynek trwał aż do końca jesieni. Nadszedł dzień, który musiał nadejść - doskonalili się tylko jeden z przeciwników. Stałem nad gładem jak wczoraj, jak tydzień temu, miesiąc, jak zawsze... Dmuchał chłodny wiatr. Z drzew leciały wyschnięte liście.

Ti-Dejanira w purpurowej aureoli chyliła się ku zachodowi.

Dłonie same odnalazły dogodny uchwyt, stopy pewnie wsparły się na ubitej ziemi. Od ramion, poprzez wyprężony grzbiet, aż do lekko przygiętych nóg przebiegł dreszcz trwożliwego oczekiwania. Spojrzałem na czerwono rozjarzoną kulę. W jej blasku odnalazłem drwinę, ironiczne przekonanie, że i tym razem odejdę pokonany. Tak śmiała się kiedyś ona... Odczekałem, dopóki gniew nie rozszedł się po wszystkich tkankach. Równie spokojny jak oczekujący gład wydałem mięśniom polecenie. Odpowiedziały z siłą, która mnie samego zdziwiła. Niczym pneumatyczne podnośniki ciągnęły dłonie zrosnione z gładem. Dźwigar kręgosłupa zakołysał się, ale tylko przez chwilę potrzebna dla znalezienia dogodnej pozycji - później już milimetr po milimetrze parł w górę. Czuję, że ścięgną rozrywają skórę, że kruszą się zaciśnięte aż do absurdu zęby, że od potwornego wysiłku dygocą uda, że już nie pot, a krew spływa po skroniach, że płuća zalewają fale ukropu, że łomocące serce rozwala klatkę z żeber, że... Drgnął wrośnięty w ziemię gład... Prostowałem grzbiet, wlokąc ku górze skalną bryłę. Przeciw ziemi, przeciw słońcu, przeciw ludziom. Przeciw wszystkiemu i wszystkim targałem ten cholerny kamień coraz wyżej i wyżej. Z krtani uchodziło charkotliwe rzężenie będące płaczem albo śmiechem - dopóki nie stanąłem wyprostowany. Powolnym ruchem przesunąłem go na bok i zepchnąłem w rozpadlinę. Pękło szklane niebo i spadł deszcz krystalicznego proszku: po raz ostatni.

Zapadł zmierzch.

Nad skalne urwisko wróciłem następnego dnia rano. Stałem przy pionowej ścianie. Wahanie czy niepewność miałem za sobą. Nie umiałem już cierpliwie czekać, a czas uciekał bardzo szybko. Wzrokiem wyszukałem pierwszą szczelinę, palce znalazły w niej oparcie. Podciągnąłem

ciało. Prawa stopa złapała minimalną wypukłość, wystarczającą, by ponieść mnie kilka centymetrów wyżej. Druga ręka sunęła po gładkiej ścianie tak długo, aż odnalazła drobną rysę. I znów o kawałek bliżej nieba. Naga pierś szorowała o skałę, jakby chciała do niej przylgnąć i ulżyć dłoniom. Palce wyszukiwały najdrobniejsze pęknięcia, nacieki czy nierówności. Wspinałem się od zagłębienia do zagłębienia niczym włochata mucha, ale gdybym odpadł, nie mogłem liczyć na skrzydła. Oczywiście nie próbowały spoglądać ani w dół, ani w górę, zamieniły się w mechanizm wyszukujący szczeliny, kontrolujący ich głębokość, szacujący wytrzymałość. Ja cały byłem teraz doskonałą maszyną do pełzania po skalnej ścianie. I pełzałem, do diabła, wbijałem w skałę pokaleczone palce, na obolałych ramionach podciągałem ciało, stopami odnajdowałem nierówności, na których nie mogły wesprzeć się nawet źdźbła trawy. Byłem mocny i... Głupi.

Zaczęło się w połowie ściany. Od lewej dłoni przestały docierać sygnały bólu. Kolejne chwile zupełnie pozbawiły mnie czucia nie tylko w ręce, ale w całej lewej stronie ciała. Nie miałem ramienia, barku, biodra, nogi... Myśli panicznie szukały drogi ratunku, ale nie istniała inna niż dwustumetrowa przepaść w dole. Bałem się. Pamiętałem podobne ataki jeszcze z czasu szklanych ampułek. To mogło potrwać kilka sekund albo kilka godzin. Nie miałem szans, nawet gdyby potrwało kilka minut.

Cholernie rozbawione słońce śmiało się do rozpuku. Wisiałem na prawej ręce, przeklinając bezwład wlokący mnie w przepaść. Gdybym umiał płakać, spróbowałbym. Za chwilę przyjdą wizje, za chwilę umrę naprawdę - myślałem, powoli rezygnując z kurczowego chwytu dłoni...

Bezwład minął równie szybko, jak się pojawił. Do kleiłem do skały lewą stroną ciała, dając chciwym palcom oparcie. Wiedziałem, że paraliż wróci, ale nie wcześniej niż przed upływem dnia. I od pierwszych chwil będą mu towarzyszyły urojenia. Zawsze po krótkim ataku przychodziły te przekłete wizje, ale dopiero nazajutrz. Jeszcze żyłem. Jeszcze miałem czas. Organizm już zapomniał o chwilowej bezsilności.

Ponowiłem wspinaczkę.

Dalsza jej część nie kryła już żadnych niebezpieczeństw - po kilkunastu metrach trafiłem na wypłukany przez wodę żleb. Dostępnie i łatwo - zważywszy na poprzedni trud - dotarłem do szczytu. Kiedy ciało pokonało krawędź, między wspinaczką a wypoczynkiem nie chciało zrobić już ani ruchu więcej. Leżałem na skraju płaskowyzu, patrząc bezmyślnie w niebo. Nie było wcale tak wysoko, dotykałem go czołem, było moje - i to bez krystalicznego proszku.

Wiatr niósł po równinie tumany pyłu.

Zimno i głód sprowadziły mnie z nieba na ziemię. Wstałem z żalem, że nie jestem już bogiem. Jako człowiek pocztapałem w stronę ogromnego, suchego, widniejącego w oddali drzewa. Z ironicznym skrzywieniem ust pomyślałem, że można je nazwać Drzewem Dobrej Nadziei. Wielki pień wspierał się na wpół odsłoniętych korzeniach. Wyglądał jak ogromna larwa na sękatych odnóżach. Wrażenie to potęgował bezmiar płaskowyzu, z którego nie wyrastała nawet sucha łądyga. Nic, tylko pył okrywający równinę. I drzewo, które tkwiło tu niczym chory majak.

Schylony wszedłem pod kopułę korzeni. Tutaj zaczął się świat. Tutaj ona zostawiła bilet powrotny. Tutaj rozbiła się klepsydra z krystalicznym proszkiem. Tutaj miała rozpocząć się krucjata. Tutaj było miejsce, o którym marzyłem i którego tak się bałem. Tutaj...

Pokaleczone dłonie nerwowo odgarniały rdzawy pył, ryjąc w splekanej ziemi dziurę do innego świata. Nie trwało to dłużej niż trwożliwa myśl, która nim zagościła w świadomości, już palce trafiły na uchwyt w pokrywie kobaltowego pojemnika. Wyrwałem go spomiędzy zaskorupiałej ziemi jednym gwałtownym ruchem. Dla ramion pamiętnych głazu był to tylko drobny wysiłek niewart wspomnienia. Starłem pył z bocznej klapy identyfikatora. Wyglądał na nieuszkodzony. Wyglądał... Położyłem dłoń w dopasowanym do niej wgłębieniu.

Drobiny rozmiatanego wiatrem pyłu okryły niebo ciężkim woalem.

Przypałała się strach. Bałem się... Bałem się, że test nie rozpozna mojego dotyku. Trzy lata, ponad tysiąc szklanych ampułek... Zakląłbym, gdyby to cokolwiek mogło zmienić... Czysty ton właściwej identyfikacji zabrzmiał jak surmy zwycięstwa, choć nie zwiastował jeszcze nawet wygranej bitwy. Odkoczyło wieko skrzynki, odsłaniając płytę kodową; sygnał podskoczył o ton wyżej, domagając się hasła. Znałem je... Jej imię... Musiałem wiedzieć, komu zawdzięczam powrót - nawet jeśli powrotem nigdy być nie miał. Wytłukłem litery z siłą, od której popękała osłona klawiatury.

Ti-Dejanira utonęła w zakurzonem horyzoncie.

Gdzieś od strony burej mgły dobiegł szum lecącego scoptera. Nie musiałem odwracać głowy, by rozpoznać ten charakterystyczny dźwięk. Boczny stabilizator gubił powietrze - po ostatnim awaryjnym lądowaniu w Pumek-sowych Górach. Trzy i pół roku temu. Przed śmiercią. Diabelnie dawno temu. A teraz ze zdziwieniem patrzyłem na czarny kształt schodzący do lądowania, czując radość na widok tego grata. Stateczniki zaryły się w ziemię, a obłok pyłu wzbudzony odrzutem dysz na moment przysłonił sylwetkę scoptera. Wstałem i bez pośpiechu ruszyłem w kierunku spływającej platformy.

Ciemność rozdarły ostrza jupiterów.

Ze zgrzytem zworników zjechał właz. Jasny owal zapraszał do środka. Nie musiał, wszedłbym, nawet gdyby był ciemniejszy od czeluści piekielnych. Korytarzem dotarłem na poziom załogowy. Dwie kajuty, sterownia, zbrojownia, magazyn - to właściwie wszystko albo aż wszystko... Drzwi do magazynu odjechały dopiero po kopniaku w pneumatyczne zawiasy. Cholerny pył, był wszędzie, miałem tylko nadzieję, że korek jest skuteczną zaporą dla jego wszędobylstwa. Z szafki aprowizacyjnej wyjąłem butelkę. Nie musiałem szukać - nie było w niej nic innego jak tylko szereg wystających z gąbki szyjek. Scotch Egberts - trzy czwarte litra płynu do reinkarnacji ducha. Przełknąłem ślinę starając się przywołać ten smak. Język nie pamiętał, krtań nie pamiętała, żołądek nie pamiętał, ale ja tak...

Koja, choć pokryta pyłem, zachowała odcisk mojego ciała. Nie chciałem pytać, czy tylko martwe przedmioty zatrzymały wspomnienie kogoś, kto umarł tak dawno temu. Z narożnika sanitarnego przytargałem metalową taflę, która po przetarciu i ustawieniu naprzeciwko wyczarowała odbiciem kompana do picia. Ułożony na pryczy wzniosłem butelkę w niemym toaście, a on odpowiedział identycznym ruchem.

Wypiliśmy. Żar zagościł w żołądku. Nie zwlekając zaproponowałem nową kolejkę, odbicie nie protestowało. Trzecia poszła jeszcze szybciej. Poczułem się lekki. Jak zawsze po pierwszych trzech... Następne trzy - też jak zawsze przyniosły rozluźnienie i poczucie rosnącej siły. Kolejne euforię, a potem rozgoryczenie. Tuż przed den-

kiem - oczywiście jak zawsze - przyszła myśl: „Ja wam jeszcze, kurwa, pokażę”...

Kochany.

Leżę w pustym łóżku próbując przypomnieć sobie Twój zapach, dotyk, pieszczotę... Wącham rzeczy, które zostawiłeś szukając namiastki, jaka pozwoliłaby uspokoić myśli i sprowadzić sen. Nie mogę, nie potrafię pokonać tęsknoty. Ona boli, kulę się chcąc oszukać cierpienie, ale ono żyje we mnie pulsującymi falami młodości. Mój kochany, nie wiem, jak wytrzymam, skoro już pierwszej nocy pragnę do szaleństwa mieć cię z powrotem obok siebie. Bez ciebie nie istnieję, bez ciebie duszę się, bo jesteś moim powietrzem, bez ciebie nie widzę, nie słyszę, nie chcę wstawać następnego dnia... Wracaj, kochany, wracaj do mnie...

Twoja Lara.

Z lustra patrzyła na mnie zarośnięta małpa. Cisnąłem butelką w jej głupio uśmiechnięty ryj. Posypało się szkło.

Powietrze w kajucie było gęste jak syrop.

Wstałem i nieco chwiejnie powlokłem się do zbrojowni. Ze stojaków wypełniających całą ścianę wybrałem właściwą na tę okazję broń. Zatrzasnąłem na przedramieniu klamry phobosa, sprawdziłem ładowność komór, przyjrzałem się przewodnicy - wszystko mechanicznie, bez udziału świadomości. Czynności, których nie trzeba kontrolować - które po prostu są... Od zawsze.

Wywlokłem się na zewnątrz. Zimny powiew wiatru przywołał poczucie rzeczywistości. Kiedy z powrotem dotarłem nad krawędź urwiska, kontrolowałem równowagę na tyle, by stojąc nad przepaścią nie zlecieć. U moich stóp leżała zielona dolina. Idiotyczny kaprys natury. Żywy wrzód na martwej planecie. Miejsce, gdzie miałem pojechać się z przyrodą jako humus. Na skraju drzew, pięćset metrów od skalnego urwiska, stał kontener mieszkalny. Codzienna porcja prochów, zarcia i witamin. Codzienny datek na rzecz bolesnej i długiej śmierci.

Za horyzontem kryła się Ti-Dejanira, a wschodziła Eltenera.

Przerzuciłem celowniki phobosa na podczerwień. Ustawiłem wiązkę na rażenie ciągłe. Spokojnie, płynnym ruchem uniosłem broń na wysokość oczu, a one bez trudu odnalazły czerwoną plamę zasobnika energetycznego - na przecięciu nitek celowniczych. Gdybym chciał wygłosić mowę, spróbowałbym. Zamiast tego nacisnąłem spust. Dom na skraju lasu rozgorzał osłepiającym blaskiem. Biały płomień już bez mojego udziału przeskoczył na najbliższe drzewa i w akompaniamencie trzasku pękających pni pognał w głąb kotliny. Wrota piekieł zostały otwarte. Pozory życia ginęły w ognistej pożodze. Rdzawy pył radośnie tańczył wokół mnie. Wracała równowaga. Martwe to martwe - bez niedomówień.

Zawróciłem w stronę scoptera.

Znowu chciałem zabijać. Znowu umiałem nienawidzić. Znowu byłem żywy...

Grzegorz Drukarczyk

ANDRZEJ MISZCZAK

STACJA ASHIEGO

*Panu
Zbigniewowi Przyrowskiemu*

Wdusił przycisk i potarł policzki. „Przydałoby się ogolić” - pomyślał. Kolorowe logo Katanga Mining rozbłysło na holoekranie, atakując oczy feerią barw. „Mogliby pomyśleć o jakimś innym znaku rozpoznawczym kompanii, jeśli już koniecznie chcieli zmienić ten stary” - westchnął smutno, wspominając kilka poprzednich wersji logo. Tak, pamiętał ich siedem czy osiem. To obecne zupełnie mu się nie podobało, ale i tak od kilku tygodni było obowiązującym znakiem Katanga Mining.

- Ashi Mboko - usłyszał swoje nazwisko wypowiedziane przez dyżurnego, który siedział w przeszklonym budynku gdzieś na Scolariusie IV. Moment później rozległo się pytanie, zadane makabrycznie przesłodzonym głosem: - W czym mogę pomóc? - Nowi dyżurni, ci, co nadeszli wraz z nowym znakiem graficznym, mieli chyba w zakresie obowiązków przesadną uniżoność. W pakiecie był też szeroki uśmiech, jakiego Ashi, choćby nie wiadomo jak się starał, nie byłby w stanie skopiować.

- Chciałem... - Przygryzł wargę. - Ogon komety rozpadł się wczoraj o 22.20 czasu lokalnego. Komplet danych zaraz prześlę, podobnie jak i dokumentację fotograficzną i filmową z teleskopu.

- Dziękujemy, Ashi Mboko. - Nerwowy skurcz przebiegł po twarzy chłopaka. - Dział Naukowy Katanga Mining przeleje wynagrodzenie na twoje konto.

Ashiemu wydało się, że dyżurny zająknął się przy podziękowaniach. Pewnie był jeszcze niedoświadczony, na pewno trochę nieśmiały... Wiedział, że rozmawia z Ashim Mboko, z t y c h Mboko... „I się chłopaczek stremował” - pomyślał z sympatią Ashi.

- Coś jeszcze, Ashi Mboko? - zapytał młodzieniec już pewniejszym głosem.

- No... tak. - Ashi zerknął na ekrany umieszczone na ścianach dyspozytorni. Pokazywały otaczającą dolinę góry skapane teraz w srebrze Odogana, jedyne księżycy jałowej Mtwari. - Nadal nie odebraliście automatów górniczych, które już dawno naprawiłem. Na pewno przydałyby się... - urwał nagle. Był zły na siebie, że tak nieporadnie mówi. „Nie może być inaczej - usprawiedliwił się sam przed sobą - skoro od tylu lat otwieram gębę raz na parę miesięcy do pilotów statków zaopatrzeniowych. Nie dziwota, że jak już się odezwę, to język się płacze...”

- Dziękujemy, Ashi Mboko. - Ashi zapragnął przytulić chłopaka, powiedzieć mu, żeby się nie denerwował, że nabierze doświadczenia, że nie z takimi ludźmi jak on, Ashi Mboko, przyjdzie mu rozmawiać. - Dział Transportu Katanga Mining wyśle w najbliższym czasie do układu 133 Karlshamn statek transportowy. Powiadomimy cię, Ashi Mboko.

W centrali konsekwentnie nie uznawano jego nomenklatury. Mtwari było dla nich tylko 133 Karlshamn IV,

a Odogan jej bezimiennym, niewartym nazwy satelitą. „Niech tam - pomyślał Ashi z lekkim rozżaleniem - dla mnie zawsze będą to Mtwari i Odogan, jak nazwał je tata...”

- Dobrze. Czekam - rzekł na głos.

- Do usłyszenia, Ashi Mboko - usłyszał jeszcze, zanim dyżurny przerwał połączenie.

- Do usłyszenia - powiedział Ashi do ciemnego już holoekranu. Wzruszył ramionami, po czym przeniósł wzrok na monitor pokazujący góry.

- Nie mogę mieć tętna 190, stary gracie - warknął, zrywając rzepy czujników i otwierając panel automatu. Wymienił jeden z układów i znów zatrzaskał klapkę.

- Dobra, jeszcze raz - mruknął pod nosem. Z półki wziął starą, drukowaną jeszcze na papierze książkę, którą zostawił tu ostatnim razem. Zaczął czytać.

- Kolego Nygren - powiedział jakimś dziwnym głosem. Mały doktor wziął od niego słuchawki.

- Co?... - prawie bez tchu, drżącymi wargami wyszeptał Rohan. Aparat nazywał się „opukiwaczem grobów”, przynajmniej w pokładowym żargonie. U zmarłego, którego śmierć zabrała niedawno, albo gdy nie doszło do rozkładu ciała, jak w tym wypadku na skutek niskiej temperatury, można było „podstuchiwać mózg”, a właściwie to, co stanowiło ostatnią treść świadomości.

Skończył, przejechał dłonią po sfatygowanym grzbiecie woluminu i położył go na kolanach. Zerknął na automed, którego bursztynowe światło mrugało do niego wesoło, i przyjrzał się analizatorowi zabarwienia emocjonalnego głosu. Jasna czerwień wskazywała na dość duże zdenerwowanie Ashiego. Powstrzymał się przed kopnięciem beczałki automatu. Ograniczył się do nerwowego warknięcia. Detektory śledzące napięcie mięśniowe i wydzielanie potu również pokazywały niestworzone odczyty. Przetarł dłonią po suchym czole i pokręcił głową z dezaprobatą. Potem wyszedł z ambulatorium. Gdyby mógł, trzasnęłyby drzwiami. Te jednak zamknęły się za nim samoczynnie z cichym sykkiem.

- Tato, zobacz! Odogan... on... on znika... Tato! - rozszeszczał się i podbiegł do ojca. Stali w dyspozytorni i patrzyli w ekrany. Zebrali się tam chyba wszyscy: tata, mama, Onoku - szef diagnostyki, Keri i Wamete - technicy, Lori - prowadząca bar, jedyna biała na Mtwari. Było też trzech pilotów, których statki naprawiano właśnie w stacji, i chyba ze trzydziestu mechaników. Odogan zniknął...

- Bogini nocy Ahnu nakryła małego Odogana swoim czarnym płaszczem... - powiedziała mama. Tak jak ja teraz ciebie - roześmiała się i nakryła Ashiego swoją ciemną szatą. Mały Ashi również wybuchnął śmiechem.

- Keshi - powiedział z wyrzutem ojciec - tyle razy prosiłem cię, żebyś nie opowiadała dziecku tych klechd... Synku, patrzysz na zaćmienie księżycy tej planety, nazwanego przez nas Odogan. - Teraz tata przytulił Ashiego. Obserwowali zaćmienie do końca. Ashi wpatrywał się w ekran jeszcze długo po tym, jak Odogan odzyskał blask. Jeszcze długo po tym, jak wszyscy inni rozeszli się do swoich zajęć, ponaglani suchym głosem ojca, Traore Mboko, właściciela stacji naprawczej.

Ashi zamyślił się i wyjął kryształ z odtwarzacza. Opis na pudełku nie pozostawiał wątpliwości. Obejrzał raz jeszcze wydarzenia sprzed siedemdziesięciu lat, nagrane zimnym okiem kamer monitoringu.

* * *

Naprawdę nie mógł znieść tego logo. „Zatrudnili jakichś młodych, szalonych dizajnerów. Komu przeszkadzał stary, stonowany, dobrze zaprojektowany znak kompanii? Niech to szlag...”

- Ashi Mboko - usłyszał z ekranu. Zmełł w ustach przekleństwo. „Tak jakbym nie wiedział, jak się nazywam...” - W czym mogę pomóc?

- Po pierwsze, może ktoś raczyłby odebrać naprawione automaty górnicze. Sprawdziłem je raz jeszcze, są sprawne. Po drugie, zepsuł mi się automed. Szczerze powiem, że... - zawahał się chwilę - ...nie mam pojęcia, co się w nim spieprzyło. Nie wiem... - powtórzył, dając wyraz swojej bezradności.

- Dziękujemy Ashi Mboko. - Na twarz dyżurnego wpełzł jakiś grymas. - Dział Transportu Katanga Mining wyśle w najbliższym czasie do układu 133 Karlshamn statek transportowy. Powiadomimy cię, Ashi Mboko.

- A co będzie z automedem? - zapytał ostro.

- Przekażę twoją prośbę do Działu Zaopatrzenia. Dział Transportu Katanga Mining wyśle w najbliższym czasie do układu 133 Karlshamn statek transportowy. Powiadomimy cię, Ashi Mboko.

- Dobrze - rzucił oschle Ashi. - Czekam. - Rozłączył się pierwszy.

* * *

Skafander dopasował się do jego sylwetki. Zdjął z półki hełm, przetarł szybkę i włożył go pod pachę. Wmaszerował do windy.

Poziom zero - powiedział głośno. Przez chwilę nic się nie działo, jakby winda nie wiedziała, co ma zrobić. Miała prawo zapomnieć, tak dawno nie wychodził na powierzchnię... Przypomniała sobie jednak i płynnie, bez najmniejszego szarpnięcia, poczęła wyciągać Ashiego z podziemi. Uśmiechnął się, kiedy okazało się, że winda ruszyła bez żadnego zgrzytu. Naprawił ją wreszcie po wielu tygodniach, podczas których nie mógł na to znaleźć czasu. Były ważniejsze naprawy, potem kometa. A szarpanie windy było uciążliwe. Za każdym razem kiedy zjeżdżał do magazynu czy siłowni, łąpał się na tym, że oto solennie przyrzeka, iż zaraz naprawi mechanizm windy. I zawsze odkładał to na później. Aż wreszcie w zeszłym tygodniu...

- Poziom zero - oznajmił dźwięg. Drzwi rozsunęły się, lekko zacinając się w pewnym momencie. „Aha - pomy-

ślał Ashi - następny problem...” Wymaszerował z kabiny i założył hełm. Skafander zasygnalizował pełną szczelność. Chwilę potem Ashi nacisnął przycisk przy śluźce.

* * *

Stał na platformie wieńczącej podziemny kompleks stacji naprawczej. Miał stąd widok na rozciągający się na kilka kilometrów betonitowy plac, po którym teraz przetańczyły się ziarnka miejscowego zielonkawego piasku, pchane słabymi podmuchami trującego wiatru. Kiedyś, dobrze to widać na kryształach sprzed lat, cały plac bywał zajęty przez panceramitowe kadłuby statków. Przeważnie tych latających dla Katangi, ale i innych, remontowanych przez personel stacji po rynkowych cenach. Paliły betonit ogniem dysz, kiedy siadały, paliły go, kiedy startowały w dalszą drogę już naprawione. Tata zawsze wychodził na platformę i patrzył za tym ogniem, aż do momentu kiedy stawał się on kresczką wśród obłoków nad Mtwari. Podniósł wzrok. Odogan błyszczał, odbijając światło Segene. Segene, która dla Centrali była tylko 133 Karlshamn... Przywołał ośmiokołowy łązik, który wychynał z podziemnego hangaru niczym borsuk z nory po zimowym śnie. Odkryty pojazd prowadził się łatwo, tak jak przez wszystkie lata. Ostatni raz jechał nim bodaj sześć czy siedem lat temu. Wybrał się na przejażdżkę ot tak, popchnięty nagłym impulsem. Na Ziemi mógłby powiedzieć, że zapragnął poczuć wiatr hulający we włosach podczas jazdy. Jechał powoli, niemal dostojnie. Panglasytowa kula hełmu oddzielała go od świata zewnętrznego, nie słyszał więc, jak drobiny żwiru i kamyki strzelają spod kół łązika. Wbił spojrzenie w horyzont, a potem odwrócił głowę. Był już dwa kilometry od kompleksu stacji, z którego tylko platforma wystawała nad powierzchnię planety. Przejeżdżając obok bryły rozdzielni, zdalnie uruchomił oświetlenie. Poszczególne sektory betonitowego lądowiska oznakowane były teraz mlecznymi liniami. Kiedyś siadały tu naprawdę duże jednostki, nie to co teraz, kiedy pojawiają się tylko lekkie transportowce Katangi. Zatrzymał łązik. Sektor B9. To tutaj... Tak, jego lądowanie obserwowali wszyscy, cały personel stacji. A kiedy już stał na wspornikach, ostygły, zwalisty, monumentalny, podjechali w kilka łązików, tu, gdzie on teraz tkwił samotnie, i podziwiali. Chłonęli jego majestat. Chłonęli potęgę „Hannibala Smitha”, który nagle musiał zboczyć z kursu i poddać się remontowi w stacji. Napawali się jego ogromem i czuli dumę z bycia częścią cywilizacji, która takie cudo potrafiła zbudować i wyekspediować do gwiazd. „Hannibal Smith”... Sześćdziesiąt lat temu... Dwa lata po wizycie tutaj „Hannibal” rozleciał się w deszczu meteorów gdzieś w układzie Nergala. Ashi przypomniał sobie, jak bardzo płakał, kiedy wiadomość o tej tragedii podali w serwisach informacyjnych. Zadarł głowę, żeby sprawdzić, czy przypadkiem jakiś ogień nie schodzi ku stacji, chcąc przycumować na lądowisku. Niebo było jednak puste. Zawrócił więc łązik ku kompleksowi.

* * *

Odkąsany strumieniami powietrza wyszedł po regulaminowym czasie ze śluży. Zdjął hełm. Spojrzał na szybkę, jakby przechowywała ona jeszcze okruchy srebra Odo-

gana. Weisnął hełm pod pachę i zameldował się przed drzwiami windy. Te rozsunęły się, znów zacinając się na ułamek sekundy, jakby napotykały jakąś przeszkodę na prowadnicach. Zerknął na nie, ale niczego podejrzanego nie zauważył. Przypomniał mu się lekko jękający się dyżurny z centrali Katangi. Ashi uśmiechnął się do siebie, wspominając młodzika, oddalonego o lata świetlne od Mt-wari. No ale tamten to nieśmiały młokos, a winda to głupi automat, bezmyślny mechanizm... Mechanizm... Zamyślił się. Nawet nie pamiętał, jak znalazł się w windzie, a potem na poziomie mieszkalnym.

Kolacja nie miała smaku, ale chyba nawet gdyby jadł najlepsze specjały i popijał ambrosją, też nie umiałby docenić ich smaku. Dziobał widelcem w talerzu, rozgrzebywał, czasem coś przełknął, większość jednak ostygła i wróciła do syntetyzera. „Teraz pewnie w użyciu są nowocześniejsze, potrafiące więcej i lepiej przyrządzić...” - pomyślał, patrząc czule na skrzynkę kompilatora posiłków. — „Tak samo jak te automaty, które wyremontowałem...” Dlatego kompania ich nie odbiera, bo mają nowocześniejsze, wydajniejsze. Po co komu naprawione przez starego Ashiego gruchoty? Zostawili mnie tutaj przez wzgląd na pamięć o ojcu, wielokrotnie przez poprzednie zarządy nagradzanym i szanowanym twórcy tej stacji naprawczej. Pewnie tylko dlatego wciąż mi płacą, bo płacą przecież, i to nieźle. Płacą, żeby mieć spokój, żeby nie czuć wyrzutów sumienia. A może ojciec przed śmiercią zawarł jakąś umowę obowiązującą kolejne zarządy, a dotyczącą mnie i tej stacji? Tego pewnie nigdy się nie dowiem... Poczul ucisk w klatce piersiowej. Odetchnął głęboko, przeciężając ból, który jednak całkowicie nie odpuścił, czając się w piersiach. Z niechęcią pomyślał o automedzie. A potem o wszystkich automatach górniczych, które czekały w magazynie, aż ktoś je łaskawie odbierze, co może nigdy nie nastąpić... Poświęcił im tyle czasu i sił.... Chciał machnąć ręką, ale znów przeszył go ból.

Automed pokazał odczyty w normie, co kłóciło się z odczuwanym przez Ashiego bólem. Poza tym Ashi odkrył, że grat przestał reagować na wezwania z tasterów, zarówno tych na ścianach, jak i z osobistego przywoływacza, który Ashi zawsze miał w kieszeni lub przy pasie. „Muszę to naprawić” - postanowił. - „W przeciwnym razie automed przestanie wyjeżdżać z ambulatorium na wizyty domowe” - pomyślał z przekąsem. Popatrzył na beczkę, której powierzał od wielu lat swoje zdrowie. Jej trzewia były pomieszeniem muzeum z odrobiną nowoczesności. Znajdowały się w nim części wyprodukowane, kiedy Ashi był dzieckiem, były też układy wmontowane parę lat temu, podczas dokonanej przez niego domowej modernizacji. Opuścił ambulatorium zły. Postanowił, że upomni się w centrali o nowy sprzęt medyczny. W nocy podczas lektury, którą to czynność nadal przedkładał nad wirtualne, jakie czasem mu przysyłano, przypomniał sobie rozmowy z ojcem. O dalekich gwiazdach, pulsujących życiem światach, martwych księżycach... O bytach, o których czytali obaj w książkach napisanych dawno temu przez ludzi o wielkiej wyobraźni^{etkMa^ksnloatacincosmosu} nie

potwierdziły ich marzeń o inteligentnych istotach, kąpiących się w ciepłe innych słońc. Kosmos był pusty i martwy jak zrzucona przez węża niepotrzebna skóra. Podszedł do półki i przeciągnął palcami po grzbietach kilkudziesięciu tomów, które ocalały z kolekcji taty. Na palcu został kawałeczek papieru z którejś z rozlatujących się okładek. Popatrzył na strzępek smutno.

Sygnal alarmu postawił go na równe nogi. Długo nie mógł zasnąć, bo serce, niczym wilgotna szmata, kołatało się po całej klatce piersiowej, raz po raz gubiąc rytm. Teraz wyskoczył z łóżka i w ułamku sekundy otrzeźwiał. Pobiegł do dyspozytorni. Centralny ekran pokazywał schodzący z niebios ogień, a panel tekstowy pulsował komunikatem o statku podchodzącym do lądowania na betoninie platformy.

- Powariowali - warknął Ashi. - Mieli mnie przecież uprzedzić. Wyprowadziłem automaty z magazynu. Co za burdel - podsumował nowe porządki w Katanga Mining.

- Statek o nieokreślonej przynależności... - przeczytał ze zdumieniem. - Co u licha? - szepnął do siebie.

Na zbliżeniu jego oczom ukazał się trzydziestometrowej średnicy dysk z ośmioma podporami i czterema dyszami silników. Niespotykany, wypukły mostek pilotażowy, bo tym chyba był bąbel na kadłubie, załśnił w świetle Odogana. I ten napis... Piktogramy, których nie stworzył człowiek, tak przynajmniej twierdził główny komputer stacji po bezowocnej próbie ich odszyfrowania. Ashi zatrzymał dłoń tuż nad przyciskiem na pulpicie. Tak dawno tego nie robił... Statki kompanii zawsze - aczkolwiek rzadko ostatnimi czasy - przybywały za dnia. Weisnął guzik. Światła rozjaśniły lądowisko. Nagle poczuł palący ból w mostku. Złapał się za pierś i powoli osunął się na podłogę. Nawet wtedy nie opuszczała go myśl, że oto jest świadkiem, ba, uczestnikiem, pierwszego kontaktu z obcą cywilizacją. Towarzyszył jej strach. Ignorując ból, przycisnął guzik przy pasie. W tym samym momencie uzmysłowił sobie, że zapomniał naprawić tę głupią skrzynkę na kółkach...

- Tu Korlis. Melduję przybycie na stację naprawczą na 133 Karlshamn IV. - Wysoki, barczysty pilot wyszedł ze służby i odpiął hełm skafandra.

- Łączę z dyżurnym - w zagnieżdżonej w małżowinie słuchawce usłyszał głos korporacyjnej SI. Gdyby nie wiedział, że to SI właśnie, pomyślałby, że posiadacz takiego głosu jest beznadziejnie nudnym, pozbawionym sił witalnych człowiekiem. Nadał swojemu meldunkowi wysoki priorytet, więc został połączony z dyżurnym z krwi i kości.

- Tu dyżurny Katanga Mining. - Pilot przycisnął palec do ucha i poprawił słuchawkę. - Czy automaty górnicze są przygotowane?

- Prawdę mówiąc, nie udało mi się nawiązać kontaktu z Ashim Mboko. Nie odezwał się. Przy lądowaniu prowadził mnie komputer stacji, który zakomunikował mi, że wszystko jest w porządku. Ale najwyraźniej nie jest. Idę poszukać gospodarza. Będę meldował. Na razie bez odbioru.

- ...próbuję się z nim połączyć, jak dotąd bezskutecznie - zabrzmiał głos dyżurnego, kiedy winda wiozła Korlisa na poziom mieszkalny.

- Rozumiem - odpowiedział. Winda lekko szarpnęła. Sekundę później drzwi rozsunęły się, zapraszając do wyjścia na pusty i cichy korytarz. Wyszedł powoli, jakby z lekką obawą.

- Ashi Mboko? - powiedział głośno. Właściwie chciał zawołać, ale głos uwiązł mu w gardle. Któreś z bocznych drzwi rozwarły się z jękiem. - Nazywam się Korlis... - Pilot zrobił kilka kroków w kierunku pomieszczenia, z którego dobiegał jakiś szelest. - Przybyłem po automaty górnicze... - zawiesił głos oczekując reakcji. W sali ktoś najwyraźniej szarpał się z czymś, szurając i posapując. Korlis stanął w progu. Dopiero teraz dostrzegł zawieszoną na ścianie tabliczkę z napisem „Ambulatorium”. Beczulkowaty automed - podobny do tych, które znał z wirtuali o pierwszych zdobywcach kosmosu - stał majestatycznie na środku pomieszczenia, jakby wyszedł na powitanie gościa, akcentując zarazem, że to on, automed, jest gospodarzem tej sali. Obok niego przesuwiał się powoli również stary automat porządkowy, pchający przed sobą jakąś skrzynkę. To on robił ten hałas, który zaintrygował Korlisa. Pilot popatrzył w szmaragdowe oko automeda i wycofał się na korytarz, jakby przepaszając za najście. Poszedł dalej. Zaraz potem drzwi zasunęły się ponownie. Uszedł paręnaście kroków i zatrzymał się nagle, zdawszy sobie sprawę, że znowu słyszy jakiś szum, tym razem dochodzący z góry. Uniósł szybko głowę. Stare szyby wentylacyjne śpiewały swą pradawną pieśń. Nic więcej.

Na końcu korytarza zapulsowało mleczne światło. Korlis przyspieszył. Kiedy wszedł do obszernego pomieszczenia, cisza aż zadzwoniła mu w uszach. Pokój, którego drzwi najwyraźniej były zepsute - no, w każdym razie cały czas rozsunięte - sprawiał wrażenie dawno opuszczonego. Brak okien wywołał u Korlisa nagły atak klaustrofobii. „Tu nawet nie ma ekranów, na których można by wyświetlać kojące duszę krajobrazy. Dające wytchnienie zmęczonym sztuczным światłem oczom” - pomyślał. Nagle kątem oka dostrzegł ruch przy przeciwległej ścianie. Odruchowo cofnął się do wyjścia. Archaiczny stolik samobieżny podjechał ku niemu jak szczeniak oczekujący pieszczoty. Stał chwilę, po czym uznawszy, że nie jest potrzebny, wrócił pod ścianę. Korlis rozejrzał się po kabinie. Było coś aseptycznego w widoku nienagannie pozamykanych szaf i doskonale uporządkowanego biurka. Zupełnie jakby od dawna nikt tutaj nie zaglądał. Choć z drugiej strony... Pilot wciągnął nosem powietrze. Wyczuł nieuchwytny niemal, ale jednak obecny zapach obecności człowieka: subtelną woń potu, dogorywający aromat potrawy z kurczaka. I kawy. Wszedł do środka. Stary komputer straszyl w kącie starożytnym, ciemnym teraz monitorem. Z kolei podręczny syntetyzer żywności błyskiem w pomarańczowym oku deklarował gotowość skompilowania jakiejś przekąski. Odsunął drzwi jednej z szaf. Na półkach leżały nienagannie złożone bluzy, wszystkie w szarostalowym kolorze.

Nad biurkiem wisiała, przymocowana do ściany, półka z tworzywa udającego drewno. Podszedł bliżej i ze zdziwieniem przekonał się, że jednak ma do czynienia z prawdziwym drewnem. Pokręcił z niedowierzaniem głową. Na

półce... Korlis aż oparł się o blat biurka. Wtedy jak przez mgłę dotarło do niego, że i biurko zrobione jest z drewna, ale mózg już analizował to, co podsyłały mu oczy. Równy rząd staromodnych, drukowanych książek o różnokolorowych, sfatygowanych grzbietach wprawił pilota w prawdziwe zdumienie. W domu Korlisa też były książki. To znaczy była Biblia, stara, przekazywana z ojca na syna, drukowana na papierze i z tłoczoną okładką. Traktowana jako pamiątka rodzinna była nieomal obiektem kultu. Ale po co komu aż... - przeliczył szybko - ...czterdzieści obiektów kultu? Przejechał dłonią po okładce pierwszej z brzegu książki i wyjął ją. Otworzył wolumin mniej więcej w środku.

Witam pana, doktorze Kelvin. - rozległ się wysoki, nosowy głos Sartoriusa. Brzmiał tak, jakby jego właściciel wstępował na niebezpiecznie uginające się podium, podejrzliwy, czujny i zewnętrznie opanowany. - Moje uszanowanie panu doktorowi. - odparłem.

Przebiegł wzrokiem do końca strony, po czym szybko odstawił książkę na półkę. Jeszcze raz pokręcił z niedowierzaniem głową. Wychodząc, zerknął na zawieszony przy drzwiach plan stacji. Ustalił, gdzie jest magazyn i jak się do niego dostać, po czym nie oglądając się już za siebie, wyszedł na korytarz. Tym razem mechanizm zadziałał i drzwi zamknęły się za nim. Ale Korlis nawet się nie zatrzymał.

- Tu Korlis - odezwał się pilot już ze swojego statku.

- Tu dyżurny, słyszę cię, Korlis. - Od razu zgłosił się człowiek.

- Automaty górnicze znalazłem i zabrałem. Naprawdę gdzieś jeszcze przyda się ten złom? - spytał.

- Tego nie wiem - odparł dyżurny ze Scolariusza IV. - Słyszałem, że Muzeum Techniki wyraziło zainteresowanie kilkoma egzemplarzami. Co do reszty... - zawahał się - ...nie mam pojęcia. A jak tam stary Ashi?

Korlis przygryzł wargę.

- No właśnie. Nie ma śladu staruszka... - powiedział.

- Nie wiem, co robić. Tym bardziej, że tutaj w zasadzie nic nie działa. Od tygodni system nie nagrywał obrazów z kamer zewnętrznych. Ostatni zarejestrowany obraz z wewnętrznego monitoringu też pochodzi sprzed paru dni... Automed okazał się starym rękem... Naprawdę stary Mboko był takim świetnym mechanikiem? Trudno w to uwierzyć... Nie wiem, co robić - powtórzył, składając odpowiedzialność za podjęcie decyzji na barki dyżurnego. Ten zaklął pod nosem.

- Stary dziwak pewnie poszedł w góry umrzeć w jakiejś grocie... - wysunął przypuszczenie, po czym zamilkł.

- Fakt, gór tutaj nie brakuje - zgodził się Korlis patrząc na oblane srebrem satelity skały.

- Wiesz... - Dyżurnemu nagle rozwiązał się język. - Słyszałem, że staruszka trzymali tylko przez wzgląd na jego ojca. Traore Mboko to jeden z założycieli Katanga Mining, który po jakimś czasie sprzedał swoje udziały i zaszył się w tej zapyziałej stacji naprawczej. Chociaż z tego, co widzę... - zawiesił na moment głos. ...Z dokumentów wynika, że stary Traore miał mnóstwo roboty. Zatrudnił kilkudziesięciu mechaników i miał sporo remontów w miesiącu. Ta planetka dobrze prosperowała przez długi czas. A potem... Wyobrażasz sobie, że nawet

NOWOŚCI Z FABRYCZNA
GWARANCJĄ JAKOŚCI



łącność z 133 Karlshamn IV obsługuje jakiś stary automat, który też w zasadzie mógłby się znaleźć w muzeum? Co jakiś czas generuje on tylko kolejny awatar dyżurny. Nikt nie widział sensu w podłączeniu Ashiego do nowego węzła łączności zarządzanego przez nowoczesną SI... Parę dni temu mieliśmy tu, nad Scolariussem IV, burzę magnetyczną. Nic się nie zepsuło oprócz tego starego automatu, który się zawiesił. System szybko go postawił, ale żadnemu z techników nie chciało się sprawdzić, czy z gratem wszystko w porządku. Widzisz więc, że stary Mboko jest na bocznym torze, nikogo nie interesuje. Nie ma nawet uprawnień do nadawania priorytetowych meldunków...

Korlis słuchał kiwając głową.

- Mam starszka szukać? - ponowił pytanie domagając się jasnej odpowiedzi. Ale nie czekał na nią, bo właśnie zorientował się, co widzi na betonitowym lądowisku.

- Będę musiał skontaktować się z kimś z góry...

Korlis przerwał dyżurnemu.

- Czy ktoś tutaj lądował przede mną? Na przestrzeni ostatnich tygodni?...

- Nie, skądże. Czemu pytasz?

- Jesteś tego pewien? - upierał się pilot. - Sprawdź.

- Też coś - warknął tamten i zaraz dodał: - Poczekaj...

Korlis z wysokości swojej kabiny widział wypalone w betonicy wyraźne ślady. Najpewniej zrobiły je dysze lądującego całkiem niedawno statku, chociaż.... Zrobił zbliżenie na ekranie i przyjrzał się uważnie. Rozkład czarnych kręgów nie odpowiadał żadnemu typowi jednostek używanych przez Katanga Mining. Prawdę mówiąc, nie przypominał on rozkładu dysz żadnego znanego Korlisowi typu statków. Pilot zamyślił się...

- Jesteś tam? - Dyżurny wywoływał pilota od dłuższej chwili, sądząc po zniecierpliwieniu w jego głosie.

- Tak, jestem. Słyszę cię.

- Nikt nie lądował na 133 Karlshamn IV od ośmiu miesięcy. Masz wracać. - Po chwili wyjaśnił: - Skontaktowałem się z jednym z wicedyrektorów. Wydawał się zadowolony, że problem z tą stacją niejako sam się rozwiązał... Ale powiedz, dlaczego pytałeś o to poprzednie lądowanie? - zainteresował się dyżurny.

Korlis przez ułamek sekundy bił się z myślami. Doszedł do wniosku, że skoro placówka ma być zamknięta tak czy inaczej, nie ma potrzeby robić zamieszania. Będzie musiał wypełniać jakieś formularze, zrobić dokumentację fotograficzną i filmową lądowiska i tych czarnych kręgów... Nie warto - uznał.

- Nieważne... - odparł po chwili ciszy. - Myślałem, że może starszka zabrała jakąś inną jednostka...

Dyżurny podał w wątpliwość jego naprędce wymyśloną teorię.

- To co? - westchnął Korlis. - Mam zostawić kartkę WARSZTAT NIECZYNNY DO ODWOŁANIA? - zażartował, uruchamiając procedurę startu. Dyżurny szczerze się roześmiał.

- Dobry pomysł - powiedział wreszcie, dławiąc resztki śmiechu. - Dobrego lotu, Korlis....

Andrzej Miszczak

W tekście wykorzystałem dwa krótkie fragmenty z powieści Stanisława Lema: „Niezwycięzony” i „Solaris” (cytaty za wspólnym wydaniem obu powieści nakładem Wydawnictwa Literackiego w serii „Dzieł zebranych”, wyd. 3, Kraków-Wrocław, 1986).

JOANNA PATYK

W ŚWIETLE JUPITERA

Delikatny sopran wypełnił główną galerię. Wypuściłem wszystkie miejsca, by móc delektować się tą chwilą w samotności. Mimo to morze wypomadowanych mężczyzn na parterze, wierzących się obok swoich wulgarnie pospolitych połowic, doprowadzało mnie do szaleństwa. Chciałem słuchać jej wiecznie, stanowić jedyne audytorium cudownego spektaklu, którego była sprawcą. Utonąć w dźwiękach, zaznać choć namiastki dotyku. Niech piekło pochłonie jej popularność; musiałem ją mieć.

Po raz pierwszy zagnał mnie tu przypadek. Niemal pijany snułem się samotnie po mieście, a opera wyrosła przede mną nagle, rażąc otępiałe zmysły kakofonią dźwięków. Wśród nich, niczym drobina złota w błotnistym rzeczonym mule, trwał głos boskiej Amarette.

Uzależniony od jej aksamitnych treli nie potrafiłem odmówić sobie rozkoszy. Słyszałem ją nawet we śnie. Była wtedy bliższa niż na jawie. Zdawało się, że wystarczy wyciągnąć dłoń, wychylić się tylko odrobinę i zdołam jej dotknąć. Nie udało się ani razu. W decydującym momencie palce rwały pustkę, a bezwładne ciało osuwało się w ciemność tętniącą jej perlismem śmiechem. Siedziałem zatem wpatrzony w senne zwierciadło, zastanawiając się, czy okazać jej dosadniej moje uwielbienie.

Podjeżdżałem, że się domyśla. Górna galeria od wielu dni rezerwowana była na jedno nazwisko, a jej wzrok coraz częściej wędrował w kierunku ukrytej w mroku widowni postaci. Czekałem. Zegar odmierzał czas pomiędzy kolejnymi spektaklami, a w cynicznym szmerze wskazówek drżały echa jej głosu.

Zaalarmowało mnie poruszenie za tylną kotarą. Młodzieniec we fraku położył przede mną tackę z czerwoną kopertą i uśmiechnął się, strasząc szczątkowy zarost. Nie musiał nic mówić.

Długo trzymałem kopertę zamkniętą, gładząc brzeg dolną wargą. W oddali rozbrzmiewała rubaszne libretto. Drżącymi dłońmi wydobyłem bilecik. „Scena o północy. A.” Serce zamarło na chwilę krótszą niż westchnienie, po czym rozpoczęło szaleńczą galopadę. Jej pieśń nigdy nie brzmiała tak słodko.

Opuszczona opera zdała mi się niemal sanktuarium. Rzędy foteli czekały na wiernych, by wzięli udział w muzycznym nabożeństwie. Całość spowijał delikatny półmrok, z wyjątkiem miejsca, w którym stałem – jeden samotny reflektor i wszechobecne cienie. Nie usłyszałem jej kroków, gdy wynurzyła się przede mną. Złote pukle miękko oplatały jej pociągłą twarz. Była bardzo blada. Sądziłem wcześniej, że jest to zasługą ton

pu pudru nakładanego na śpiewaków. Z bliska jednak dostrzegłem, że opalizująca biel jest naturalnym odcieniem jej skóry. Pełne zaróżowione wargi pyszniły się figlarnie, a dwie szare perełki obserwowały mnie bardzo uważnie.

- Tak mi zimno. - Słodkie dźwięki dobiegły mnie po raz pierwszy z tak bliska. Nie namyślając się wiele, przyciągnąłem ją do siebie. Miękko wtuliła się we mnie, a moje stęsknione dłonie wędrowały po krągłościach sylwetki. Jej skóra faktycznie była lodowata.

- Ja... - W tym decydującym momencie zabrakło mi słów. - Jestem zaszczycony.

- Pragniesz mnie. - Nawet się nie poruszyła. - Widziałam, jak przychodzisz co wieczór. Przychodziłeś dla mnie. A mi jest tak zimno.

Pogładziłem złote sploty, lecz ona podniosła gwałtownie wzrok, odsuwając się ode mnie. Przestraszyłem się, że czymś ją uraziłem, już miałem wybełkotać jakieś przeprosiny, ona jednak zakryła mi usta.

- Przychodziłeś tu dla mnie - powtórzyła. - A ja chcę ci coś ofiarować. Możemy zatrzymać czas. Ty, ja i opera. Ofiaruję ci życie wieczne.

Spojrzała na mnie z chorobliwą wręcz determinacją. Jednocześnie w jej oczach dostrzegłem to, co pozostawało nieuchwytnie w muzyce - smutek. Ogromny i przejmujący mróz ścisnął mi serce. Ona nie bredziła, czego jeszcze chwilę temu byłem pewien. W tych oczach czaiły się setki lat samotności i gnijący chłód grobowca.

- Potrzebuje cię - błagała. - Już nie chcę być sama.

Jej ciało drżało w oczekiwaniu. Oferowała mi wieczne życie, ja widziałem tylko wieczną śmierć. Z trudem odsunąłem ją od siebie; kruche palce wczepiały się w moje ubranie. Osunęła się ciężko na ziemię - małeńka kupka tiulu i koronek. Po policzku spłynęła samotna łza, splamiła posadzkę krwią. Zadrżała, gdy odchodziłem.

Galeria co wieczór rezerwowana jest na moje nazwisko. Mimo upływu lat dźwięk anielskiego sopranu nadal rozrywa mi serce. Zgarbiony i posiwiały nie potrafię odmówić sobie rozkoszy, a widok jej wiecznie młodej twarzy będzie towarzyszyć mi aż do śmierci - kochanki, dla której wzgardziłem boską Amarette.

W blasku oświetlenia natrafiam na jej umęczone spojrzenie.

Jak każda kobieta - zazdrości.

ŻEROWISKO NA ŻWIROWISKU

Żelkowski/Żwikiewicz

Orgazm zmienił go w boga?

O książce J. Sieradzana „Od kultu do zbrodni” z **Wiktorem Żwikiewiczem** -jednym z najpopularniejszych autorów SF lat 70. i 80. rozmawia **Marek Żelkowski**.

Marek Żelkowski: Mówiąc szczerze, brałem tę książkę do ręki z rezerwą. Lubię tematykę, którą zapowiada notka na okładce, ale... autor uznał za stosowne wzbogacić główny tytuł podtytułem: „Ekscentryzm i szaleństwo w religiach XX wieku” i miałem wrażenie, że sięgam po grubą rozprawę naukową, od której wszystkich poza specjalistami mogą rozboleć zęby. A tymczasem... Już po kilku stronach okazało się, iż ta książka jest jak dobry dreszczowiec. Bywały momenty, że miałem spore kłopoty z przerwaniem lektury.

Wiktor Żwikiewicz: Zawsze jest obawa, że kolejny ambitny człowiek chce uwiecznić nazwisko w establishmencie naukowym, więc zacząłem kartkować książkę i co jakiś czas zatrzymywałem się, aby rzucić okiem na kolejny akapit. To było nieprawdopodobne... Miałem zamiar przeczytać tylko kilka zdań, a w najlepszym razie kończyłem stronę. Bywało, że „jechałem” do końca rozdziału. To niebezpieczna książka! Świetnie skonstruowana, napisana dobrym językiem i napakowana taką liczbą faktów, że czyta się po prostu sama. Myślę, że to powód do chwały dla autora. Nie napisał powieści, a czyta się tę książkę jak dobrą prozę.

M.Ż.: W takim razie wypadałoby powiedzieć nieco o treści. Tom, wydany przez wydawnictwo KOS, podzielony jest na dwie części. W pierwszej prezentowani są ekscentrycy, w drugiej natomiast szaleńcy, a właściwie... psychopatyczni mordercy.

W.Ż.: I sprawia to, że owa pasjonująca książka nie jest jednorodna. W mojej pamięci rozpada się jakby na dwa zupełnie różne tomy. Najpierw jest podróżą w świat ludzkich dziwactw, później pokazuje, że człowiek może być nieprawdopodobnym bydlakiem. Niby już to wiedziałem, ale znakomicie przygotowana praca Jacka Sieradzana uświadomiła mi to wyjątkowo boleśnie. Ostatnie rozdziały książki czytałem z mieszanymi uczuciami. Były świetnie skrojone przez autora, ale traktowały o takim stadzie szajbusów i zwykłych zbrodniarzy, że ciarki przechodziły mi po krzyżu.

M.Ż.: Sporą zaletą jest również to, że Jacek Sieradzan prezentuje fakty i nie bawi się w ich komentowanie. Często w tego typu pracach dużo jest dywagacji i abstrakcyjnych dyrdymałów, z którymi czytelnik się nie zgadza. Tu są natomiast fakty, fakty i jeszcze raz fakty. Szokujące lub ponure, ale... W końcu nie każda książka musi być radosna.

W.Ż.: Ja mam jednak pewne zastrzeżenie... Nie tyle do książki, która jest absolutnie OK!, ile do autora.

M.Ż.: Będziesz wybrzydział?

W.Ż.: Nie, nie będę. Chcę raczej zgłosić swoje wątpliwości co do metody.

M.Ż.: Przecież przed chwilą zgodnym chórem pialiśmy z zachwytem.

W.Ż.: Ale ja mam wątpliwości co do selekcji materiału i doboru bohaterów, a nie do wykonania. Autor miał zresztą prawo przyjąć taką metodę, jaką chciał. Natomiast ja po lekturze mam z kolei prawo powiedzieć, że zrobiłbym to inaczej.

M.Ż.: Ale zaplanowaliśmy rozmowę o wydanej książce Jacka Sieradzana, a nie o wirtualnym dziele pana W.Ż.

W.Ż.: Przecież niemal każdy świadomy czytelnik reaguje tak jak ja. Albo przyjmuje tok rozumowania autora, albo się z nim nie zgadza. Należy tylko pamiętać, że nawet kwestionowanie metody przyjętej przez autora wcale nie musi oznaczać, iż kwestionuje się wartość jego dzieła.

M.Ż.: To jest moim zdaniem... Zacytuję klasyka: „Oczywista oczywistość”.

W.Ż.: Autor zaczyna od Georgija Gurdziejewa - człowieka, który chyba jako pierwszy upowszechnił na Zachodzie wschodnie doktryny ezoteryczne i jest uważany za prekursora New Age. Jest jeszcze Krisznamurti, zwany „Wściekłym mędrce”, i kilku innych podobnych niegroźnych oraz dziwnych ludzi. A potem... a potem na kartki książki wskakują zwierzęta pokroju Charlesa Mansona i Soko Asahary.

M.Ż.: Pierwszy był zimnym mordercą, który mówił o sobie: „Jestem największą bestią, jaka chodzi po ziemi. Zabijam wszystko, co się rusza”. Twierdził też, że jego rekordem jest zabicie 35 osób w ciągu dwóch dni. Nigdy mu tego nie udowodniono, ale... Już to, co mu udowodniono, posłało go do więzienia na zawsze, bo Kalifornia zniosła w tamtym czasie karę śmierci. Drugi z owych sympatycznych panów był łaskawy razem z grupą swych wyznawców zaplanować i wykonać zamach na tokijskie metro. Sarin zabił wówczas 12 osób, a tysiące okaleczył.

W.Ż.: Wymieniłeś największe „osiągnięcia” tych milusich facetów, ale lektura książki „Od kultu do zbrodni” uświadomiła mi, jak porypane, ponure i beznadziejnie idiotyczne było całe ich życie.

M.Ż.: Z drugiej strony... Nie wiesz, jak ułożyłoby się twoje losy, gdyby któryś z sadystycznych krewnych wysłał cię do szkoły w stroju dziewczynki i narażał w ten sposób na szyderstwa rówieśników. A to spotkała w dzieciństwie Mansona. Ludzka głowa to miejsce sekretne, na którym nie powinno się dokonywać tego rodzaju „eksperymentów”.

W.Ż.: Racja! Ale wróćmy do rozprawy o metodzie. Rozumiem intencje autora, ale mimo to mam ogromne zastrzeżenia do przyjętych przez niego rozwiązań. Myślę, że Jacek Sieradzan połączył pod jednym szyl-

dem dwa zjawiska, których moim zdaniem nie należy łączyć. Teoretycznie książka mogłaby więc nosić tytuł „Od Gurdziejewa do Mansona”, a przecież to byłoby nadużycie. Takiej drogi po prostu nie ma! IMHO. Ja rozumiem, że nawet religia ustawia często opozycje typu: Bóg - Szatan, ale moim zdaniem teza, że drogą ewolucji da się wyhodować z Krisznamurti kogoś podobnego do Asahary... To nieporozumienie.

M.Ż.: Upraszczając, ekscentryk nie musi przedzierzgnąć się w szaleńca.

W.Ż.: To zdarza się bardzo rzadko.

M.Ż.: Ale przyznaj, że się czepiasz. Ponieważ książka jest dobra, boisz się ją ciągle chwalić, żeby nie zniechęcić potencjalnych czytelników.

W.Ż.: Już mówiłem, że jest świetna. Również przez to, że skłania do dyskusji.

M.Ż.: Moim zdaniem klucz przyjęty przez Sieradzana jest umowny i nie oznacza drogi od - do, tylko pokazuje dwa różne typy ludzi powiązanych z ruchami religijnymi. To rzeczywiście różne grupy, ale... Warto jednak zauważyć, że jedna i druga jest traktowana przez normalnych ludzi bardzo podobnie. Znaczą się - nieufnie!

W.Ż.: Ale zauważ, że pomiędzy jedną a drugą grupą nie ma żadnych pomostów intelektualnych. To, o czym mówi Krisznamurti, można przyjąć lub odrzucić, ale jest w tym jakaś logika oraz głębia intelektualna. Natomiast to, co mają do powiedzenia zwyczajni oszuści, bandyci, mordercy, psychopaci i inne totalne poj...y jest najzwyczajniej w świecie miłątkie. Albo powiedzmy wprost: głupie. To bełkot. Zauważ, że jedna z pierwszych kwestii wygłaszana publicznie przez tych ludzi brzmi przeważnie: „Jestem Chrystusem!” Ale z tego nie wynika jeszcze powiązanie z religią. Jeśli w szpitalu dla czubków facet wsuwa dłoń za kłapę i stwierdza, iż jest Napoleonem, wszyscy wiedzą, że gość jest szajbusem. Człowiek ogłaszający wszem wobec swoją boskość także ma więcej wspólnego z psychiatrykiem niż z religią. Bo cóż to jest religia?

M.Ż.: A co to jest szaleństwo? Nie zapomnij, że współczesna kultura ma tendencje do zacierania ostrych granic. Wszelkie definicje przestają być ostre. W takim kontekście za religię można uznać na przykład marksizm lub „kult” naukowego podejścia do świata. Znajdziesz tam również odpowiedniki doktryny, organizacji, a nawet tak zwanych funkcjonariuszy kultu.

W.Ż.: Jakby bardzo się uprzeć, to rzeczywiście z Einsteina można zrobić guru, ale i szaleńca. Co więcej, genialny fizyk ma dzisiaj więcej wyznawców niż Soko Asahara i David Koresh. Tylko czy z takiego zacierania granic cokolwiek wynika? Moim zdaniem nie! Ale skoro już autor posługuje się taką metodą... Powtarzam - ma do tego pełne prawo. Ważne, aby robił to dobrze.

M.Ż.: Autor ma pełne prawo do swojej metody, a ty do wybrzydzenia, ale przyznaj, że druga część traktująca o, jak to poetycko ująłeś poj...ach, jest równie fascynująca jak pierwsza.

W.Ż.: Oczywiście! Jest tam cała masa niezwykłych informacji. Informacji wręcz egzotycznych w znaczeniu kulturowym. W pamięci utkwiła mi szczególnie historia mormońskiej rodziny LeBaron. Z niezdrową fascynacją śledziłem rozwijanie się wendety i upiorną logikę kolejnych mordów.

M.Ż.: Mnie z kolei rozczulił, a potem przeraził Jeffrey Don Lundgren, który uważał, że orgazm przemieni go w boga. A zwróciłeś uwagę, że w drugiej części znacznie ciekawsze od postaci ponurych rzeźmieszków pokroju Mansona jest to, w jaki sposób tworzą się współczesne grupy religijne czy też pseudo-religijne?

W.Ż.: Owszem, Sieradzanowi udało się znakomicie pokazać, że poza postaciami guru są jeszcze wyznawcy - ci, którzy uwierzyli w bełkot. Może jest to ważny trop dla autora? Warto napisać monografię o szarych ludziach, którzy tak bardzo potrzebują: guru, nowego Chrystusa, mesjasza, oświecenia, uwiedzenia i podporządkowania. Chciałbym przeczytać o tym stadzie baranów, które w nas wszystkich drzemie. Przecież do sekt nie należą idioci. Przeciwnie, bardzo często są to ludzie o bardzo wysokim statusie intelektualnym. Zdarzało się, że znakomici artyści, naukowcy, filozofowie jak muchy do g... lepili się do obłędu, którego personifikacją był Manson lub inny rzeźmieszek. Rozumiem, że ludzie mogą podążać za Gurdżijewem. On buduje spójne systemy myślowe. Ale David Koresh? Przecież ten facet nie miał nic oryginalnego do powiedzenia...

M.Ż.: Ale za to miał charyzmę!!!

W.Ż.: Właśnie. Ludzie lgną do charyzmy. Wyłącznie do charyzmy. Tego nie rozumiem. Przyjmuję do wiadomości, ale nie rozumiem. Kiedy czytałem o maniakach pokroju Mansona, ogarniała mnie wściekłość. Wściekłość, że nasza cywilizacja pikuje w takie szambo. Czy naprawdę każdy może być guru?

M.Ż.: Rozejrzyj się. Poczytaj gazety. Tam znajdziesz odpowiedź. Dzisiaj jedno słowo wypowiedziane przez będącego na topie przedstawiciela barwnej grupy celebrytów ma większe znaczenie niż traktat naukowy.

W.Ż.: Nie otwieraj „puszki z Pandorą”! Nie wchodzę w ten temat. Mieszanie Dody, Toli i kilku innych tytanów umysłu z Gurdżijewem, a potem jeszcze z Mansonem, to już naprawdę szczyt abstrakcji. Jedno jest pewne, ale dla mnie trudne do zrozumienia. Współcześni ludzie, którzy głoszą wszem wobec wolność, niezależność i kwestionują niemal wszystkie autorytety, zadziwiająco łatwo wpadają w sidła rozmaitych sekt. Widocznie owe sekty dają im coś, czego nie znajdują gdzie indziej.

M.Ż.: Wiesz... Wybacz, ale kilka ostatnich zdań to takie bla, bla, bla. Wszyscy to wiedzą.

W.Ż.: Właśnie! Ale problem polega na tym, że nikt nie kwapi się do poważnej analizy tego zjawiska. Wszystko, co można przeczytać na ten temat, to właśnie takie bla, bla, bla, jak zaprezentowałem

przed chwilą. A może byłoby dobrze prozrebać trochę przy tym problemie? Myślę, że Jacek Sieradzan mógłby się pokusić.

M.Ż.: A zwróciłeś uwagę, że w książce „Od kultu do zbrodni” nie ma praktycznie pustych stron? To znaczy takich, które służą powiększeniu wierszówki autora?

W.Ż.: Pełna zgoda. Nie ma nawet ćwierć pustej strony. Tę książkę można otworzyć na dowolnej stronie i zacząć czytać. Gwarantuję, że wciągnie bardzo skutecznie.

M.Ż.: Mam pewien niedosyt po naszej dzisiejszej rozmowie. Ani słowem nie nawiązałeś do swojego ulubionego tematu. Ani razu nie wspomniłeś o tym, jak złym, komicznym i mało wydajnym ustrojem jest demokracja. A przecież i takie wnioski można wyciągnąć z książki Jacka Sieradzana.

W.Ż.: Wydawało mi się to tak oczywiste, że rzeczywiście nie dokonałem odpalenia torped w dumny krążownik demokracji. Już naprawiam ten błąd. Historie opisane przez autora „Od kultu do zbrodni” świadczą o tym, jak wielką jest potrzeba wodzostwa oraz silnej idei we współczesnych społeczeństwach. Ludzie oddają bez wahania „wolność, równość, braterstwo” i poddają się magii silnej osobowości. A zmieniając temat... Przyszło mi właśnie do głowy, że na książkę Jacka Sieradzana warto spojrzeć pod jeszcze innym kątem. Nie wiem, czy autor miał taki zamiar, ale na podstawie przytoczonych przez niego faktów można wyciągnąć na przykład ciekawe wnioski dotyczące tego, czym jest ekscentryczność. Wspomniany wielokrotnie Gurdżijew oraz pozostałe postacie z pierwszej części, a więc Crowley, Szandor, Radźniś, Jones, Lozowick i Krisznamurti, to moim zdaniem wcale nie są ekscentrycy! To tylko ludzie o niesłychanej wrażliwości, którzy starają się jakoś tłumaczyć i opisywać ten świat.

Tacy powinni być wszyscy ludzie, wtedy nasza rzeczywistość byłaby zdecydowanie lepsza. Każdy człowiek powinien dążyć do tego, aby stać się oryginałem pokroju Gurdżijewa.

M.Ż.: Jasne! I żeby była jeszcze sprawiedliwość i piwo za darmo... Przecież to czysta abstrakcja! Ale zgoda, przy takim założeniu, jakie zaprezentowałeś, rzeczywiście zniknęłaby szara ludzka masa, którą karmią się sekty. No i wówczas Jacek Sieradzan nie miałby szans na napisanie drugiej części swego dzieła, tej o szaleńcach. A właściwie nie o szaleńcach, a o społecznych skutkach ich działań.

W.Ż.: Oczywiście! Ludzie o silnej osobowości, a to oni robią najczęściej za tak zwanych ekscentryków, są dla wariatów praktycznie nietykalni. Guru żerują na osobnikach, którzy mają w umyśle jakieś puste karty do zapisania. U jednych jest to wiedza, u innych uczucia, a u jeszcze innych potrzeba duchowości. Dają to ludziom i... i stają się ich guru. Manson dosłownie stemplował mózgi swoim wyznawcom. Wdrukowywał im gotowy światopogląd. Dawał ideę ludziom bez idei oraz pozorny sens bezsensowi. Okazuje się, że to jest dla współczesnego, wolnego człowieka niesłychanie ważne.

M.Ż.: Gdyby zapytać jakiegoś przedstawiciela z pokolenia Krytykujących Wszystkie Absoluty, Konwenanse, Wartości i Autorytety, dowiedziałbyś się, że opowiadasz bzdury, bo wolność wypowiedzi wszystkich o wszystkim jest podstawową cywilizacyjną zdobyczą.

W.Ż.: Pokolenie KWAKWA. Toż to jawna prowokacja polityczna i religijna!

M.Ż.: To co, zakładamy sektę?

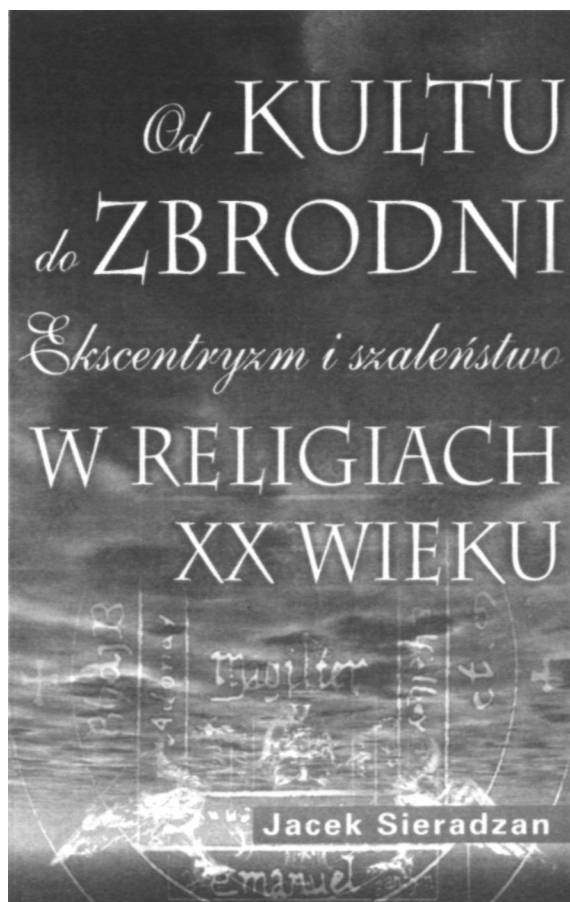
W.Ż.: OK! Ale zgadzam się tylko na sektę wyznawców tomu „Od kultu do zbrodni”. To dobra książka i po prostu należy jej się grono wiernych wyznawców. Powinna znaleźć się w domu każdego, kto chce mieć świadomość tego, jak wyglądało ostatnie półwiecze rozwoju naszej cywilizacji.

M.Ż.: Powinna też wyładować na półce każdego, kto ma ambicje literackie...

W.Ż.: Zdecydowanie!

M.Ż.: Ta książka pokazuje świat, z którym większość ludzi nigdy się nie zetknie. Świat egzotyczny i groźny. A przecież literatura karmi się niezwykłością. I nawet jeśli udaje, że tak nie jest, to tylko konwencja. W rzeczywistości pisarze czerpią pełnymi garściami z takich książek, jak „Od kultu do zbrodni” Jacka Sieradzana.

W.Ż.: Czerpią, czerpią. Natchnienie oczywiście!



KRESKÓWKI DLA DOROSŁYCH

Feliks W. Kres

Siedząc na tyłce

Z właściwą sobie fanfaronadą oznajmiłem miesiąc temu, że biadolić i narzekać umiem jak mało kto, następnie zaś udowodniłem coś przeciwnego.

W ogóle nie umiem biadolić. To miało być biadolenie? Kompletna amatorszczyzna. Myślałem, że jestem lepszy. Pisząc felieton, zacierałem ręce - „Ależ sobie pięknie, kurczę, biadole!” Przeczytałem to teraz, dosłownie przed chwilą... Nędza, proszę państwa. Tak to jest, jak się pragnie napisać o wszystkim. Było wybrać jedno zagadnienie i uczciwie wywieść, o co chodzi. A tak... Trochę o tym, trochę o tamtym, summa summarum nie przekonałem nawet samego siebie; byłbym zdziwiony, gdyby jakiś czytelnik uznał, że mam słuszość.

A przecież wystarczy przejrzeć pierwszy z brzegu wywiad z działaczką ruchu feministycznego, by dowiedzieć się, co to jest prawdziwe biadolenie. Porcja przeraźliwych babskich jęków, stękań, od których uszy bołą. I wystarczy dwie minuty pogadać z zaangażowaną feministką, by dojść do wniosku, że całe to równouprawnienie to jednak był głupi pomysł. Trawestując prezydenta, chciałoby się zawołać „Spieprzaj, babo!” A do rondli, do pieluch, gdzie mi tutaj, na salony intelektualne, garkotłuku...

Nie podpisuję się pod spostrzeżeniem, że feministki to zakompleksione, brzydkie niewiasty, niezaspokojone seksualnie. Bzdurny, złośliwy mit. Jest akurat odwrotnie: to z reguły inteligentne, przebojowe i co najmniej średnio urodziwe laski, które osiągnęły wszystko, co sobie zamierzyły, a teraz nie mają pojęcia, na co by tu jeszcze spożytkować nadmiar energii. Łażą więc i trują dupy, jakim to wysiłkiem okupiły swój sukces, jak walczyły z paternalistycznym społeczeństwem, a jej sąsiadka Kowalska, o proszę, czwórka dzieci, żadnych sukcesów, tylko dom i bachory - wszystko przez męski szowinizm.

Nie. Kowalska, proszę pani feministki, ma dwucyfrowy wskaźnik IQ, zero pomysłów na życie, ogląda „Modę na sukces” i choćby nawet sam Pan Bóg popychał ją palcem ku lepszej przyszłości, nie osiągnie niczego, bo większość ludzi właśnie niczego istotnego nie osiąga. Chyba że za osiągnięcie uznać przekazanie kolejnemu pokoleniu świętych genów.

Niewiele opowiadał ostatnio o konkretnych problemach związanych z tworzeniem dzieł literackich. Ale jest w tym pewien zamysł. Pytanie: czy sensowny. W każdym razie, zamysł jest, słowo daje. Otóż, nim napiszę o sprawach takich, jak wolność słowa i swoboda wypowiedzi w literaturze bądź granice i sens artystycznej prowokacji, powinienem się jakoś przed-

stawić. Jako człowiek, gość o określonych poglądach - toż przez pryzmat tych poglądów będę opowiadał o celowości różnych literackich przedsięwzięć. Nie istnieje żadna nadrzędna, niebudząca wątpliwości reguła, rozstrzygająca co wolno, a czego nie wolno w książce popularnej. To, jak zwykle, będą tylko moje poglądy i opinie. Jeśli mają zostać zrozumiane, warto choć z grubsza pokazać, skąd się biorą.

No to wróć do feminizmu. Przypomnę najpierw, że pisze te słowa facet, w którego książkach trudno znaleźć pierwszoplanowego bohatera - znacznie, znacznie łatwiej bohaterkę. Lubię kobiety i nie chcę, żeby zabrzmiało to tak, jak „lubię koty”. W owym „lubię” kryje się taki sens, że przyjmuję i akceptuję kobiecy sposób patrzenia na świat, zresztą nader często znamionuje mnie podobne, zupełnie niemęskie podejście do rzeczywistości. Łatwo godzę się na istnienie sprzeczności, coś może być równocześnie czarne i białe, a dlaczego nie? Umieję też pozostawiać sprawy nierozstrzygniętymi, nie mówię, że czegoś tam nie wiem i na jakiś temat nie mam wyrobionego zdania. Ale z drugiej strony potrafię też czasami „po męsku” podejść do problemu, poszukać jednoznacznego rozstrzygnięcia, powiedzieć „ma być tak, nie inaczej”. Krótka mówiąc, dysponuję dość rzadkim typem umysłowości uniwersalnej, zewnątrznie jestem facetem, w środku pół na pół, a to znaczy, że wszędzie uchodzę za cudaka - taka panna wodna, syrena, ni to kobieta, ni ryba - ani to zjeść, ani puknąć. Wiem, jakich żona używa kosmetyków, obchodzi mnie zawartość jej szafy, odróżniam pantofelek od czółenka i swobodnie kupuję biustonosze, bo litery i cyfry rozmiarówki wchodzą mi do głowy znacznie łatwiej niż, powiedzmy, marki samochodów (o nazwiskach sportowców nawet już nie wspomnę). Wielkie nieszczęście, naprawdę. Przysnążę się do tej wady, bo ma duże znaczenie, fundamentalne zgoła, dla wszystkiego, co mówię i myślę o czymkolwiek. Także o literaturze.

A szczególnie o feminizmie. Moja kobieta część duszy czuje się nim obrażona.

Jestem antyfeministą. Otóż uważam, że kobiety nie są lepsze ani gorsze od mężczyzn, mam natomiast wrażenie, że są trochę inne, i gotów jestem tego stanowiska bronić. Feministki (i feminiści) odwrotnie: twierdzą, że żadnych różnic nie ma, poza całkiem powierzchownymi, a kobiety nijak sobie nie poradzą, jeśli nie zapewnić im z urzędu różnych parytetów, dodatkowych

punktów za płęć itp. Antyfeminista (czyli ja) stanowczo twierdzi, że zupełnie nic nie stoi na przeszkodzie, by od następnych wyborów polski parlament składał się z samych mężczyzn albo samych kobiet, zdecyduje o tym wola wyborców obojga płci. Feminista (czyli nie ja) stoi zaś na stanowisku, że to absolutnie wykluczone, bo te głupie krowy nijak się bez pomocy nigdzie nie dostaną i nikt do niczego ich nie wybierze, nawet same się nie wybiorą, rządzący mężczyźni winni więc zapisać w ustawie, że chcą czy nie chcą, mądre czy głupie, krowy czy nie krowy, ma ich być pięćdziesiąt procent wszędzie tam, gdzie stoją jakieś konfitury (bo przecież nie wśród śmieciarzy), a na straży tego prawa postawić policjanta oraz policjantkę oczywiście.

Dalej: uważam i twierdzę stanowczo, że kobieta jest obywatelką - zupełnie tak, jak mężczyzna jest obywatelem. Feminista odwrotnie, utrzymuje, że oprócz rzecznika praw obywatelskich niezbędny jest rzecznik praw kobiet. Przecież tak jak mamy lekarza i weterynarza - tak samo mieć musimy rzecznika praw obywatelskich i rzecznika praw kobiet, a każdy z nich niech się zajmuje tym, co do niego należy. Trudno, żeby lekarz medycyny leczył kozy, a rzecznik praw obywatelskich zajmował się kobietami - próbują przekonywać feminiści.

Jeśli w konstytucji stoi, przykładowo, że „Wszyscy ludzie są równi wobec prawa”, to feminista będzie nalegała, żeby tam dopisać „i kobiety też”.

Mógłbym opowiadać jeszcze długo, czym się różni feminizm od mojego antyfeminizmu, ale pora odnieść to do powieściopisarstwa. Bo co ma wspólnego jedno z drugim?

Otóż ma. Można na przykład wypichcić ustawę nakazującą wprowadzenie do słowników języka polskiego żeńskich odpowiedników wszystkiego, szczególnie zaś wykonywanych zawodów, że niby kierowca - kierownica albo kierowczyni, gość - gościni lub gościowa, strażak - strażaczka, skurwysyn - skurwycórka. Tak nawiasem mówiąc, należałoby w takim razie stworzyć męskie odpowiedniki chociażby części ciała, bo nie widzę żadnego powodu, dla którego ją, mężczyznę, mam być uwieńczony głowami, nie zaś głowem i kopać coś nogą zamiast nogiem (oczywiście w zamian kobieta powinna mieć prawo napełnienia swej żołądki chlebem). Dlaczego mam się składać z członków i organów rodzaju żeńskiego, takich jak ręce, wątroba, dwunastnica?... Wątrób i dwunastnik brzmiałoby chyba lepiej.

Można w imię jakiejś ideologii sprofanować i zeszmacić wszystko, nawet język; w każdym razie można próbować, bo

z językiem nikt jeszcze nie wygrał. Różne nowe, czasem niestety obce i paskudne formy przyjmują się oddolnie, ludzie będą gadać tak, jak im się spodoba, bo język służy przede wszystkim do komunikowania się jednych osobników z innymi. Można sobie wyobrazić ludzki świat bez innych funkcji języka (na przykład bez funkcji artystycznej), ale nie bez tej podstawowej. To oznacza, że da się kontrolować co najwyższej formy urzędowe - no i literackie (cenzura).

I powiada to wszystko autor, który w swoich książkach bez żadnego przymusu i wsparcia ze strony chorych ideologii używał takich żeńskich form, jak „ministra” albo „kapitana”. Wolno mi. Jestem pisarzem i język należy do mnie, jest moim tworzywem i polem działalności. Czy poruszam się na tym polu z wdziękiem, zechce ocenić czytelnik, czyli użytkownik języka. Zaproponowane formy gramatyczne bądź neologizmy uzna za fajne i wprowadzi do języka codziennego, zaakceptuje tylko na potrzeby powieści bądź w ogóle odrzuci, uzna za uwierające i nie sięgnie po następną moją książkę albo nawet nie doczyta rozpoczętej. Niemniej skłonny jestem czasem zaryzykować, stoi za tym pewien zamysł artystyczny (a jakże). Podejmuję się przetestować w książce zupełnie dowolne słowo bądź formę gramatyczną, jeśli dojdę do wniosku, że z jakiegoś powodu warto.

Uważam, że w taki właśnie sposób, po prostu coś proponując, należy podejmować próby naprawiania świata, jeśli już koniecznie trzeba go naprawiać. Zakazy i nakazy winny być chyba zarezerwowane dla spraw naprawę ważnych i niekontrowersyjnych (ochrona własności, na przykład, raczej nie wzbudza kontrowersji). Zawsze więc stanę okoniem, gdy obije mi się o uszy, że należy urzędowo wprowadzić do języka takie bądź inne formy w celu rozwiązania jakichś tam kwestii politycznych, społecznych, obyczajowych. Można dyskutować o uproszczeniu

pisowni; można uznać za poprawne takie formy, które niegdyś uważane były za potoczne - ale to co innego. Język żyje, zmienia się, ewoluuje. Czym innym jest zaakceptowanie stanu faktycznego bądź wprowadzenie technicznych ułatwień, dajmy na to takich, jak uproszczenie ortografii (nawiasem mówiąc - jestem za, chociaż nie w tekstach literackich, bo te winny się rządzić własnymi regułami) - czym innym zaś gwałcenie i poniewieranie języka dla jakichś enigmatycznych racji.

Daleki jestem od przeceniania wpływu literatury na rzeczywistość. Kiedyś ten wpływ był większy, dziś maleje. Ale skoro tak, to tym bardziej proszę się odwalić od majstrowania przy zjawisku, którego złożoność przekracza zdolność pojmowania większości obywateli (i kobiet - zaraz dodałby feministka). Powiem to jeszcze raz: pierwszy przyklasnę próbom zainstalowania w literaturze zupełnie dowolnych form, bo pisarze (i pisarki) od tego właśnie są: od bawienia się słowem, a wartość proponowanych przez nich zabaw zweryfikuje czytelnik. I tak samo pierwszy będę grzmiał - a nawet gryzł i drapał niczym słoń - gdy dojrzę próby zadekretowania jakichkolwiek form językowej poprawności politycznej.

Bitwy toczone na polu języka wygrywa się i przegrywa. Beznadziejnie, na przykład, została przepieprzona językowa wojna o aborcję. Prawie nikt już nie mówi zygota, embriion, zarodek - mamy życie poczęte albo i dziecko poczęte. Przegrywając takie wojny, można potem oglądać grupę ludzi tłukących wandala, co to wziął i podeptał małe dęby, zanim wyjdzie na jaw, że chodziło o żołądź na chodniku. Kiwam głową nad takimi przegranymi wojnami i minę mam raczej kwaśną, ale uczciwość każe mi powiedzieć, że toczone były w sposób honorowy, zgodny ze wszelkimi zasadami. Prokurator nie ściga nikogo, kto powie „zarodek” albo „embriion”. Nie istnieje prawo nakazujące mówić

„życie poczęte” (swoją drogą, okropny to jest twór językowy), nikogo też się za to z urzędu nie nagradza. Chociaż więc skutek tej bitwy niezupełnie jest po mojej myśli, to powiem, że tędy droga. Czyli, jeśli środowiska feministyczne sprawią, że ludzie „sami z siebie” zaczną mówić piekarka albo szewczyni - tak jak mówią lekarka, dozorczyjni - no to trudno. Niepięknie to będzie w moich uszach brzmiało, ale co poradzę? Przecież nia zakażę ludziom mówić tak jak im wygodnie, tak jak się najlepiej rozumieją. A po dziesięciu lub piętnastu latach szewczyni trafi do słownika najpierw jako forma dopuszczalna, potem zaś poprawna. (Prawdę mówiąc, cały czas jest chyba poprawna i dopuszczalna, a tylko nieużywana - toż spełnia wszystkie wymogi językowe, można to cudactwo odmieniać przez przypadki... Nie wiem, nie jestem językoznawcą. Bez żadnych oporów zastosuję podobną formę w powieści, jeśli przyjdzie mi na to ochota.)

A tak swoją drogą, co do politycznej poprawności... Otóż jeśli stracę kiedyś władzę w nogach i ktoś nazwie mnie, kalekę, „sprawnym inaczej”, to oderwę poręcz mego wózka inwalidzkiego i dam w mordę z taką siłą, że grono „sprawnych inaczej” ulegnie powiększeniu. Jestem, owszem, otwarty na propozycje, lecz są chyba jakieś granice bezczelności.

Feliks W. Kres

Namiary:

Listy zwykłe (z odbiorem poleconych mam problemy) proszę kierować pod adresem:

Feliks W. Kres

skr. poczt. 1

90-955 ŁÓDŹ 8

z dopiskiem na kopercie: KRESKÓWKI
Nie oceniam nadesłanych utworów.

Proszę raczej o papier - wydruk albo rękopis - niżli nośnik elektroniczny.



SUPERHERO

SUPERKONKURS

SZCZEGÓŁY NA NASZEJ STRONIE INTERNETOWEJ
JUŻ 3 CZERWCA!

A-T-O-M-I-S-T-Y-K-A

Adam Cebula

Światowy spisak, czyli Kongres futurologiczny

Porządna książka SF traktuje o panowaniu nad światem. Bohater albo zapobiega zapanowaniu, albo uwalnia świat od tego panowania. Tymczasem postanowiłem napisać książkę o fotografii. Głównie w celu zarobienia pieniędzy, gdyby się kto pytał: po co. A tych, którzy wiedzą, że na fotografii się nie znam, rozczaruję: nie o tym, co się zwykle pisze w takich książkach, ma być to dzieło. Zatem nie pokrzykują sobie tak łatwo, jak im się wydaje. Owszem, na naszym rynku jest mnóstwo świetnych książek, zwłaszcza niepolskich autorów, do których ani mi się równać. Brak mi krztyny uznania, cechuje mnie wręcz dyletantstwo. Jakże więc mając tego świadomość, siadać do klawiatury?

Ano trzeba mieć jakiś pomysł albo coś do opowiedzenia.

Moje odkrycie sprowadza się do tego, że gdy otworzymy tak zwane czasopismo konsumenckie, to w rzeczywistości jest to jeden wielki folder reklamowy, który od początku do końca namawia nas, żebyśmy coś kupili.

Książki poświęcone fotografii są w tym względzie mniej nachalne, lecz większość z nich zaczyna się od dywagacji, co nabyć. Zresztą dotyczy to także innych hobby - powiedzmy, że chcielibyśmy upiec sernik; otwieramy książkę kucharską i zaczynamy rozmyślanie o piekarnikach, formach już to powlekanych teflonem, już to ze stali nierdzewnej lub kwasoodpornej, termometrach kuchennych, budowie kuchni na zamówienie...

A gdzie przepis na sernik?!

Tak też w przybliżeniu wyglądają książki o fotografii. W tych lepszych gdzieś od jednej trzeciej, połowy zaczynają wyniszczać przepis na sernik, ale rychło wracają do dywagacji o mikserach szybkoobrotowych czy ultradźwiękowych trzepaczkach (tak! Wśród sprzętu kuchennego występuje takie coś ultradźwiękowe, oczywiście za ultrakasę).

Jako dyletant kilka podręczników nabyłem, przeczytałem i poczułem się obiektem światowego spisku. W najlepszym razie producentów sprzętu, w gorszym - światowej finansier(ry), lobby przemysłowo-bankowego czy bawarskich cyklistów.

Ze wszystkich bowiem wyciekały konkluzje, że to stare co mam, to nic, tylko wyrzucić, a nowe trzeba mieć firmy tej czy tamtej, zlecać na maszyny jeszcze innego koncernu, posługiwać się materiałami renomowanych firm, wydać wiadra pieniędzy na oprogramowanie. No i wtedy ewentualnie można zacząć o czymś myśleć...

Pomysł na książkę jest taki: spróbować odpowiedzieć na pytanie, jak w tym marketingowym kociokwiku nie zgłupieć i robić zdjęcia, nie dając się opętać zakupowej szajbie. W części pierwszej rozważałyby się nad tym, jak robić zdjęcia p o m i m o w s z y s t k o . Zastąpiono bowiem aparaty o lepszych parametrach gorszymi... Coś konfabuluje? Skądże - na przykład jasne obiektywy zamieniono na... niezbyt jasne i tam, gdzie właściciel zabytku z czasów enerde nie ma problemu, posiadacz „cyfry” niewiele zdziałał nawet ze słynną stabilizacją obrazu na pokładzie, gdy mu się model rusza. Tam,

gdzie „analogiem” bez trudu wydobędzie się główny motyw za pomocą głębi ostrości, właściciel kompaktowej „cyfry” jakkolwiek by kręcił, nic wykręci. Do tego dochodzi jeszcze przekonanie, że skoro ma tyle pstryczków, przycisków, kłapeczek, wszystko pika i błyska samo, jest lepsze. I jeśli nie zrobiło zdjęcia, to pewnie ja nie umiem przycisnąć albo piknąć. I jakże tu uwierzyć, skoro to cudo takie cudowne, że w gruncie rzeczy mam lekki szajs, podkolorowany iluzją wysokiej jakości.

Prawdziwą przeszkodą są inne iluzje, które nazwałbym poprawnością technologiczną. Rzecz wyniszczę na przykładzie z dziedziny tyleż odległej od fotografii co powszechnej: powiedzmy, że chcemy napisać list. Wyjmujemy kartkę, maczamy pióro w kałamarnu... O nie! Tak przecież nie wolno!

Trzeba uruchomić komputer. Prawdziwy komputer, który potrafi poprowadzić flotyllę statków kosmicznych na Marsa, wyliczyć liczbę pi z dokładnością do milionowego miejsca po przecinku... No ale dobrze - skoro komputery są wszędzie... Jednakże im dalej w las, tym więcej sęków. Trzeba użyć programu do edycji tekstu, czyli jedynie słusznego procesora tekstu, trzeba mieć system operacyjny, w którym ów procesor zwany „lordem” ruszy, trzeba mieć odpowiedni papier w drukarce, której w dodatku trzeba zakupić odpowiedni toner. Zdawać by się mogło, że skoro już to wszystko mamy, napisanie listu to przyszcz. Włącz sobie, Czytelniku, stoper i sprawdź, ile startuje ci „wiśtawio”, ile ładuje się łord, ile burczy drukarka, nim ruszy, ile to wszystko trwa, podczas gdy ty chcesz napisać tylko kilka zdań. Pomyśl, ile czasu zajęło poznanie interfejsu firmowego produktu, zsumuj wszystko, a mozesz dojść do niebezpiecznego wniosku, że nie do przodu, raczej wszystko w plecy. Widziałem wyniki badań bodaj amerykańskich nad efektami wprowadzania informatyzacji do zarządzania: kupa kosztów i żadnych zysków. Nawet tak oczywiste zastosowanie informatyki jak bazy danych tylko w nielicznych wypadkach okazują się lepsze od starych kart z dziurkami. Komputer sprawdza się w pracach biurowych tylko wówczas, gdy używa się go przy okazji robienia czegoś innego, na przykład grzebania w Internecie. Komputra wypada mieć... bez komputra ni ma jutra... i jakoś tak wyszło, że prosta

czynność, która wymagała wyciągnięcia kartki i umoczenia pióra w kałamarnu, skomplikowała się do stopnia wprost niemożliwego. Kto nas w to wpuści!?

W rzeczywistości jest znacznie gorzej: współczesny człowiek nie potrafi uwierzyć, że jeszcze niedawno ludzie potrafili żyć bez owej ogromnie skomplikowanej technologii: bo jak nie nastrzelać byków ortograficznych, nie powsadzać literówek, gdy nie ma uruchomionego automatycznego słownika?! Tia... Czy ktokolwiek zastanawia się nad tym, że dzięki owym słownikom można zatrudnić jako sekretarkę dowolną panią, która tylko trochę trafia w klawisze? I że naprawdę chodziło o cięcie kosztów osobowych, bo po co wykwalifikowana maszynistka, która nie tylko umie pisać metodą bezwzrokową, ale jeszcze wie, jak się co pisze?

Tyle że w rezultacie zatrudnienia pracowników o niższych kwalifikacjach wydatki wcale się nie zmniejszyły. Efekt ograniczył się do spadku kwalifikacji. Uzależniliśmy się od techniki. Dziś ludziom nie chce się w głowie pomieścić, że można było pisać czytelnie piórem, że można było bezbłędnie klepać w klawisze maszyny do pisania, że są jeszcze ludzie, którym przeskadzają automatyczne słowniki, bo ci ludzie lepiej od programu znają reguły pisowni i wyskakujące jak diabełek z konopi czerwone wężyki tylko ich wnerwiają.

Nie, nie jestem wrogiem informatyki. Doskonale wiem, jakiej strasznej mocy narzędziem jest LaTeX zastosowany do składowania książek, że uważny korektor + ów automatyczny słownik to prawie zero błędów. Że jedną z pierwszych implementacji komputera, gdy ten wychodził z klimatyzowanych sal na pokoje zwykłych śmiertelników, były właśnie edytory tekstu.

Chodzi tu tylko o ten moment, gdy postęp zamienia się w iluzję postępu. Gdy sytuacja, że można więcej, zamienia się na taką, że ani więcej, ani szybciej, ale ciesz się, konsumentcie, bo nasz firmowy produkt cię wyręczy. Co prawda zrobi coś, co człowiek z różnych powodów zrobić powinien sam, co prawda robi to gorzej, ale my zarobimy, zaś dzieci już nie będą potrafiły robić tego, w czym zastąpiło cię dzieło naszego koncernu, i odtąd zawsze już będą naszymi klientami.

Trochę wydumany przykład: alfabet Morse'a. Pamiętacie, jak pilot Pirx w kabinie nawigacyjnej nasłuchiwał nadawanych na telegrafie odgłosów katastrofy? To popiskiwanie słyszane czasami na falach krótkich zawsze niesie ze sobą klimat przygody. Był taki moment, że prawie się nauczyłem jako tako odbierać ze słuchu, wykonałem kilka kluczy. Ale przestałem ćwiczyć... Czy ktoś jeszcze pamięta czasy, gdy usiłowano zachęcać młodzież do opanowania tej sztuki, bo uważano ją za bardzo przydatną? Możesz, Czytelniku, nie wierzyć, ale dwie osoby znające Morse'a są w stanie w górach po zmroku komunikować się za pomocą np.

zwykłej ręcznej latarki na odległości 2-5 km i tempo przesyłania istotnej informacji jest mniej więcej takie jak przy rozmowie telefonicznej, a nawet większe. Pomaga „kod Q”, taki międzynarodowy język telegrafistów. W wersji nieoficjalnej bardzo dobrze dostosowany do sytuacji, w których łączność jest naprawdę potrzebna. Chyba każdy mieszkaniec Europy i Ameryki Północnej, gdy zobaczy lub usłyszy sygnał „trzy kropki, trzy kreski, trzy kropki”, wyciągnie komorę i zawiadomi odpowiednie służby, że być może ktoś wpadł w poważne tarapaty.

„Titawa” jest wyjątkowo dobrze dostosowana do zmysłów człowieka i wyjątkowo dobrze pasuje do różnych możliwości technicznych. Znając ten alfabet można się porozumiewać „byle-czym”. Można się nawet obyć bez lamp i tranzystorów.

Gdy mamy tranzystory czy lampy, nadajnik „foniczny” jest mniej więcej tak samo skomplikowany jak telegraficzny. Dla początkującego elektronika amatora jest różnica, ale dla ciut bardziej zaawansowanego problem powstaje dopiero przy tak zwanej modulacji jednowęstęgowej - zrobienie nadajnika z modulacją amplitudy, a także bardzo dobrej jakości nadajnika z modulacją częstotliwości to przysłowiowy „pryszcz”.

Mało osób zdaje sobie sprawę, że nadajnik jest generalnie urządzeniem dużo bardziej topornym niż odbiornik. Prawdziwą sztuką elektroniczną majster-klepka wykazuje się właśnie przy budowie odbiorników, które są identyczne dla telegrafii i fonii. Pasjonat techniki, nie zbieracz kart QSL (pocztówek, na których potwierdza się łączność) ma mniejszy napęd do nauki Morse'a.

Tymczasem to na telegrafii uzyskuje się największe zasięgi w łącznościach. Aby było śmieszniej, przy tłoku panującym na krótkich falach tempo przekazywania informacji w warunkach silnych zakłóceń, gdy ledwo da się wysłuchać sygnał, jest zazwyczaj znacznie lepsze dla telegrafii niż dla fonii. Przy pewnym poziomie szumów działa już tylko telegrafia. Co więcej, współczesne odbiorniki komunikacyjne da się wyposażać w specjalne filtry „telegraficzne”, które w przeciwieństwie do czasem stosowanych, nieco magicznych „filtrów mowy” bardzo dobrze działają w oparciu o solidne zasady fizyczne i bardzo mocno poprawiają jakość odbioru.

Można powiedzieć, że każdy kanał łączności przedstawiony w tryb telegraficzny będzie bardziej niezawodny. Zaś oczywisty postęp techniczny w postaci możliwości transmisji głosu może się okazać iluzją postępu wynikającą tylko z tego, że historycznie pierwsze nadajniki iskrowe na nią nie pozwalały.

Jest w tym wszystkim jednak coś warte zastanowienia. Krótkofalowiec to człowiek, który stara się innemu, sobie podobnemu za imponować łącznością przeprowadzoną w jak najbardziej karkołomnych warunkach. Jak choćby poprzez odbicie od Księżyca, za pomocą nadajnika z jakąś mikroskopijną mocą, w czasie gdy „zdechła” całkiem propagacja. Oczywiście gdy się chce coś takiego zrobić, odchodzenie od telegrafii jest strzałem we własną nogę.

Pewności nie mam, ale była teoria nacisku korporacji. Wielkie firmy, jak choćby Kenwood, chciały sprzedawać maniakom, a więc idealnemu klientowi, możliwie najbardziej wypchany bajerami sprzęt. Nie dało się sprze-

dać „heurystycznego filtra mowy” (było coś takiego jakiejś nieznannej firmy) człowiekowi, który pracuje na telegrafii. Niektórzy starzy mistrzowie klucza domyślali się, że konkretny wskaźnik „po kosztach” podstawowe zestawy nadawczo-odbiorcze, oczywiście ze wszystkimi rodzajami modulacji fonicznej. Po to, żeby młody radiowiec nigdy nie opanował porządnie titawy. Chodzi o zaimplementowanie dysfunkcji targetowi: będzie na dobre uzależniony. A tu w Polsce, jak trafisz na takiego korespondenta, możesz się „bucnąć” ze swoim mistrzowskim opanowywaniem klucza, wywalić telegraficzne słuchawki z rezonansem na 800 hercach: musisz się dostosować do jego niezgulstwa. No ale przeskadzająca handlowi umiejętność wkrótce zostanie na trwałe wypłonią.

Zali nie przesadzam? Widziałem już buty na rzepy trzymające sznurówki. Nie trzeba umieć wiązać. Taki to jest mniej więcej postęp. Ich właściciel, dziś dziecko, pewnie nigdy nie nauczył się wiązać żadnego węzła, z dużym prawdopodobieństwem jako dorosły zawsze będzie musiał chodzić także w takich butach.

Kiedyś jeden z kolegów krótkofalowców postukał w kaloryfer i kumpel w piwnicy odkręcił wodę. Wszyscy niekrótkofalowcy się śmiali. Przecież mógł zadzwonić! Chyba ma komórkę? Posługiwanie się alfabetem Morse'a jest... No co można wymyślić, by zdyskredytować facetów, którzy potrafią coś, czego sami nie umiemy? A, tak! To jest... śmieszne! Dlatego konieczny jest system skomplikowanych cyfrowych nadajników i opłacanie abonamentu, dzięki czemu można też wysyłać SMS-y. Owszem... trochę to telegraficzne z wyglądu, równie kłopotliwe jak telegrafia, równie powolne, nawet powolniejsze, ale na pewno nie staroświeckie.

Nauczanie zarówno posługiwania się planem miasta, jak i mapą, nie mówiąc o samodzielnym określeniu geograficznego położenia za pomocą szkolnego kątomierza jest znaną nienowoczesną, tak jak posługiwanie się kompasem. Wprowadzić z tą umiejętnością cholernie trudno się zgubić, nawet gdy nie działa GPS, który zresztą zostawiliśmy w domu, ale może ona prowadzić do poczucia niezależności, a w konsekwencji romantycznej postawy wobec świata, którą czym prędzej trzeba wyleczyć u psychoterapeuty.

Jak mi się zdaje, jest coś jeszcze. Nieuchwytnie, kulturowe... Co się w oczy rzuci najbardziej. „Posiadający telegrafii” potrafi się kontaktować za pomocą właściwie wszystkiego, machania ręką, stukania, lecz nie to jest najważniejsze. Delikwent przede wszystkim uczy się jasno formułować myśli, przekazać je i milczeć, gdy nie ma potrzeby... nadawania. Tyle że dziś, jak cię nie ma w googlach, to nie istnieje. Nie nadając, możesz zniknąć! Aj-waj!

No, cóż... Lamentować, że ktoś nie umie tego ta-ti-ta? W dobie telefonii komórkowej diabli wzięli miłą i elementarną kiedyś umiejętność umawiania się na określoną godzinę na spotkanie, umiejętność posługiwania się adresem, by dotrzeć do kogoś. „Jestem koło takiego żółtego kiosku... Widzicie mnie? A ja was nie!”

Dziś pomysł, żeby człowiekowi dać zamiast walizki elektronicznego sprzętu - umiejętności, a choćby i śmieszną „titawę”, czy nauczyć rosyjskiego, nie mówiąc już o wiązaniu buta, jest obrazoburczy. Korporacje mają nas? A my ich nie...

Jak to jest z tym spiskiem światowym? Jeśli chodzi o fotografię, od której zacząłem, to bardzo starzy górale wspominają swego rodzaju apokalipsę: inwazję Japończyków na światowe rynki. Miała być zмова kilku firm w celu wywindowania cen oraz wprowadzenia dominacji Azjatów. Jeśli jednak się dobrze przypatrzeć, okaże się, że na przykład bardzo intratny segment interesu pozostał w rękach Europejczyków, a ceny... chyba spadły.

Podobnie, choć korespondentami polskich krótkofalowców byli właściciele firmowych urzędzeń, które tylko skłaniały, a nie zmuszały do używania fonii, każdy wiedział, że by w eterze dokonać czegoś niezwykłego, trzeba trafić na drugiego telegrafistę.

Zaś buty, choć mają rzepy, można wiązać normalnie. Jeśli nawet istniałoby jakieś zakonspirowane światowe centrum, którego członkowie podejmowałyby decyzje na globalną skalę, bardzo prawdopodobne, że jednocześnie byłoby to pensjonariusze jakiegoś dobrze zamkniętego psychiatryka.

Dlaczego czasopisma konsumenckie, „nasze”, czyli utrzymywane z kieszeni klienta, nie tylko foto- ale i moto-, i cyber-, namawiają do kupowania? Dlaczego nami manipulują? Skąd im się to bierze? Banalne byłoby, gdyby ktoś udowodnił, że jest jakaś tajna umowa pomiędzy wydawcami i producentami. Byłoby to skandaliczne przestępstwo, ale przy tym banalne, jak banalny jest wam prosty z użyciem łapki cielskiej zwanej błędnie łomem. Banalne i mniej więcej tak trudne do wykrycia, jak fakt użycia owej łapki do otwarcia sobie drzwi. Nie, takich umów nie ma, przynajmniej nigdy nie udało mi się natrafić choćby na ślad spisku.

Banalne i przez to nieskuteczne jest także twierdzenie, że takiego czegoś, jak namawianie do kupowania, wcale nie ma. „Ależ skąd, to tylko kolorowe gazety zajmujące się oceną nowych produktów, nic więcej... One wcale nie namawiają, tylko oceniają, ba, nawet przestrzegają, żeby nie kupić jakiegoś badziewia.” No... W zasadzie. Tak... też można powiedzieć.

Można też twierdzić, że zawartość takich pism nie reklamuje niczego. Redakcja nie ma złych zamiarów, chce zarabiać. Ale prawdziwa reklama w pismach konsumenckich sporo kosztuje i jest na nią mało chętnych. W rezultacie trzy czwarte gazety potrafi zawierać opisy nowych produktów, i to z takich gazet, a nie z reklam, które albo się wyłącza, albo wywala do kosza, ludzie dowiadują o nowinkach na rynku.

Chyba więc ludziska chcą to kupować. Co? Namawianie do kupowania.

Przypomina to sytuację z książek i filmów SF. Oraz zaczadzone psychotropami społeczeństwo z „Kongresu futurologicznego”. Niby sterowania nie ma, niby wszystko dokonuje się z własnego wyboru, niby chcemy tego, ale...

No właśnie, kto za tym stoi, w czym to wszystko interesie?!

Gdy piszę ten tekst, trwa w najlepsze kryzys na światowych giełdach, spowodowany - jak się powszechnie pisze (ale czy uważa?) - niewypłacalnością drobnych amerykańskich kredytobiorców, którzy zadłużyli się pod budowę swoich domków.

Tak na marginesie owej niewypłacalności: pewien amerykański ekonomista, wymieniany w kontekście nagrody Nobla, wspominał, że koszty wojny w Iraku trwającej już pięć lat

mogły wynieść około 3 bilionów dolarów, czyli mniej więcej 10 tyś. USD na mieszkańca USA. Oficjalnie jest tych USD 6 razy mniej, lecz biorąc pod uwagę, że to dane rządowe, które powinny być optymistyczne, to zapewne prawdę mieści się gdzieś pośrodku. Czyli nasz ekonomista co do rzędu raczej się nie myli.

Na ile owe 3 biliony (wobec różnic w nazewnictwie wyjaśniam, chodzi o 3 tysiące miliardów \$) mają coś wspólnego z dołem, w jaki wpadła gospodarka USA?

Na internetowych forach wiele osób twierdzi, że na pewno nie. Bo po pierwsze, żadnego doła nie ma. To, co się dzieje, to wielkie czesanie leszczy. Wielcy inwestorzy „trzępią” z akcji mniejszych. Mniejsi już to z powodu słabych nerwów, już to z braku kapitału sprzedają swoje akcje. No i kto wie, o co chodzi, nie da się i nie straci. Wystarczy poczekać i tym sposobem przetrwać knowania światowej, wrażej nam finansjery.

Nie byłbym takim optymistą. O tym, że z gospodarką aktualnego światowego zandarma nie jest najlepiej, mówiło się już co najmniej rok, dwa lata temu. Co najmniej 10-20 lat temu mówiono, dlaczego jest dobrze, i to dobre, co mówiono, nie wyglądało najlepiej.

Jedną z przyczyn utworzenia strefy euro była chęć przeciwstawienia się wyjątkowo silnej pozycji dolara na światowych rynkach. Silny dolar, mówiono to oficjalnie, jest jednym z najlepszych towarów eksportowych USA. Oznacza to w uproszczeniu tyle, że mennica USA może dodrukować „sałaty” i bezpiecznie zakupić za nią potrzebne towary, na przykład ropę naftową. Nie szkodzi, że zielone nie mają pokrycia w towarze. Ich właściciel nie bał się inflacji, ufał, że gdy będzie czegoś potrzebował, kupi za nie, co zechce. Bo inny kupiec równie chętnie wymieni swe towary na zieloną walutę.

Nigdy jednak nie było tak prosto, jak się pisało - że gwarantem wartości dolara była silna gospodarka USA.

To zjawisko, które notabene utrzymywało się przez całe dziesięciolecie, było zachętą do dość osobliwych pociągnięć Amerykanów, jak na przykład do patentowania wszystkiego, łącznie z jednym kliknięciem myszki.

Posiadanie patentu podwyższało wartość firmy, a wraz z nią - wartość amerykańskiej gospodarki. Na podobnej zasadzie stworzono wartość obrazków, którymi wyróżniają się firmy, w prawie autorskim wprowadzono możliwość sprzedania praw osobistych, czyli kupienia prawa do tego, żeby opowiadać, że się napisało, co napisał ktoś inny...

No cóż, liczba zielonych rośla „w zasadzie”, gdy rosła liczba potencjalnych towarów, nawet tych, których kupić się nie dało. Jednakże gdy metki na wszystkim wiszą, księgowy może spisać odpowiednie cyfry do ksiąg i... mamy, co mamy.

Kiedyś Tomek Pacyński napisał, że amerykański program kosmiczny działał, dopóki nie wmiszali się księgowi. To oni byli twórcami programu wahadłowców. No i pier...

Po mojemu, to niestety nie czesanie leszczy, ale ciąg dalszy tego, co się już objawiło w programie kosmicznym: tworzenie iluzji dobrobytu, pozorów szybkiego postępu, silnej gospodarki. Pozoru bogactwa... Kreatywna księgowość, termin wymyślony przy okazji bankructwa Enronu.

Jak mi się zdaje, już tamten przypadek

powinien był zapalić choinkę czerwonych światełek na Statui Wolności. Prawdopodobnie szefowie tego koncernu usiłowali zrobić to, co się wcześniej dzięki „zdolaryzowaniu” światowej gospodarki doskonale udawało: sprzedać wrażeń potęgi amerykańskiej firmy, zamienić iluzję na prawdziwy towar. Choćby poprzez manipulacje akcjami. W sytuacji gdy sam dolar był dobrym towarem, to było możliwe. Podejrzewam, że gdyby zarząd firmy robił to samo, tylko kilka lat wcześniej, wyszedłby obronna ręka. Być może jednak stało się też tak, że panowie „przejęli” ze skalą iluzji. Tak czy owak, praktyka „kreatywnej księgowości” bynajmniej nie jest wynalazkiem ostatnich lat, już przedziej pokłosisiem pewnej filozofii, że kapitalizm, ze wszystkimi swoimi absurdami, zawsze zwycięży. Wiara ta pewnie się wzięła z przemian zapoczątkowanych w 1989 roku i zakończonych totalną rozwałką socjalizmu i upadkiem głównego wroga USA.

Propagandę wojenną wzięto za prawdę i to się właśnie mści.

Nie wierzę w „koniec potęgi USA”. Dołki gospodarze zdarzały się wielokrotnie. Ale coś się w międzyczasie na świecie zmieniło i to coś prawdopodobnie zaważyło na zaistniałej sytuacji. Powiększanie się rynku Unii Europejskiej. Wprowadzenie „ojro” jako wspólnej waluty będące odpowiedzią na dolaryzację gospodarki. No i to ojro zaczyna swoje powoli robić. Dane pokazują już po raz któryś, że gospodarka UE jest najpotężniejszym rynkiem na świecie. Nie wiem, czy euro staje się równie godne zaufania jak niegdyś dolar, ale stan kursów walut pokazuje wyraźną tendencję.

Tak po mojemu, to mamy zderzenie dwu filozofii: jednej, w której za wartość uważa się spekulację, pieniądź jest utożsamiany z wartością, i druga, w której „patrzy się na rękę” bankierom i dopuszcza wiele wartości. Pieniądź w tej drugiej filozofii jest podejrzany. Może być bezwartościowymi papierami czy nawet bezwartościowymi krążkami kruszców. Tym bardziej nie dowierza się pieniądżom wirtualnym, które są po prostu zapisem w pamięci komputerowej - ich istnienia bez specjalnej aparatury, jak głowica dysku twardego, nie da się stwierdzić.

Wygrywa jednak pierwsza filozofia i chyba nie ma na świecie kraju, gdzie byłoby inaczej. Łatwo się przekonać, jak skuteczną bronią polityków jest dodrukowanie bezwartościowych banknotów, choćby już w trakcie szalejącej inflacji.

Kiedy się przyjrzeć manewrom organizacji światowych trzymającym w garści system walutowy, nie trzeba wielkiej złośliwości, by rzecz nazwać próbą przywrócenia iluzji potęgi dolara. Tak się dość głupio składa, że w naszym świecie, w którym zdawałoby się staramy się mierzyć wszystko obiektywnie, jednym z najważniejszych problemów jest to, co wypisano na metce, jaka jest tam cena, liczy się, co na owym papierku napisano. Bardziej nawet od tego, do czego ów papierek jest przyczepiony. Zaś suma nie ma często nic wspólnego z wartością. Przyznaje, że w handlu chodzi o to, by jak najbardziej odsunąć od siebie te dwie rzeczy. Na przykład by sprzedać za duże pieniądze portki z kiepskiej szmaty, ale z nalepką „jeans” i wykopać z rynku naprawdę niezniszczalne „szariki” firmy Elpo.

Tylko czasami ta gra chciwości wysoko wycenia rzeczy naprawdę przydatne. Dlatego świat co krok skręca w maliny.

Ludzie iluzji potrzebują, kochają iluzję i coraz lepiej umiej ją tworzyć. Iluzja jest coraz doskonalsza. Iluzja zdaje się sposobem na zdobywanie władzy, ktoś, kto potrafi stworzyć iluzję swej mądrości, iluzję, że ma rację, ma szansę na wygranie wyborów. Z tego musiały się zrodzić wizja taka jak w „Kongresie futurologicznym”. Jest tylko jedna sprawa godna przypomnienia. Z narkotykami walczy cały świat. To nie jest tak, że światowy rząd nas nimi szpikuje: odwrotnie, sami je żremy, jak tylko nadarzy się okazja. Ucieczka w iluzję jest niebezpieczna i zasadniczo wszyscy o tym wiedzą, dlatego, choć po pijaku prowadzi się świetnie, wszystkie policje walczą z pijanymi kierowcami.

Kiedyś dostałem po głowie za opowiadanie, które pewna pani polonistka dostała od studentów ściągnięte z Fahrenheita. I owszem, przyznaję się, bohater, jakże by inaczej, zajmował się ratowaniem świata przed zagładą. Bo cóż może być bardziej wciągającego? Dostało mi się za całą literaturę SF właśnie z powodu owego światowego spisku i za to, że co powieść, to bohater od nowa walczy, choć już w tyłu poprzednich zwyciężył.

Cóż... Usiłowałem wytłumaczyć owej pani, że zwyciężyć nie może. Bowiem światowy rząd to my. To my sprzucujemy się iluzją, jedni dają sobie w żyłę, drudzy w nos, inni po ślepiach, zaczadzając się jakąś science fiction. Więc jakby chcieć zwyciężyć z owym spiskiem światowym, tobyśmy wszyscy odczuli to na własnej skórze. Musiałby nam przyłożyć w najokrutniejszy sposób: pozbawić złudzeń.

Bez iluzji nie da się żyć, potrzebujemy już to światowych spisków, bohaterów z nimi walczących, wiary w rynek i niewidzialną rękę, a choćby i samego rynku. Potrzebujemy też strachu przed różnymi łożami masonskimi oraz morskich opowieści.

Potrzebujemy iluzji, że robimy rzeczy potrzebne dla zarobku, jak pisanie książki o fotografii. Niejakiemu Cebuli zdaje się, że napisze, i nie żre go tak bardzo sumienie, gdy marnotrawi czas.

Problem w tym, żeby wiedzieć, czym się człek raczy. Spójrzeć zawczasu na okładkę. Jeśli jest napisane: „Kongres futurologiczny”, autor - Stanisław Lem, znaczy „science” i „fiction”. Nawet jeśli bardzo literackie wydawnictwo, bajki. „Bajki robotów”.

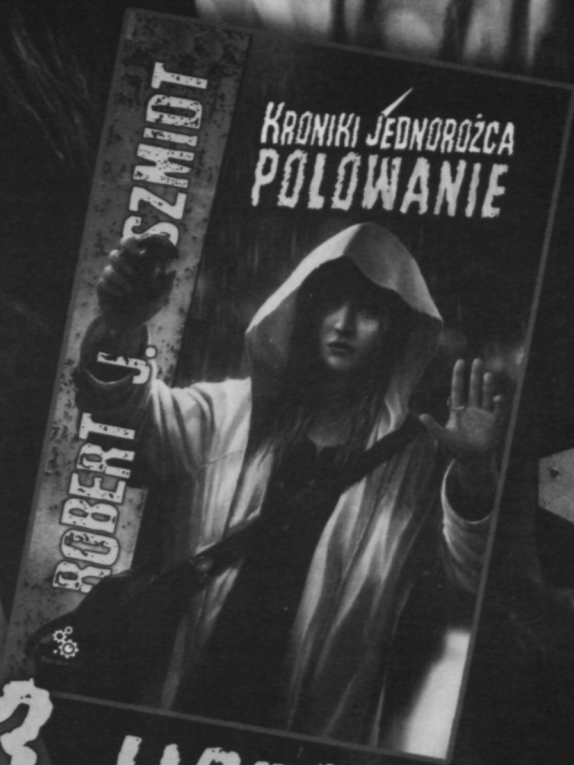
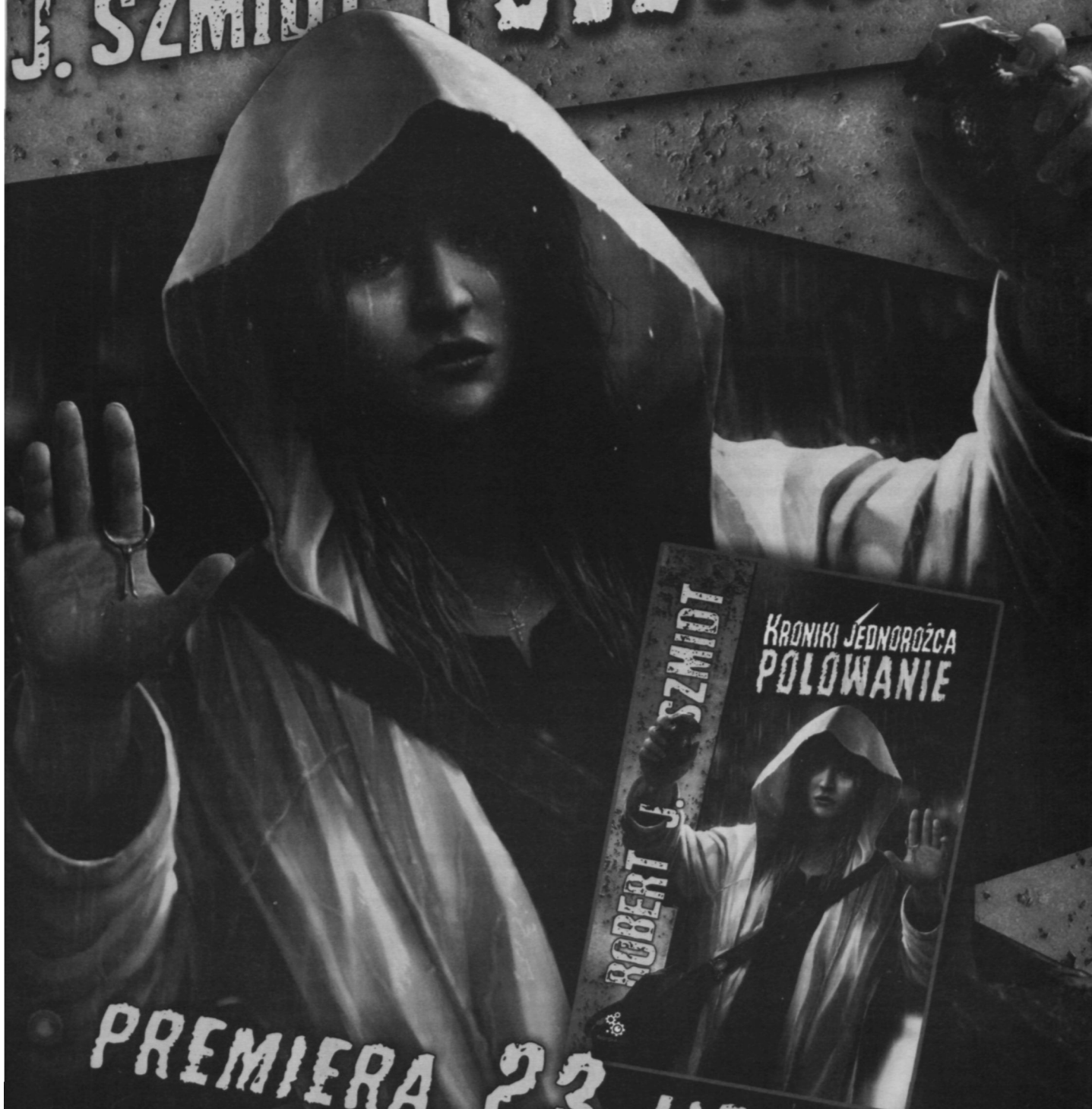
Adam Cebula



fabryka słów
WWW.FABRYKA.PL

ROBERT
J. SZMIDT

KRONIKI JEDNOROŻCA POLOWANIE



PREMIERA 23 LISTOPADA



POLTERGEIST

WP

PARADOKS

GILDIA.PL

ikander

SZANOWNI CZYTELNICY
 PRENUMERATA JEST:
NAJLEPSZYM, NAJTAŃSZYM, I NAJSZYBSZYM SPOSOBEM NA
 OTRZYMYWANIE MAGAZYNU:



Co miesiąc, **wprost z drukarni**, jeszcze ciepłe egzemplarze naszego pisma trafiają do Waszych rąk **bez pośrednictwa** kiosków czy salonów sprzedaży.

ZAMAWIAJĄC PRENUMERATĘ ZYSKACIE NIE TYLKO CZAS, ALE I PIENIĄDZE.

JAK URUCHOMIĆ PRENUMERATĘ?

Wystarczy poprawnie wypełnić kupon według podanego poniżej wzoru i przesać na konto naszego wydawnictwa właściwą kwotę z banku (**może być internetowy**) lub poczty. Polecamy także wpłaty drogą elektroniczną.

Wpłaty, które wpłyną na nasze konto do 15 dnia każdego miesiąca uruchomią automatycznie Waszą prenumeratę od najbliższego numeru. Wpłaty dokonane po tym terminie uruchomią prenumeratę od następnego wydania.

Prosimy o czytelne i dokładne wypełnienie kuponu zamówienia prenumeraty **DRUKOWANYMI LITERAMI**

Redakcja nie odpowiada za skutki mylnej wysyłki, spowodowanej błędami wynikłymi z nieczytelnego wypełniania przekazów.

Jeżeli opłacona prenumerata nie dotrze do Waszych rąk, albo egzemplarz będzie uszkodzony, prosimy o kontakt mailowy **wyłącznie** na adres:

prenumerata@science-fiction.pl

bądź o kontakt telefoniczny:

032 254 62 59

od poniedziałku do piątku w godzinach od 10 do 16.

AKTUALNY CENNIK PRENUMERATY:

6 MIESIĘCY - tylko 55 zł!
12 MIESIĘCY - tylko 99 zł!

Przy zamówieniu minimum 5 egz. 25% zniżki

Koszt wysyłki ponosi **Wydawnictwo WIEŻA**

Chcemy docenić tych, którzy zainwestowali w pismo bez żadnych zachęt. Dlatego będziemy **do każdej wysyłki** dorzucać **pewną ilość bonusów**, by jak najczęściej z Was otrzymało dodatkowe prezenty za zaufanie, jakim nas obdarzyliście. Może będą to **książki**, może **filmy** albo **gry** o tematyce fantastycznej. Wszystko zależy od tego, co uda nam się w tej materii załatwić, ale gwarantujemy, że będziecie mile zaskoczeni.

Akcja ta obejmie z pewnością dużą część wszystkich osób prenumerujących pismo, a jeśli damy radę, to wszystkich prenumeratorów. O każdej z takich promocji będziemy informowali na naszej stronie internetowej, w piśmie i na forum.

W tym miesiącu bonusem dla prenumeratorów są wybrane komiksy wydawnictwa Mandragora.

JAK WYPEŁNIAĆ KUPON

W przypadku zamawiania prenumeraty proszę wpisać w polu „**tytułem**”: **PRENUMERATA 6 MIESIĘCY** gdy chodzi o prenumeratę półroczną, lub: **PRENUMERATA 12 MIESIĘCY** gdy chodzi o prenumeratę roczną.

W przypadku zamówień numerów archiwalnych proszę wpisać w polu „**tytułem**”: **ARCHIWALIA** i podać numery zamawianych czasopism. Przykładowo, zamówienie na trzy egzemplarze archiwalne powinno wyglądać tak:

SF5 SF8 SF14

Pomiędzy kolejnymi zamawianymi numerami proszę zostawiać jedną kratkę wolną. Proszę pamiętać, by w jednym polu znajdowała się tylko jedna litera lub cyfra i wpisywać swoje dane drukowanymi literami.

e-mail: **info@science-fiction.pl**

telefon/fax: pon.-pt w godz. od 10 do 16 - **032 254 62 59**

adres korespondencyjny: **Wydawnictwo „Wieża”**

40-832 Katowice Ul. Zawiszy Czarnego 10/188

Redaktor naczelny: **Robert J. Szmidt**

Redakcja działu literackiego: **Urszula Gardner**

Korekta i skład: **Alfa i Omega.**

Materiały zawarte w czasopiśmie nie mogą być w całości lub fragmentach kopiowane, fotokopiowane, publikowane czy reprodukowane na żadnym z nośników informacji bez pisemnej zgody wydawcy.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redakcyjnych

Za treść reMam nie odpowiadamy. Wszelkie znaki firmowe i towarowe oraz zdjęcia są zastrzeżone i zostały użyte wyłącznie w celach informacyjnych

ISSN 1895-0744 INDEX 206598 © Copyright WIEZA, Katowice 2008

nr rachunku odbiorcy 83 1020 2313 0000 3702 0142 7640		Nazwa odbiorcy W Y D W I E Ż A 4 0 - 8 3 2 K A T O W I C E	
nr rachunku odbiorcy od.		Nazwa odbiorcy od. U L . Z A W I S Z Y C Z A R N E G O 1 0 / 1 8 8	
odbiorca WYDAWNICTWO WIEŻA 40 - 832 KATOWICE UL. ZAWISZY CZARNEGO 10/188	l.k. nr. rachunku odbiorcy 8 3 1 0 2 0 2 3 1 3 0 0 0 0 3 7 0 2 0 1 4 2 7 6 4 0		
kwota	wp * PLN		kwota
kwota słownie			
nazwa zleciennodawcy			
nazwa zleciennodawcy od.			
tytułem			
tytułem od.			
tytułem od.			
stempel dzienny		Opłata	
opłata:		Podpis	

Radio ZET

poleca

Rafał Kosik

FELIX, NET & NIKA

oraz Pułapka Nieśmiertelności

Felix, Net i Nika, warszawscy gimnazjaliści, podczas szkolnej zabawy halloweenowej dostają tajemnicze zadanie od Ponurego Żniwiarza. Co wyniknie z gry, w którą wciągnie przyjaciół? Co ukrywają podziemia Warszawy? Czy nieśmiertelność to dar, czy przekleństwo?

Popłaczesz się ze śmiechu
usmarkasz ze wzruszenia
umrzesz ze strachu



powergraph

www.felixnetinika.pl

Patronat medialny:

SCIENCE FICTION

GILDIA.PL

WP.PL

TVP 1

Wyłączny dystrybutor:

fk

TWÓRCY FILMÓW

**STRASZNY
FILM**

**NAGA,
BRON'**

PRZEDSTAWIAJĄ

**LESLIE
NIELSEN**

**DRAKE
BELL**

**PAMELA
ANDERSON**



SUPERHERO

W KINACH OD 6 CZERWCA